

UNIA PŁACI I WYMAGA
Ile kosztuje brak
praworządności

FRANCISZEK
Najpierw
dajcie jeść

COVID: ZŁA JESIEŃ
Raport z Polski,
reportaże z Europy

GRAJ W KONCERT
Gdzie publiczność
wchodzi bez ryzyka

IGA ŚWIĄTEK
Najlepsze,
co mamy

Kraków 18 października 2020 nr 42 (3719)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Karolina Hamer i Michał Łuczewski

Jak tu kochać

Mówią o nich:
tęczowa zaraza i katol-fanatyk.
Rozmowa nie z tej ziemi

DODATEK
FESTIWAL
CONRADA
2020



PRZE KROJ

nr 4 (3570)/20
19,90 zł (w tym VAT 8%)

**Halo, tu
Ziemia!**

ilustracja: Igor Kubik

Dochód ze sprzedaży kwartalnika
pożyczany na działalność
statutową Fundacji PRZEKROJ



**Numer dostępny
również w pakiecie
z zeszytem
z krzyżówkami.**

**KRZYŻÓWKI
I ŁAMIGŁÓWKI
„PRZEKROJU”**

z ilustracjami Igora Kubika



**PRZE
KROJ**
Fundacja

Kup na **przekroj.pl**

KS. ADAM

Boniecki: Tu nie chodzi o grzech

MIAŁEM Z NIMI PROBLEM. IRYTOWALI MNIE. Próbowaliśmy ich przekonać, nawet czasem uciekając się do ironii. Na nic. Są uparci. Na kopercie listu w tej sprawie wydrukowali: „Stop Komunii Świętej na rękę”. Co z nimi mamy robić?

Czy my, katolicy, nie mamy większych zmartwień? Owszem, mamy, ale spór o sposób przyjmowania Komunii też się okazał poważnym zmartwieniem. Zaczniemy od listu. Prezes Stowarzyszenia im. Ks. Piotra Skargi p. Stanisław Olejniczak rozesłał – z datą 28 września 2020 r. – do wszystkich księży (w całej Polsce czy w archidiecezji krakowskiej, nie wiem) list i broszurę „O Komunii Świętej na rękę”. List: „Postanowiłem napisać do Księdza, by prosić o propagowanie przyjmowania Komunii Świętej w tradycyjny i najgodniejszy sposób (...). Nie dajmy się zwieść tym wszystkim, którzy pod pozorem zachowania ciała w zdrowiu, narażają dusze na popełnienie grzechu śmiertelnego wynikającego z niegodnego przyjęcia Ciała Chrystusowego”. A ponad miesiąc wcześniej, 7 sierpnia br., przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski w związku z pandemią ogłosił komunikat, w którym m.in. zaapelował do kapłanów, aby „stwarzali wiernym możliwość przyjmowania Komunii Świętej na rękę, według szczegółowych przepisów diecezjalnych”.

Długo zadawałem sobie pytanie, czy ludzie nie rozumieją, że ja, ksiądz podając do ust Komunię św., zbliżam rękę do ust kolejnych osób, z których każda może być zakażona i każda może wychuchać na moją rękę wirusa, którego przeniosę do następnych? Mniejsza o mnie, bo zaraz potem zdezynfekuję rękę. Ale moi *communicantes*?

Teraz już nic nie mówię, nie tłumaczę. Bo w tej wojnie nie chodzi o żaden „grzech śmiertelny”, ale o protest przeciw naruszeniu czegoś „co było zawsze”. „Bóg tak chce”, a „my bronimy czci Boga”. Mniejsza, że nie zawsze tak było i że nie



z woli Boga, ale z woli ludzi zarzucono praktykowany przez kilkadziesiąt lat sposób udzielania Komunii – do ręki właśnie.

Tak się dzieje, gdy na praktyki religijne patrzymy jak na skamieliny.

Tym się martwię. Martwi mnie też lekceważenie Kościoła przez katolików nawet w sprawie sakramentu. Kościół zresztą jakby niczego nie przeczuwał: chronił liturgię przed radosną twórczością amatorów, zabraniał dodawania cegółek do liturgicznych tekstów, zastępowania ich innymi tekstami według własnego widzimisię, ale nieuznawania swoich ustaleń nie przewidział. A teraz ci „obrońcy Eucharystii” mówią Kościołowi, że uznane przez niego za właściwe i szeroko praktykowane przyjmowanie Komunii św. na rękę jest „brakiem szacunku dla Eucharystii”, że osoby przyjmujące tak Komunię św. „winne są Ciała i Krwi Pańskiej”.

Przewodniczący Komisji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów Konferencji Episkopatu Polski bp Adam Balaż w komunikacie (z 3 października br.) rzecz spokojnie, lecz dobitnie wyjaśnił: „potępiając jeden z godziwych sposobów przyjmowania Komunii św. [przyjmowanie na rękę – AB], wprowadza się nieład i podział w rodzinie Kościoła”.

Smutne, że taki komunikat był potrzebny w Kościele katolickim, smutne, że w imię Jezusa broni się formy kultu, która dzisiaj zagraża zdrowiu i życiu wielu ludzi. Zasmucają też przejawy fanatyzmu katolików, bo kampanię „Stop Komunii Świętej na rękę” uznać trzeba za religijny fanatyzm. Żenująca jest zarozumiałość jej zwolenników. Bo oni, *plus catholique que le pape* (bardziej katolicki niż papież), za nic mają opinie kompetentnych znawców liturgii, jej historii i tradycji Kościoła żywej przez kilka stuleci. I przeraża upór, z jakim „wprowadzają nieład i podział w rodzinie Kościoła”, jakbyśmy i bez tego nie mieli „w rodzinie Kościoła” dosyć nieładu i podziałów.

©P

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Z Europą w świecie. Naczynia połączone

W środę 28 października o godz. 20 zapraszamy na kolejną z cyklu debat online „UnJa. I co dalej?” – szczegóły transmisji na powszech.net/unia2

Korzystając z zasobów świata musimy być za niego współodpowiedzialni. Czy globalizacja może znaczyć wspólne dobro, nie wzajemny wyzysk? Jak widzimy nasz udział we wspólnotach? Udział wezmą: Katarzyna Guzek, Janina Ochojska, Klaus Bachmann oraz Marek Rąbaj.

ORGANIZATOR:
KLUB TYGODNIKA POWSZECHNEGO



PRZEDSTAWICIELSTWO
KOMISJI EUROPEJSKIEJ W POLSCE



TEMAT TYGODNIKA

12 Jak tu kochać

ROZMOWA
Z KAROLINĄ
HAMER
I MICHAŁEM
ŁUCZEWSKIM:
Według etykiet:
aktywistka
LGBT
i konserwatywny
katolik. Różni
ich wszystko
– nie tylko płeć,
orientacja czy
światopogląd.
W podzielonej
Polsce właściwie
nie powinni
się spotkać.
Nie powinni?



38 List o przekraczaniu granic

PIOTR SIKORA

Biblijnym centrum najnowszej encykliki jest przypowieść o miłosiernym Samarytaninie z pytaniem „kto jest moim bliźnim?”. Papież je odwraca: „czym bliźnim ja się okazuję?”.

41 Siedem lekcji Franciszka

RAFAŁ WOŚ

Od krytyki fejsbukowego trollowania po zakwestionowanie świętej własności prywatnej – papież celnie namierza kluczowe wyzwania naszych czasów.



44 Covidowa jesień Europy

KORESPONDENCJE Z BARCELONY, PARYŻA, LIPSKA, WIEDNIA I KIJOWA:

Coraz więcej chorych, coraz bardziej nerwowi politycy, coraz większe zmęczenie obywateli: nasi autorzy opisują sytuację i nastroje na kontynencie.

56 Kuzyn
dziennikarza
z „Wesela”

WALDEMAR
ŁAZUGA

Stanisław Starzewski obiadował z cesarzem Franciszkiem Józefem i Piłsudskim. Na unikalnych zdjęciach uwiecznił świat, który skończył się wraz z upadkiem c.k. monarchii.

68 Podobni tylko

do siebie
ROZMOWA
Z IWANEM
KRASTEWEM,
POLITOLOGIEM:
Jeśli przyjmujesz,
że cynizm
i zła wola są
fundamentem
działania ludzi,
to przestajesz
rozumieć,
co się dzieje,
bo nie wierzysz
absolutnie
nikomu.



84 Świętek Moments

MAREK BIEŃCZYK

Przeciwniczki poruszały się, odbijały, czasem coś wspaniałego nawet im się udało wykonać, lecz tkwiły w krainie rozpadu. Jakby z drugiej strony kortu spojrzal bazyliiszek.



INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate. WYDAWCA

6 Czy jesteśmy bezbronni
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

22-23 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ **KRAJ**

24 Praworządność – koniec kompromisów

KLAUS BACHMANN:
Demokracja i unijne fundusze

28 Kordon bezpieczeństwa
MAREK RABI: *Czy gospodarka dotknięta pandemią może funkcjonować normalnie?*

30 Uderz, nie dotykając
ROZMOWA Z LAURĄ PRIESTESS:
Przemoc seksualna pod przykrywką kar cielesnych

■ **WIARA**

34 Czy jest uniwersytet
ROZMOWA Z KS. PROF. ANDRZEJEM SZOSTKIEM: *Kiedy nieuzasadnione i krzywdzące represje spotykają kogoś mi bliskiego, nie jestem w stanie tego firmować*

38 List o przekraczaniu granic
PIOTR SIKORA

41 Siedem lekcji Franciszka
RAFAŁ WÓŚ

43 Opowiadać w Polsce o judaizmie
ZUZANNA RADZIK
o rabince Małgorzacie Kordowicz

■ **ŚWIAT**

44 Covidowa jesień Europy
PAULINA MAŚLONA, SZYMON ŁUCYK, ŁUKASZ GRAJEWSKI, BARBARA RADZIKOWSKA-KRYŚCZAK, MONIKA ANDRUSZEWSKA, PATRYCJA BUKALSKA

DODATEK SPECJALNY



89 Magazyn Conrad

W ramach tegorocznej edycji Festiwalu Conrada pod hasłem „Widzialne i niewidzialne” zaprezentujemy dyskusje na temat literatury z udziałem pisarek i pisarzy z całego globu. Mamy nadzieję, że ich refleksje pozwolą nam lepiej zrozumieć źródła problemów współczesnego świata.

Właśnie taka literatura – w krytyczny i angażujący sposób komentująca rzeczywistość – interesuje nas najbardziej. Właśnie taką literaturę pragniemy przybliżyć.

■ **FELIETONY** ■

33 ANNA DZIEWIT-MELLER 61 WOJCIECH BONOWICZ
82 JAN KLATA 83 PAWEŁ BRAVO
88 STANISŁAW MANCEWICZ
88 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: KAROLINA HAMER I MICHAŁ ŁUCZEWSKI
FOTOGRAFIA: MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

49 Tajemnica pokoju 239

ANNA ŁABUSZEWSKA:
Aleksiej Nawalny, partner do rozmowy

52 Piętnaście lat batalii o dwa tygodnie urlopu

AGNIESZKA KAMIŃSKA
Z ŻURYCHU:
Tacierzyńskie i modele rodziny

54 Tricolore nad Oceanią

KAROLINA KANIA:
Nowa Kaledonia zostaje przy Francji

■ **HISTORIA**

56 Kuzyn dziennikarza z „Wesela”
WALDEMAR ŁAZUGA

■ **NAUKA**

64 Noble 2020
BARTOSZ KABAŁA, TOMASZ MILLER, MIROSLAW DWORNICZAK
o nagrodach z fizjologii i medycyny, fizyki oraz chemii

■ **KULTURA**

68 Podobni tylko do siebie
ROZMOWA Z IWANEM KRASIEWEM

72 Koncert, którego nie dało się wymarzyć
PAWEŁ PIENIAŻEK:
Festiwal w świecie gier

75 Inna postać świata
PIOTR KOSIEWSKI
o berlińskim Biennale

78 Na linii frontu
DARIUSZ KOSIŃSKI:
Twórczość Wojtki Ziemielskiej i spektakle na Zoomie

80 Czek bez pokrycia
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Gniazdo” Seana Durkina

82 Lipska – wypisy
LEKTOR o „Nowym wyborze wierszy”
Ewy Lipskiej

■ **ZMYŚŁY**

84 Świątek Moments
MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Opowieści z Izraela [Podkast Powszechny]**

O chaosie powodowanym drugim lockdownem i nowym otwarciu izraelsko-arabskim – opowiada **ANJANA SANKAR**, korespondentka na Bliskim Wschodzie i redaktorka emirackiego dziennika „Khaleej Times” powszech.net/podkast

➔ **Wrzesień w nauce [Podkast Powszechny]**

Ludzkość tak się uspokoiła w czasie pandemii, że uciły drgania skorupy ziemskiej. Skonstruowaliśmy też maszynę, która lepiej od ludzi gra w curling – na przegląd wydarzeń naukowych zaprasza **ŁUKASZ ŁAMŻA** powszech.net/podkast

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](https://www.tygodnikpowszechny.pl/strona-swiate)

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /TYGODNIKPOWSZECHNY



CZY JESTEŚMY BEZBRONNI

Coraz trudniej się łudzić, że rządzących stać na coś więcej niż pozorowane albo spóźnione posunięcia i mydlenie oczu opinii publicznej.

MACIEJ MÜLLER

DALEKĄ DROGĘ PRZEBYŁ RZĄD OD PEŁNYCH merytorycznych szczegółów wiosennych konferencji Łukasza Szumowskiego (choć potem minister sukcesywnie tracił wiarygodność, a w końcu odszedł w atmosferze podejrzeń wokół kupna respiratorów). W ostatnią sobotę – jak zapowiadano – rząd miał ogłosić decyzje w sprawie dalszego funkcjonowania szkół. Tymczasem wypełniona pustosłowiem konferencja premiera Morawieckiego i ministra Niedzielskiego zawierała właściwie jeden konkret: przywrócenie sklepowych godzin dla seniorów.

Minister zdrowia, owszem, ogłosił strategię w wersji 2.0. Czytamy w niej: „Wykorzystanie aktualnego potencjału pozwala na odejście od stosowania mechanizmów prewencyjnych

na rzecz podejmowania działań celowanych”. Chyba nie „wykorzystanie” i „pozwała”, tylko „wyczerpanie” i „zmusza” – ironizował podczas lektury dokumentu immunolog dr Paweł Grzesiowski. I wskazał na inne wątpliwe tezy. Strategia mówi o koncentracji na testowaniu pacjentów objawowych według aktualnych wytycznych WHO i CDC. Tymczasem obie te organizacje wcale tego nie zalecają; skupienie się wyłącznie na pacjentach objawowych pozwala wykryć COVID-19 dopiero w późnych stadiach, a chory przez wiele dni może swobodnie zakażać. Strategia zawiera też punkt dotyczący „zwiększenia udziału POZ w opiece nad pacjentem z COVID-19” – a polega to m.in. na umożliwieniu lekarzom rodzinnym skierowania na test nawet w sy-

Molo w Sopocie, który został ogłoszony czerwoną strefą, gdzie obowiązują największe obostrzenia. Dwie osoby na tym zdjęciu zasłużyły na mandat za nieosłonięcie nosa. Niewłaściwie założona maseczka nikogo nie ochroni.

tuacji, kiedy u pacjenta nie występują naraz cztery objawy, łącznie z dusznością. Innymi słowy, rząd właśnie rozwiązał problem, który sam kilka tygodni temu stworzył.

Inne punkty mają charakter reaktywny: chodzi o politykę zera tolerancji wobec osób ignorujących zasady sanitarne i szukanie możliwości zwiększenia liczby łóżek covidowych oraz stanowisk respiratorowych. Na papierze sytuacja nie wygląda źle, do limitu jeszcze połowa drogi, ale stan faktyczny jest taki, że w wielu województwach miejsca dawno się skończyły, a do opieki nad chorymi brakuje personelu.

Trudno zrozumieć decyzję o utrzymaniu zwyczajnego trybu pracy szkół nawet w czerwonych strefach (chyba żeby przyjąć, iż rządzących interesują wskaźniki gospodarcze, a nie epidemiologiczne). Mimo że sanepidy gromadzą informacje o ogniskach zakażeń, rząd tych danych nie agreguje. Jednak nawet z ręcznie opracowywanych, szacunkowych danych widać, że szkoły są rozsądnikiem wirusa: dzieci przechodzą infekcję bezobjawowo, roznosząc jednak SARS-CoV-2 do domów. Uczniowie, świadomi zagrożenia dla swoich rodziców i dziadków, skrzykują się w mediach społecznościowych i żądają przywrócenia naki zdalnej.

Coraz trudniej się ludzi, że rządzących stać na coś więcej niż pozorowane albo spóźnione posunięcia i mydlenie oczu opinii publicznej. Polski system ochrony zdrowia pod względem liczebności personelu, sprzętu, organizacji i finansowania należy do najsłabszych w Europie. Wielu ekspertów mówi o zbliżającym się „wariacie włoskim”, w którym lekarze muszą wybierać, kogo leczyć. Pisaliśmy już kiedyś w „TP”: „Ochroń się sam”. Lekarze podkreślają, że czynnikami ryzyka cięższego przebiegu są przewlekły stres, praca w nocy i brak snu. Warto zadbać o te sfery, jak też o dobrą dietę i ruch. Nie mamy wpływu na to, czy i kiedy zostanie wynaleziona i rozprowadzona po świecie szczepionka. Naszym narzędziem pozostaje zasada MDD (maska, dystans, dezynfekcja). Wielu z nas prędzej czy później może niestety zainfekować się koronawirusem. Przyjmijmy za strategiczny cel, tak jak w marcu, by te zakażenia rozłożyć na możliwie najdłuższy okres. ©P

Przespane lato, bezsenna jesień

PAWEŁ BRAVO



NIESPODZIEWANIE DLA MINISTRA ZDROWIA i innych funkcjonariuszy publicznych po wrześniu nadszedł październik. A wraz z nim wzrost zachorowań na COVID-19, o którym specjaliści zajmujący się pandemią mówili od dawna. Nie możemy pozwolić sobie na komfort zwolnienia z obowiązków tych, którzy zaniedbali przygotowania. I to we wszystkich aspektach: ludzkim, sprzętowym, organizacyjnym, a może przede wszystkim komunikacyjnym. Politycy i urzędnicy nie powtarzali ludziom w środku wakacji, że nie mogą spać spokojnie, że nie ma powrotu do życia sprzed roku. To niewdzięczne zadanie, ale w odróżnieniu od zakupu maszyneryi czy remontu budynków wymaga tylko zwykłej odwagi i urzędniczego poczucia obowiązku.

I choć zbrakło poczucia misji i rzetelności wśród rządzących – zajętych najpierw wyborami, a potem walkami partyjnych frakcji – to właśnie z nimi przejdziemy przez tę jesień i zimą, kiedy nawet wyplaszczanie krzywej, na które wszyscy liczymy, musi odbyć się na innym niż wiosną poziomie. Wówczas pano-

wał powszechny strach i świadomość, że dzieją się rzeczy wyjątkowe. Strach pozostał, choć spowszedniał, a dobrze znana z przeszłych kryzysów frustracja, że instytucje (a raczej ludzie sprawujący w nich władzę) zachowały się nie całkiem odpowiedzialnie, przygasa poczucie nadzwyczajności. To z kolei nie wróży dobrze dyscyplinie w przestrzeganiu ograniczeń, które są ważne i uzasadnione, bez względu na ocenę, ile okazał się być wart podpisany pod nimi urzędnik. Sprawę pogarsza to, że w niektórych sytuacjach władze mają do wyboru wyłącznie złe opcje. Najlepszym przykładem są tu szkoły: kto dziś jednoznacznie rozstrzygnie, czy np. doniesienie z weekendu, że zmarło dwoje pedagogów, powinno skłonić władze do zamknięcia wszystkich placówek?

Im dalej w epidemiczną jesień, tym mocniej trzeba zaciskać zęby, bo od narzekania na to, że rząd przespał lato, nie staniemy się zdrowsi i odporniejsi. Ale w zamian oczekujemy przynajmniej większej otwartości w komunikowaniu problemów i przejrzystości decyzji. Do tego nie potrzeba dodatkowych pieniędzy ani czasu, których faktycznie jest za mało. ©P

Seniorzy: rządowa atrapa wsparcia

DÉJÀ VU z wiosny jest nieuniknione: najstarsi Polacy znowu – tym razem w weekendowym wystąpieniu premiera – stali się głównym bohaterem epidemicznej narracji. Także teraz mało konkretnej: Mateusz Morawiecki długo mówił o niemal 10-milionowej grupie, której członków najczęściej niewiele łączy – co mają ze sobą wspólne 60-letni nauczyciele chodzący na co dzień do pracy ze schorowanymi 80-latkami skazanymi na pomoc sąsiadów, rodziny czy domu pomocy? Ci pierwsi usłyszeli od premiera, że szkół nie trzeba zamykać, bo „strategia, którą zaproponowało w sierpniu MEN, zdaje egzamin”. Wszyscy dostali od rządu „godziny dla seniorów” – między 10 a 12 sklepy, apteki i drogerie mają obsługiwać osoby „60 plus”. Za jedyny konkret „senioralnego” przekazu można uznać kolejne zapowiedzi finansowego wsparcia dla domów pomocy społecznej – tym razem to dodatkowe 38 mln złotych dla placówek, w których mieszkała co najmniej dotychczasowa ofiara koronawirusa

(choć rządowe dane mówiące o 303 zmarłych mogą być i tak zaniżone). Kwota w skali kraju tyleż mikroskopijna, co trafiająca obok prawdziwych problemów.

Według Adama Zawisnego, specjalisty ds. polityki społecznej i wiceprezesa Instytutu Niezależnego Życia, Polska nie zrobiła – i na poziomie rządowym, i tym lokalnym – w ostatnich miesiącach prawie nic, by zażegnać śmiertelne zagrożenie w DPS-ach. – Wiem o kilku placówkach, w których były zakażenia i przypadki śmiertelne, a które po wszystkim zaczęły zwyczajnie przyjmować nowych mieszkańców – mówi „TP” Zawisny. – Wszystko dlatego, że przez te miesiące nie udało się rozwinąć alternatywnych form pomocy dla osób wymagających intensywnego wsparcia, choćby korzystniejszych i bezpieczniejszych w czasie epidemii mieszkań chronionych, wspomaganych czy tzw. asystencji osobistej lub usług opiekuńczych. Rząd nie przedstawił też do dzisiaj zapowiedanej od dawna strategii odchodzenia od systemu opartego na placówkach-molochach na rzecz wsparcia w miejscu zamieszkania. Wygląda na to, że wiosenne tragedie w domach pomocy niczego nas nie nauczyły.

©P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Prezydent drażni prezesa

SZEF PiS próbuje sobie poukładać stosunki z prezydentem w nowej kadencji. Duda zawdzięcza reelekcję głównie Kaczyńskiemu, który wyłożył miliony na kampanię i włączył w nią kluczowe państwowe instytucje, w tym TVP. Teraz prezes mu to okazuje.

Do zgrzytu doszło podczas zaprzysiężenia nowych członków rządu (Kaczyński odbierał wtedy nominację na wicepremiera). Po pierwsze, prezes nonszalancko podszedł do pandemicznych obostrzeń. Jako jedyny nie założył rękawiczek, przez co Duda czuł się zobowiązany do zdjęcia swoich, gdy podawał prezesowi prawicę. W dodatku Kaczyński ostentacyjnie opuścił ceremonię, gdy ministrowie przymierzali się do zdjęcia z prezydentem.

Duda nie pozostał jednak dłużny. W ub. tygodniu przeprowadził rekonstrukcję Kancelarii. Dwie nominacje są ciekawe. Doradcą społecznym został Marcin Mastalerk, były rzecznik PiS i filar zwycięskich kampanii wyborczych tej partii sprzed pięciu lat. Kaczyński wyrzucił go potem z list wyborczych PiS, zarzucając butę i brak respektu dla prezesowskiego autorytetu.

Mastalerk nieformalnie doradzał Dudzie przez całą pierwszą kadencję – to on stoi za kilkoma wetami prezydenta do ustaw PiS, choćby dotyczących sądów. Do tej pory jednak Duda nie chciał go formalnie usadzić w Pałacu – obawiał się reakcji Kaczyńskiego.

Etatowym doradcą został teraz dodatkowo także człowiek Mastalerka Łukasz Rzepecki. W poprzedniej kadencji był najmłodszym posłem PiS, ale z partią się rozstał, bo nie zgadzał się z polityką Kaczyńskiego. Potem niejednokrotnie wysyłał prezesa na emeryturę. Rękę Mastalerka widać już w wystąpieniach Dudy dotyczących ustawy o ochronie zwierząt: prezydent sugeruje, że jest gotowy ją zawetować. Kaczyński się na to przygotowywał, dlatego wymusza na koalicyjnych partiach deklaracje, że włączą się w odrzucenie weta (w pierwszych sejmowych głosowaniach obie partie nie poparły tej ustawy).

W politycznym światku spekulowano nawet, że Duda ściągnie do siebie Jana Krzysztofa Ardanowskiego, ostrego krytyka Kaczyńskiego, ministra rolnictwa odwołanego za sprzeciw wobec ustawy o ochronie zwierząt. Wygląda jednak na to, że na taką eskalację prezydent nie jest jeszcze gotowy.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

KRAJ W SKRÓCIE

RÓWNI

176 tys. pouczeń,
22 tys. mandatów
i 7780 wniosków
o ukaranie przez sąd
złożyła policja w związku
z nieprzestrzeganiem przepisu
o zastanianiu ust i nosa.



MATEUSZ MAREK / PAP

RÓWNIJEJSI

Nawet członkowie rządu zaczęli w końcu pokazywać się w maseczkach. Choć nie wszyscy: podczas wręczania przez Jarosława Kaczyńskiego Bronisławowi Wildsteinowi Nagrody im. Lecha Kaczyńskiego dekorujący i dekorowani mieli odsłonięte usta i nos. Rzecznik rządu wyjaśnił, że nowy wicepremier był podczas tej uroczystości w pracy.

NAJRÓWNIJEJSZY

Nie jest to jedyne odstępstwo Jarosława Kaczyńskiego od reguł obowiązujących jego kolegów: zamiast powierzyć swoje bezpieczeństwo Służbie Ochrony Państwa, wicepremier do spraw, nomen omen, bezpieczeństwa korzysta nadal z usług prywatnej firmy ochroniarskiej.

NIEZRÓWNY

Kryzys pandemiczny nie wybił z rutyny również prezydenta Andrzeja Dudy, na Twitterze komentującego głównie sukcesy sportowców i udzielającego nieoczekiwanej pomocy jednej z internetek, która wkleiła zdjęcie małego ssaka z pytaniem: „Co to za zwierzątko? Ktoś wie?”. Odpowiedź głowy państwa, skądinąd mylna, brzmiała „opos”.

Orlen i gazety

PKN ORLEN NEGOCJUJE z Verlagsgruppe Passau za kup spółki Polska Press, która wydaje kilkadziesiąt lokalnych tytułów prasowych i serwisów internetowych – podała „The Economist”. Taką informację dziennikarze otrzymali od niemieckich rozmówców. W Polsce nie padło dementi, można zatem uznać ją za wiarygodną; zwłaszcza że Verlagsgruppe Passau nie kryje się z chęcią odsprzedaży polskiego wydawnictwa.

Jesteśmy więc zapewne świadkami pierwszego etapu repolonizacji rynku prasowego, realizowanej za pomocą wolnorynkowych narzędzi. Obejdując się bez dekrétów nacjonalizacyjnych i postępowań antymonopolowych. Do zakupu wydawców prasy nie ustawiają się już kolejki. Polska Press w 2018 r. miała 9,64 mln zł zysku przy 426,3 mln zł wpływów, w dodatku przy wyraźnym spadku przychodów ze sprzedaży egzemplarzowej, co czyni ją idealnym celem dla białoczerwonych kołnierzyków. Dla Orlenu, który w ub. roku miał 111 mld zł wpływów, nawet przejęcie poważnego medialnego gracza to drobnostka. Dla niemieckiego właściciela – być może ostatnia szansa spieniężenia polskich udziałów z zyskiem, bo nabywcy nie interesuje biznesowe zaplecze firmy, lecz możliwość przekształcenia jej w jeszcze jedną tubę propagandowej propagandy. Wolności słowa ta kalkulacja raczej nie uwzględni. © P MAREK RABIJ

Demografia: jest źle, może być gorzej

TAK NIEKORZYSTNYCH WSKAŹNIKÓW nie było w Polsce od dawna: w lipcu tego roku narodziło się 33 tys. dzieci (przy 37 tys. w roku ubiegłym), a tzw. suma krocząca urodzeń, zbierająca dane za 12 ostatnich miesięcy, wyniosła tylko 365 tys. – co daje najgorszy wynik od 15 lat. Gorszy nawet niż ostrożne rządowe prognozy, wedle których po wprowadzeniu programu 500 plus na świat będzie przychodzić 380 tys. dzieci rocznie.

Co przyniesie rok 2021? Demografowie podejrzewają, że niepewność czasu epidemii pogorszy jeszcze wskaźniki. „Boję się, że wpłynie na zmianę aspiracji młodych ludzi – mówiła kilka miesięcy temu na naszych łamach prof. Irena E. Kotowska, ekonomistka i demografka SGH, członkini Komitetu Nauk Demograficznych PAN. – Do tej pory rozważali argumenty za i przeciw powiększeniu rodziny, ale też pytani o to, ile dzieci chcieliby mieć, deklarowali około dwójki potomstwa. To dawało nadzieję, że właściwa polityka rodzinna może wpłynąć na decyzje prokreacyjne. Teraz może się to zmienić”.

© P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Pokojowy Nobel dla frontowej agencji ONZ

TUŻ PRZED DWUDZIEŚCIĄ, 13 lipca 1985 r., kończący swój występ na londyńskim Wembley David Bowie poprosił 7 tys. ludzi na stadionie i ponad miliard przed telewizorami o uwagę. Na telebimach wyświetlono film: 4 minuty zdjęć wycieńczonego chłopczyka, który próbował samodzielnie stanąć, i innych dzieci z Etiopii, gdzie trwała klęska głodu. Wembley zamarło. Od ujęć nie dało się uciec; ludzie płakali; „Drive”, przebieg zespołu The Cars, którym zilustrowano film, potem już ciągle wywoływał obraz tamtego chłopca.

Najmocniejszy moment charytatywnego koncertu Live Aid (127 mln dolarów zysku przekazano do Etiopii) symbolicznie skończył z tabu głodu. Uruchomił jednak inny trend: wizerunki bosych dzieci z Afryki i Azji zaczęły zapełniać plakaty i reklamy społeczne. Wyzwalały współczucie i chęć pomocy, przyczyniały się jednak – choć w kontekście cierpienia dzieci brzmi to niezręcznie – do banaliza-

cji problemu głodu, kompleksowo opisanego dopiero niedawno, choćby piórem reportera Martína Caparrósa.

Na drugim końcu skali od Live Aid jest działalność Światowego Programu Żywnościowego (WFP), agencji ONZ koordynującej pomoc dla miejsc dotkniętych wojnami, nieurodzajem i klęskami żywiołowymi – która właśnie otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla. WFP to globalny bank żywności – jego skuteczność zależy od współpracy kilkudziesięciu państw. Ale i od pomysłowości oraz odwagi pracowników, którzy prowadzili piekarnie nawet w rządzonej przez talibów Kabulu, a z „terenu” (za tym oenztowskim eufemizmem kryje się obszar wojny lub kryzysu) ostatni zjeżdżają do biur – daleko od kamer negocjując dowóz mąki, kaszy czy ryżu do odciętych od świata wsi. WFP jest najbardziej „frontową” agencją ONZ, jej pracownicy często narażeni są na śmierć i porwania. Niech to wszystko przekona sceptyków, że nie tylko bez ludzkich odruchów serca, ale i bez często demonizowanych w mediach dużych organizacji świat byłby jeszcze gorszym miejscem do życia.

© © MARCIN ŻYŁA

– okrzyknięto „rewolucją tulipanów”. Drugi, pięć lat później, przeciw kolejnemu prezydentowi, Kurmanbekowi Bakijewowi, ochrzczono „rewolucją kwietniową”. Najnowszy otrzymał imię „rewolucji październikowej”.

Tym razem poszło o sfałszowane wybory parlamentarne, w których wyniku poselskie mandaty prawie w całości miały przypaść partiom popierającym rządzącego od trzech lat prezydenta Soorobaja Dżeenbekowa. Następnego dnia po ogłoszeniu wyników tłum zwolenników opozycji wdarł się do budynków rządowych i przegnał Dżeenbekowa.

Wybory zostały unieważnione, prezydent z ukrycia ogłosił stan wyjątkowy, a sprawy bezpieczeństwa przekazał wojsku. Zapowiedział też, że ustąpi z urzędu, jeśli buntownicy wybiorą nowe władze. W minioną sobotę, po kłótni i zamieszkach, październikowi rewolucjoniści wybrali na premiera 51-letniego Sadyra Żaparowa (na zdjęciu, przyjmuje gratulacje), uwolnionego z więzienia. Przejmnie on urząd głowy państwa, jeśli Dżeenbekow zdecyduje się go złożyć. Warto dodać, że z czterech dotychczasowych prezydentów tylko trzeci, Ałmazbek Atambajew, ustąpił dobrowolnie.

© WOJCIECH JAGIELSKI



ALEXEY MAISHEV / AFP / EAST NEWS

Kirgizja: rewolucja październikowa

NIE WOLNE WYBORY, lecz rewolucje stają się najpowszechniejszym sposobem zmiany władzy w Kirgizji, mieniającej się dumnie oazą demokracji w Azji Środkowej (regionu, który uchodzi za kolebkę satrapii). Kirgizi właśnie obalili rząd po raz trzeci w ciągu ostatnich 15 lat.

Pierwszy bunt – w 2005 r., przeciw Askarowi Akajewowi (pierwszemu prezydentowi niepodległego kraju)

Pseudodialog i represje



WOJCIECH KONOŃCZUK

CHOĆ OD SFAŁSZOWANYCH WYBORÓW PREZYDENCKICH na Białorusi minęły już ponad dwa miesiące, antyreżimowe protesty nie słabną. Mimo niesprzyjającej pogody w ostatnią niedzielę w Mińsku znów demonstrowało kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Milicja powróciła do represji zbliżonych do tych, jakie stosowała w połowie sierpnia. Zatrzymano ok. 600 osób, wiele pobito. Na kilka godzin do aresztu trafiło też ponad 30 dziennikarzy relacjonujących protesty, co jest kolejnym z wielu działań reżimu wymierzonych w niezależne media.

Na dzień przed tradycyjnym już niedzielnym marszem opozycji Alaksandr Łukaszenka złożył nieoczekiwaną wizytę w mińskim areszcie, gdzie rozmawiał z grupą opozycjonistów na temat planowanej reformy konstytucyjnej. Byli wśród nich Wiktar Babaryka (jeden z jego głównych rywali w wyborach, więziony od czerwca) oraz Lilia Własowa i Maksim Znak (zatrzymani w sierpniu członkowie prezydium Rady Koordynacyjnej opozycji). Krok ten wydaje się zaskakujący. Ktoś, kto twierdzi, że uzyskał w wyborach 80 proc. poparcia, raczej nie wybiera się do aresztu na czterogodzinną rozmowę z zatrzymanymi opozycjonistami. Najwidoczniej reżim ma nadzieję, że uda mu się skłonić choćby niektórych zatrzymanych liderów protestów do współpracy przy zmianie konstytucji, co miałyby rozładować część napięcia społecznego.

Nie ma jednak wątpliwości, że nawet ta pozorowana zmiana od początku do końca musiałaby odbywać się na warunkach i pod dyktando władz. Nowa fala brutalnych represji wobec społeczeństwa potwierdza bowiem, że Łukaszenka nie wykazuje żadnej woli do realnych ustępstw. ©

LICZBA TYGODNIA

110

– po tylu latach pożegnamy Lentilky, kultowe dla kilku pokoleń stodcye produkowane w Czechach. Po zmianie opakowania i receptury – a zapewne również smaku – cukierki będą wytwarzane nadal, tyle że w Hamburgu.

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

OBRADY

Zebranie plenarne Episkopatu w Łodzi i Pabianicach przebiegało według nowej formuły. W pierwszym dniu obrad biskupi podzielili się na pięć grup tematycznych, a w następnym relatorzy przedstawili wszystkim wnioski z tych dyskusji.

SPOTKANIA

Bardziej prawdopodobne jest, że św. Franciszek spotkał się z doradcą religijnym sultana niż z nim samym – uważa specjalista islamu Reinhard Schulze z Uniwersytetu w Bernie w Szwajcarii. Do wyprawy Franciszka mogło dojść w okresie rozejmu podczas V krucjaty w 1209 r. Od strony muzułmańskiej wizyta świętego nie była jednak spektakularna, skoro nie ma o niej wzmianki „w skądinąd bardzo skrupulatnych kronikach” – zauważa uczony. O legendarnym spotkaniu wspomina papież w najnowszej encyklice „Fratelli tutti”.



MPHC / EAST NEWS

POŻEGNANIA

„Eddie gra linie melodyczne z inwencją, która może konkurować z Bachem” – tym cytatem (z producenta słynnego gitarzysty rockowego) pożegnał na Twitterze zmarłego w Kalifornii Eddiego Van Halena kard. Gianfranco Ravasi, przewodniczący Papieskiej Rady ds. Kultury. W wieku 84 lat, po zakażeniu koronawirusem, zmarł również biskup senior Jan Szarek, były zwierzchnik Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, prezes Polskiej Rady Eklezjalnej.

JÓZEF PUCIŁOWSKI OP

Komunia niezgody

ARTUR SPORNIAK: Skąd się bierze opór przed komunią na rękę?

O. JÓZEF PUCIŁOWSKI OP: Z głupoty księży. To nasza wina, bo my odpowiadamy za formację ludzi.



GRAŻYNA MAKARA

Komunia na rękę to sposób niegodny – twierdzą niektórzy.

Człowiek cały jest niegodny – od tego trzeba zacząć. Dlaczego mamy go dzielić na kawałki? Co jest bardziej godne: obślinity język czy czysta dłoń?

Pierwotnie w Kościele przyjmowano komunię do ręki.

Od początku chrześcijaństwa przez prawie całe pierwsze tysiąclecie taka formuła była praktykowana. Istnieją świadectwa z pierwszych wieków opisujące szczegółowo, jak się ją powinno przyjmować. Dopiero średniowieczny kult Eucharystii spowodował zmianę praktyki, jak i to, że świeccy zaczęli rzadko przystępować do komunii. Sobór Watykański II przywrócił możliwość przyjmowania komunii na rękę i z powodzeniem ten sposób

funkcjonuje na Zachodzie. W Polsce przepisy liturgiczne także go dopuszczają, ale z powodów, które trudno mi zrozumieć, księża wołają, gdy wierni klękają i wystawiają język.

Spróbujmy zrozumieć.

W Polsce czujemy wyższość (do czasu!) wobec Zachodu, bo przecież tam laicyzacja galopuje, więc wciąż chcemy się odróżniać.

A taki zaskakujący argument: komunია do ust jest bardziej higieniczna, bo usta są czystsze niż dłonie, którymi ciągle czegoś dotykamy?

Ci, którzy tak mówią, chyba nigdy nie rozdawali komunii do ust. Nie da się uniknąć, by szafarz nie miał śliny na palcach. Więc nie da się uniknąć tego, by nie roznosić w ten sposób chorób zakaźnych. I z tą świadomością musimy żyć.

Narażani są też sami szafarze. Wasz krakowski klasztor od kilku dni jest zamknięty z powodu kwarantanny.

Nie znamy źródła zakażenia. Nie wiemy, czy to przez rozdawanie komunii do ust, ale nie można tego wykluczyć. ©P

O. JÓZEF PUCIŁOWSKI jest historykiem Kościoła. Mieszka w krakowskim klasztorze dominikanów.

Prawne kompendium dla ofiar

„**POTRZEBUJEMY ODKRYĆ** na nowo rolę prawa, zwłaszcza kanonowego, w życiu Kościoła” – zauważa abp Wojciech Polak we wstępie do zbioru „Odpowiedź Kościoła na dramat wykorzystania seksualnego małoletnich. Aspekt prawny”. Publikacja ukazała się staraniem Biura Delegata KEP ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży oraz Fundacji Świętego Józefa. Jest zbiorem najważniejszych dokumentów prawnych Kościoła – od przełomowego dokumentu Jana Pawła II z 2001 r. wprowadzającego odrębne przepisy, aż do wprowadzonych przez Franciszka norm dotyczących odpowiedzialności kanonowej przełożonych kościelnych. Zbiór wzbogacono o komentarze kanonistów. Książka skierowana jest do osób zajmujących się przypadkami molestowania, w tym do ofiar, którym może pomóc zorientować się w meandrach prawa kościelnego.

©P ASK

Kobiety w strukturach Kościoła

KOMISJĘ DS. KOBIET powołał biskup austriackiej diecezji St. Pölten Alois Schwarz. 23 października ma się odbyć zebranie inauguracyjne i wybór przewodniczącej.

Celem komisji jest ukazywanie perspektyw, problemów, a także obrona interesów kobiet oraz dalsze wzmacnianie ich uczestnictwa w życiu Kościoła. Komisja służy także integrowaniu kobiet pracujących w różnych diecezjalnych instytucjach. Każda z piętnastu instytucji diecezjalnych miała prawo wybrania swojej przedstawicielki do komisji.

Zgodnie ze statutem opublikowanym w dzienniku nowe ciało ma za zadanie wysyłać własne przedstawicielki do takich organów, jak rada duszpasterska, komisja liturgiczna i diecezjalna konferencja diekanów. Będzie również mogła przedstawiać propozycje dotyczące zwiększania udziału kobiet w decyzjach personalnych i podjąć regularny dialog z biskupem diecezjalnym.

W Austrii w diecezjach Linz, Salzburg, Innsbruck i Graz-Seckau istnieją już podobne komisje kobiece. Docelowo mają powstać we wszystkich diecezjach. Są instytucjonalizacją silnego w tym kraju ruchu kobiecego.

©P ARTUR SPORNIAK

KULTURA W SKRÓCIE

W BUDAPESZCIE

otwarto Instytut Imre Kertésza (na zdj.). Jego celem jest opieka nad spuścizną pierwszego węgierskiego laureata literackiej Nagrody Nobla. Akademia uhonorowała go w 2002 r. za „powieści, które przeciwstawiają osobiste doświadczenie jednostki brutalnej bezstronności historii”.



IMAGO STOCK & PEOPLE

ALBUM Z SYMFONIAM

Mieczysława Weinberga wydany przez Deutsche Grammophon we współpracy z Instytutem Adama Mickiewicza zwyciężył w Gramophone Classical Music Awards 2020 w kategorii „Nagranie roku” oraz „Muzyka orkiestrowa”.

Na płycie usłyszymy City of Birmingham Symphony Orchestra i Kremerate Baltica pod dyktando litewskiej dyrygentki Mirgi Gražinytė-Tyli.

170 FILMÓW

obejrzą widzowie 36. Warszawskiego Festiwalu Filmowego, który potrwa do 18 października. O nagrodę główną walczy gangsterska tragikomedie „Magnezja” Macieja Bochniaka.

SALE TEATRALNE I KINOWE

mogą być wypełnione jedynie w 25 proc., a w wydarzeniach kulturalnych na świeżym powietrzu może brać udział najwyżej 100 osób. Premiery odwołały już m.in. krakowski Stary Teatr oraz Łaźnia Nowa. TR Warszawa pracuje nad internetowym serwisem ze spektaklami transmitowanymi na żywo.

Nagroda Nobla dla amerykańskiej poetki

MAGDA HEYDEL



NOBEL DLA URODZONEJ W 1943 R. W NOWYM Jorku Louise Glück to wyróżnienie dla poezji klarownej, czystej i zdyscyplinowanej, a zarazem bliskiej zwyczajnej mowie i ludzkiemu doświadczeniu. Nagrodzona m.in. Pulitzerem, Bollingen Prize, Wallace Stevens Award i National Book Award, Poetka Laureatka (2003–2004), ważna postać amerykańskiej sceny literackiej, ma zarazem szerokie grono czytelników.

Jej wiersze mówią o sprawach takich jak utrata, śmierć, miłość, samotność, odczuwanie własnego istnienia w świecie. Język nie zostaje w nich poddany eksperymentalnym przekształceniom, podlega jednak precyzyjnej dyscyplinie. Brzmi w nich rytm dobitnej frazy, która składnię podbija inkantacją. Helen Vendler podkreśla ich szczególnie ton („hierarchiczny i nieziemski”), dzięki któremu zwykłe stwierdzenia zbliżają się do tonu prorocztwa. Poetka sięga często po motywy mityczne: w słynnym wierszu „The Triumph of Achilles” tytułowy „prawie bóg” rozpacza po śmierci Patroklosa, a bogowie widzą, że już jest

martwy, jest ofiarą „tej części, która kocha, / tej która jest śmiertelna”.

Poezja Glück wyrasta z tradycji wyznania – jak napisała jedna z krytyczek, „słowa jej wierszy jakby wydobywają się z samego sedna jej samej” – a równocześnie daleka jest od tak zwanej „szczerości”, pozbawiona ozdobników, oszczędna, niesentymentalna i niemal bezlitosna, a przez to intensywna i ciemna w tonie. Słychać w niej nie tylko mocny zapis doświadczenia, ale i powagę intelektualnego namysłu.

Trzy wiersze Glück w przekładzie Julii Hartwig znalazły się w antologii „Dzikie brzoskwinie” – mówią one o niemal stereotypowych kobiecych doświadczeniach. W rozgrywających kobiecą tożsamość wierszach Glück rzecz jest jednak bardziej skomplikowana. By się o tym przekonać (po polsku), trzeba będzie poczekać. Liczni poeci jej pokolenia doczekali się u nas przyzwoitej prezentacji: Robert Hass, Robert Pinsky, Edward Hirsch, Rosanna Warren, Anne Carson. Pewnie teraz poznamy lepiej i Glück – i bardzo dobrze. ©

COVID: w diagnozie pomoże smartfon

W OBLICZU PANDEMII koronawirusa naukowcy pracują nie tylko nad szczepionkami i lekami – rozwijane są także metody diagnostyczne. Gdy większość państw prosiła ozdrowieńców o donacje osocza krwi, izraelski rząd wraz z firmą Vocalis Health prosił zakażonych o przekazanie... próbek głosu. Chętni mają raz dziennie uruchomić aplikację, a następnie opisać wyświetlony obrazek i policzyć od 50 do 70. Analiza nagrań ma pozwolić sztucznej inteligencji nauczyć się wskazywać – wyłącznie po cechach głosu – prawdopodobne osoby zakażone. Ta sama firma ma już na koncie aplikację, która pozwala rozpoznać przewlekłą obturacyjną chorobę płuc na podstawie sygnałów świadczących o płytkim oddechu użytkowników. Podobne narzędzia testowane są także na osobach cierpiących na demencję, depresję czy choroby serca. Przed inżynierami wciąż jednak wiele wyzwań: cechy naszego głosu zależą nie tylko od chorób, ale także od emocji czy wpływów kulturowych.

© MICHAŁ ŚWIĄTEK



N. BOAK / NPS PHOTOS / MATERIAŁY PRASOWE

Konkurs pulchności

NOWY MONARCHA na imię ma 747 (jak jumbo jet, na powyższym zdjęciu w całej okazałości), waży ponad 630 kg i został obrany królem korpulencji przez ponad 47 tys. głosujących podczas Tygodnia Grubych Misiów (Fat Bear Week), organizowanego przez Park Narodowy Katmai na Alasce. W turnieju głosujący wybierają niedźwiedzia, który w czasie wakacji najlepiej przygotował się do snu zimowego.

Ich obfitości, biorące udział w konkursie, mają swoich zagorzałych fanów, nie tylko komentujących kaloryczne postępy idoli, ale także produkujących plakaty wyborcze, przypinki, a nawet wybierających się za swoich faworytów. Wydarzenie odbywa się pod hasłem „Przetrywają najpulsniej-si” („Survival of the Fattest”). © PS

TEMAT
TYGODNIKA

JAK TU KOCHAĆ

KAROLINA HAMER I MICHAŁ ŁUCZEWSKI

Według etykiet: aktywistka LGBT i konserwatywny katolik. Różni ich wszystko – nie tylko płeć, orientacja czy światopogląd. W podzielonej Polsce właściwie nie powinni się spotkać. Nie powinni?

ZDJĘCIA MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”



KAROLINA HAMER (ur. 1981) jest aktywistką i pływaczką, wielokrotną medalistką mistrzostw świata i Europy osób niepełnosprawnych, paraolimpijką. W 2018 r. wzięła udział w proteście osób z niepełnosprawnościami i dokonała coming outu jako kobieta biseksualna. Kilka miesięcy temu w formie ebooka ukazała się książka „Niezatapialna” – rozmowa rzeka, którą przeprowadziła z nią Karolina Domagalska.

**MICHAŁ ŁUCZEWSKI**

(ur. 1979) jest socjologiem i psychologiem, adiunktem na Wydziale Socjologii UW, w latach 2013-19 był zastępcą dyrektora Centrum Myśli Jana Pawła II. Opublikował m.in. „Odwieczny naród. Polak i katolik w Żmijęcej” (Nagroda Tischnera 2013) oraz „Kapitał moralny. Polityki historyczne w późnej nowoczesności”.



MICHAŁ OKOŃSKI: O czym będziemy rozmawiać?

KAROLINA HAMER: Najprawdziejw będzie chyba rozmawiać o nas samych. O tym, że gdy spotkaliśmy się pierwszy raz, to wzięłam kule i chciałam wyjść, a teraz myślę, że Michał to mój brat. A o co ty chcesz pytać?

Ja chcę posłuchać. Z poczuciem, że możecie mówić o wyrzucaniu się ze wspólnoty i wojnie kulturowej, o katolikach i osobach LGBT, ale że to zawsze będzie mniej ciekawe niż ludzka historia.

KH: Jestem blockersowa, nie chcę owijać w bawełnę. Z dzieciństwa pamiętam głównie rehabilitację i walkę mamy z lekarzem, który powiedział, że będę jak roślina. Mało miałam czasu na zabawę, ale bawiłam się np. w odprawianie mszy. Siedziałam z maskotkami, brałam skarbczyk i odprawiałam, tylko że zawsze mówiłam: „Nie martwcie się, kazania nie będzie”. Czuję sprzeciw, kiedy ktoś, zamiast pokazywać Boga czynami, zaczyna o nim gadać. Zwłaszcza jak traktuje innych z góry.

MICHAŁ ŁUCZEWSKI: To o mnie było. Na początku musiałam mnie tak odbierać i to nie tylko dlatego, że jestem wykładawcą i dużo mówię.

KH: To będzie nasz wspólny *coming out*. Oboje trafiliśmy do Leadership Academy for Poland, której założeniem jest przygotowanie grupy różnie myślących ludzi do wspólnego rozwiązywania polskich problemów. Niby wiedziałam, że spotkam tam osoby z innej bajki, ale...

MŁ: Gdy się zorientowała, że jestem z Centrum Myśli Jana Pawła II i dotarło do niej, że następnych parę dni spędzi zamknięta ze mną w małej sali, zaczęła krzyczeć: „Kurwa, ja pierdole!”.

I jak się z tym czujesz?

MŁ: Najpierw zdziwiony: przecież ja zawsze starałem się być taki dialogiczny i zakładałem maskę gościa, którego się lubi. Paradoksalnie jednak poczułem się w swoim żywiole. Pomyślałem: „OK, znam te wszystkie argumenty. Uważa mnie za katola, ma alergię na JP2, a ja umiem grać w tę grę. Zatańczę do tego”.

KH: Jak zobaczyłam, że jeszcze tańczy, uznałam, że jest kompletnym pajacem.

Naprawdę zatańczył?

MŁ: Kiedy przeszliśmy z pracy w małych grupach do 40-osobowego zespołu, znaleźliśmy się w kłinczu i nie mając pomysłu na jego przełamanie, wyszedłem na środek i zatańczyłem.

Ale najpierw była metafora tańca. Od tylu lat uczestniczę w wojnach kulturowych, więc sądzę, że wiem, co ludzie powiedzą. Jak Neo z „Matriksu”, znam wszystkie odpowiedzi.

KH: Byłam wkurzona: znalazłam się w wyselekcjonowanej grupie, której założeniem jest sklepanie Polski, a sama selekcja kłóci się z moim postrzeganiem świata. W dodatku wielu uczestników świetnie mówiło po angielsku i używało trudnych słów, a mnie się wydawało, że chcą pompować ego.

Ale przede wszystkim byłam w trakcie najtrudniejszego czasu w moim życiu. Wróciłam na pozytywnym haju z Meksyku, gdzie po mistrzostwach świata zostałam parę miesięcy, byłam wolontariuszką w muzeum Fridy Kahlo i czułam się akceptowana, a po powrocie zaliczałam cios za ciosem. Zaczął

się protest osób z niepełnosprawnościami i postanowiłam, że wesprę go białą-czerwoną koszulką olimpijki. Dokonałam *coming outu*. Skończyłam karierę sportową. A miesiąc później umarła moja mama. Chciałam tylko siedzieć i płakać, a musiałam po angielsku dyskutować o sklepaniu Polski z jakimś katolickim fanatykiem.

Wiesz, skąd u Ciebie ta złość?

KH: Miałam 7 lat. Czekałam na pierwszą komunię, bo wydawało mi się, że Chrystus mnie uzdrowi. Sto dzieciaków szło do komunii, ja jedna z niepełnosprawnością. Uklękałam, wzięłam Jezusa do serca, nogi nie zadziały, a proboszcz mnie opieprzył: „Wstawaj szybciej, blokujesz kolejkę”. Dzieciaki biorą wszystko serio. Miałam wyzdrowieć – nic z tego. Miałam przynależeć do wspólnoty – dostałam strzałę. A że zawsze byłam emocjonalna, to mnie naprawdę zablokowało. Kościół kojarzy mi się z wykluczeniem, a jego głową był przecież Jan Paweł II.

MŁ: No więc zobaczyłem wkurzoną feministkę, w dodatku jeszcze LGBT. Miałem pocucie, że świetnie wiem, jak się takie panie obsługuje.

KH: Ja byłam na barykadzie, on mówił, że bez przesady z tą równością. LGBT? „Ja do ciebie nic nie mam, ale sorry: to jest grzech”.

Tak mówił?

MŁ: Nie, ale sądzę, że dobrze odczytywała jedną z moich myśli.

KH: A ja na to: „Stary, nic nie wiesz, prawda jest na ulicy, a ja jestem dyskryminowana jako kobieta, jako osoba biseksualna i osoba z niepełnosprawnością. Stań koło mnie, ramię w ramię, wtedy możemy sobie pogadać intelektualnie o Bogu, a jak nie, to żegnam”.

MŁ: Ładne mi „żegnam”. „Wypierdalaj!”.

No i?

MŁ: Cały czas kombinowałem, jak pójść do przodu. Jak coś zrobić z grupą. Cokolwiek wymyśliliśmy, pojawiał się jeden z prowadzących i mówił, że to nic niewarte. Nasz niepokój się zwiększał, ego się odzywało, trwało to godzinami, właśnie dlatego założyłem pizamę z Batmanem i zatańczyłem: chciałem spróbować od innej strony.

KH: „Nie dość, że święty, to jeszcze Batman”, pomyślałam.

MŁ: Ale moje poświęcenie też nie podziałało, choć parę osób zaczęło tańczyć. No więc w kółko robiłem plany, wymyślałem scenariusze, zapisywałem wielkie traktaty. Aż w końcu którejś nocy przypomniała mi się „Killing me Softly” Fugees, a potem znalazłem wersję Perry’ego Como. I zacząłem słuchać w kółko.

KH: Co cię tak ruszyło?

MŁ: Najpierw, że była to piosenka z ukochanej płyty mojej żony. Że to był jej przekaz dla mnie. Zabawne zresztą, bo słuchałem tej płyty i nie rozumiałem, o czym to jest. W jednym kawałku padało np. słowo „Syjon” i to było imię synka Lauryn Hill – a ja słyszałem nie „to Zion”, tylko „desire”. Myślałem, że to piosenka o pożądaniu i kręciło mnie to.

U Perry’ego Como mężczyzna śpiewa o kobiecie. Pomyślałem, że to ja mogę delikatnie zabijać swoją żonę – zwłaszcza że gdy wyjechałam, to się rozchorowała. Potem zacząłem my-

śleć o innych postaciach, np. o prowadzących. A w końcu uznałem, że to o ciebie chodzi. Że to ty mnie delikatnie zabijasz. Najpierw tym wkurwem, który na mnie nie zadziałał, bo wiedziałem, jak do niego zatańczyć.

KH: Nie czułeś się odrzucony?

MŁ: Nie, czułem, że mam przewagę.

KH: Bo jesteś białym heteroseksualnym mężczyzną?

MŁ: I do tego jeszcze świetnie wykształconym.

Ale tamtej nocy do mnie dotarło, że ja cię w ogóle nie słucham. I nie tylko ciebie. Przez te ciągłe kłótnie Hamer z Łuczewskim pracowaliśmy w naszej grupie wolniej niż inni. W końcu mieliśmy się zająć tematem, który wniósł jeden z kolegów. Mówił o swoich wyzwaniach, określał je w gruncie rzeczy jako techniczne. A że ja umiem moderować panele, powiedziałem: „Dobra, poprowadzę ci to”. No i jadę na automacie, udzielam głosu, jestem cały w roli, i w pewnym momencie czuję wzrok grupy na sobie. Widzę, że są źli i kompletnie tego nie rozumiem. Odwracam się do niego i widzę, że płacze. Nie mam pojęcia, dlaczego.

Rozwaliło mnie to. Poczułem, że twój atak, który wcześniej tak mnie bawił, dotykał istoty rzeczy. Że niby taki zajebisty: biały i heteroseksualny, jak powiedziałaś, z żoną, czwórka dzieci i domem, autor książek, dyrektor od Jana Pawła II, a nie rozumie, dlaczego kumpel płacze.

Pamiętam, że dzień później miałem brać udział w dyskusji wokół mojej książki „Kapitał moralny”, na którą mieli przyjść różni ważni politycy i na której też pewnie tańczyłbym jakiś taniec. Zmieniłem plany: pojechałem odwiedzić swojego 91-letniego dziadka. Poczułem, że aby zrozumieć, skąd jestem i gdzie jest moje miejsce, muszę go zobaczyć. Jechałem i płakałem, nie wiedząc nawet dobrze, dlaczego. Myślałem też o tobie. I cały czas miałem „Killing me Softly” w tyle głowy.

Perry Como śpiewa mniej więcej tak: słyszałem już o niej i wiem, że zaśpiewa dobrą piosenkę, „good song”. To „good song” rozumiałem jako „good message”. Że jest ktoś, kto ma Dobrą Nowinę i zna mnie od wewnątrz. Jak Jezus, który widział, co naprawdę jest w człowieku.

To otwiera wątek, w jaki sposób widzimy siebie i innych. Kiedy Karolina mówi o tym w swojej książce, przedstawia się jako kobieta i aktywistka. Nie ma tu niepełnosprawności czy orientacji seksualnej.

KH: Jak się dostałam do tej szkoły liderów, pomyślałam: „Kurczę, ile tu roboty”. Wszystko wielkie, niedostosowane do osób z niepełnosprawnością i nikt tego nie widzi. Włączyła się we mnie stara rola, że oto Hamer wszystkim będzie tłumaczyć świat, choć nie miałam na to najmniejszej ochoty. Oczekiwałam raczej od ludzi wybranych do zbawiania świata, że okażą się specjalistami od praw człowieka. Przerazające było też dla mnie takie poczucie: mimo iż jest już dawno ustalone, że orientacji seksualnej się nie wybiera i że tym się nie można zarażać, to wielu ludzi ma jakieś opory w kontakcie.

MŁ: Ja się ciebie boję, Karolina. Mówię szczerze.



MICHAŁ ŁUCZEWSKI:

Zobaczyłem wkurzoną feministkę, w dodatku jeszcze LGBT. Miałem poczucie, że świetnie wiem, jak się takie panie obsługuje.



KAROLINA HAMER:

Ja byłam na barykadzie, on mówił, że bez przesady z tą równością LGBT? „Ja do ciebie nic nie mam, ale sorry: to jest grzech”.

KH: Czego się boisz?

MŁ: Tak naprawdę chyba tego, że we mnie też się może pierwiastek homoseksualny odezwać. Albo kobiecy.

KH: Ale co cię właściwie przeraża? Masz w sobie coś, czego nie akceptujesz?

MŁ: To jest tak subtelne i na tak głębokim poziomie, że dopiero mówiąc o tym na głos, jestem w stanie się z tym skontaktować. I mam poczucie, że moja część homofobiczna, bo ona również występuje, ma jakiś związek z tym, że jest we mnie ta część kobieca. Inna sprawa, że kiedy tego dotkam, to się zastanawiam, jak wygląda pierwiastek homofobiczny u aktywistów LGBT. Czy jeśli ja zabijam w sobie tę kobiecą część, to oni zabijają w sobie część, która nie lubi własnego homoseksualizmu.

A nie jest tak, że wielu z nich całe życie musiało tę część zabijać w obawie przed wykluczeniem?

KH: Nie wiem, czy nie odlatujemy za bardzo w teorię. Ja się zorientowałam, że jestem biseksualna, kiedy w wieku 35 lat zakochałam się w kobiecie. Ale wtedy już potrafiłam się do siebie uśmiechnąć, bo po latach ciężkich treningów życiowych dotarło do mnie, że taka jaka jestem, jestem OK. Ty, jaki jesteś – heteroseksualista i katolik – też jesteś OK. Tylko jeśli mamy żyć w jednym świecie, to nie ma powodu, żeby małżeństwa homoseksualne były zakazane. Dla mnie to jest tak, jakbyśmy pozwalali się żenić tylko niebieskookim, a zabraniali brązookim.

Powiedziałeś jej, że LGBT to grzech?

MŁ: Odczytała to w moich myślach. Nie powiedziałem.

KH: Ale pomyślałaś? Wow!

PAULINA BEDNARZ-ŁUCZEWSKA: Mogę na chwilę? Bo was podслуchiwałam z kuchni i było superciekawie, ale jak zaczęliście wchodzić na takie ogólne kwestie, to mi się odechciało. Milion razy to słyszałam.

KH: Usiądź, Paulina. Nikogo nie wykluczamy.

Jeśli ona nie wybrała swojej orientacji, a on uważa ją za grzeszną, to trudno o tym nie mówić.

KH: Nie jestem specjalistką od Ewangelii, ale coś mi zgrzyta, jak słyszę: „ty grzeszysz”. Jeśli zostałam tak stworzona, to oznacza, że jestem OK. I mam takie same prawa. A chowanie się do szafy w imię waszego komfortu nie jest fajne. Sorry, →

→ że tak mówię, ale pojawia się we mnie wkurw. Nie będę siedzieć w szafie.

Pamiętam, że jak mieliśmy jakiś konflikt w grupie, Michał powiedział coś zarąbistego: „Karolina, ty do nas przynależysz, będziemy cię bronić, jesteś nasza”.

Wcześniej tego nie czułaś?

KH: Wcześniej z nimi walczyłam. Ja wam wytłumaczę świat, a wy, matolki, niczego nie rozumiecie.

Zupełnie jak Łuczewski.

KH: On święty Batman, ja aktywistka, zaraz mu pokażę, a reszta nie wiedziała, co z nami zrobić. Powiedziałam im w końcu: „Już stańcie za tym świętym Batmanem, ale nie mówcie, że was to nie dotyczy. Mieście swoje wartości i nie bądźcie tacy pokraczni: ani tu, ani tu”. Kościół obumiera? No to zróbcie coś z tym. Obojętność jest złem. Wszystko was dotyczy. Żyjemy na jednej planecie i jesteście całością.

MŁ: Jak przyszła Paulina, myślałam właśnie: „OK, powiedziałaś już swoją kwestię o małżeństwach, zaczynamy taniec”. To samo miałem, jak Michał zapytał, czy LGBT to grzech.

KH: No to ja przyspieszę rozmowę. Chcesz, żebym była szczęśliwa?

MŁ: Tak.

KH: Wiesz co, Michał, ale jak będę mieć partnerkę, którą będę kochać, to najważniejsze na świecie będzie dla mnie wzięcie z nią ślubu. Powtarzam pytanie: chcesz, żebym była szczęśliwa? Co tutaj jest na poziomie czynów, a co na poziomie gadki? Wiem, że to nie jest twój problem, bo masz zabójczą żonę, dzieci i jesteś fajnym facetem.

PBŁ: Ja jednak sobie pójdę.

MŁ: Zostań, proszę.

PBŁ: Bo dla mnie to jest cud. To, że Michał kocha Karolinę. I że, jak dzisiaj poznałam Karolinę, to widzę, że Karolina kocha Michała. Mój mąż niewiele osób kocha. Wiem, że mnie kocha, ale poza mną to już naprawdę niewiele. I mnie to interesuje najbardziej: że ją kocha. A nie pomimo czego ją kocha. Jakby nie mogli żyć w napięciu i niezgodzie. Przecież oni się pokochali właśnie w napięciu i niezgodzie. A jak zacząć definiować, co ich różni, to znowu dojdą do miejsca, w którym po jednej stronie będzie „pierdolony dyrektor od Jana Pawła II”, a po drugiej „laska, która gada tę samą śpiewkę, co wszyscy”.

Mnie się wydaje, że ich rozmowa jest po to, żeby nie wrócić w to samo miejsce. I że rozmawiając naprawdę, nie da się nie dotknąć tej niezgody.

KH: Jak się rozjeżdżaliśmy do domów i staliśmy już przy samochodach, to zażartowałam po staremu: „O, tam stoi Pan Bóg”. A on podszedł i mnie przytulił. Mnie, grzesznicę. Tak w ogóle to mam go w komórce wpisanego jako „Pana Boga”.

Ostatnio miałam konflikt z jedną z moich siostr-aktywistek i myślałam, że ten konflikt go ucieszy. Że powie coś w stylu „a nie mówiłem...”. A on mnie wsparł. Nigdy się nie czułam tak zrozumiana jak wtedy, kiedy mówił, że konflikt

z tymi, których się kocha, są najtrudniejsze. Pamiętam też, jak powiedział niedawno, że wziął dzieciaki na wycieczkę i w jej trakcie pierwszy raz w życiu poczuł Boga. Zrobiłam wszystko, żeby się nie popłakać.

No to wróćmy do momentu, w którym powiedział, że do nich przynależysz.

KH: Pan Bóg, Batman, święty Jan Paweł to powiedział... Ja to chyba pierwszy raz w życiu usłyszałam. Zawsze byłam na barykadach, zawsze walczyłam, ale w gruncie rzeczy byłam kompletnie sama. I nagle ktoś, po kim bym się najmniej spodziewała, powiedział, że nie jestem sama i że będzie mnie bronił.

A z tym, że pierwszy raz w życiu poczułeś Boga teraz, na wycieczce z dziećmi... Możesz powiedzieć, co w takim razie było wcześniej?

MŁ: Rola. Taniec. Dopiero jak Karolina to skruszyła, poczułem się... Nie lubię tego słowa. Niepełnosprawny. Oto doskonały Michał jest tak naprawdę niepełnosprawny. Nie ma nogi, ręki, nie wiem... I musi przestać pozować na Pana Boga. Dopiero jak przestałem go grać, mogłem się zacząć uczyć. Także od ciebie. Albo od naszego kolegi Krzyśka. Modlitwy, bycia w pokoju ucze się od ludzi, którzy nie do końca są ludźmi Kościoła.

Myślę, że Pauliny interwencja była dobra, żebyśmy się nie pokłócili.



KAROLINA HAMER: Lekarz powiedział, że mu kaktus wyrośnie, jak będę chodziła i mówiła, a mama się wkurzyła i odparła: „Jeszcze zobaczymy”. Ale z dzieciństwa pamiętam, że byłam problemem do ogarnięcia.

KH: A nie masz poczucia, że jesteśmy na to gotowi? Powiedz mi po prostu, gdzie jest ten Bóg i czy mogę być szczęśliwa? Jestem biseksualna, zobacz: z mężczyzną nie grzeszę, a z kobietą grzeszę? Z ciekawości pytam.

MŁ: A ja tej ciekawości nie czuję. Czuję, że jak źle wybiorę, to przestaniemy się przyjaźnić. I czuję, że zaczynają przez nas mówić ideologie.

KH: Ale ja nie jestem ideologią.

MŁ: Tylko to jest coś poza mną i tobą. Kwestia małżeństw, prawa, jest kwestią społeczną, nie indywidualną.

KH: Nie możesz powiedzieć: „Stoję za tobą, siostrzo, bądź szczęśliwa?”. Przecież Bóg jest właśnie w tym „bądź szczęśliwa”, a nie w rozważaniu, co jest grzechem.

Chciałbym zrozumieć interwencję Pauliny: uważasz, że to jest nieciekawe, czy obawiasz się, że jak tego dotkniemy, wszystko się skończy?

PBŁ: Obawiam się wepchnięcia Michała w rolę. „Dobrze gadasz, ale teraz sprawdźmy, czy jesteś naprawdę fajnym otwartym katolem, czy głupim zamkniętym”. Przecież ty,

Karolina, nie zapytałaś: „Za tydzień mam ślub z moją partnerką, przyjdiesz czy nie?”.

KH: Ale ja nie mogę wziąć ślubu z moją partnerką! Nie mam takiego prawa!

MŁ: W Berlinie masz.

KH: Ale ja nie chcę jechać do Berlina.

PBŁ: No to inaczej: gdybyś powiedziała: „Michał, chcę wziąć ślub z Krysia i boli mnie, że nie mogę tego zrobić w Polsce, zareaguj” – to on mógłby zareagować różnie. Mógłby cię wesprzeć, powiedzieć, jaki ma pogląd, mógłby nawet powiedzieć, że Krysia jest głupia. Ale rozmawialiśmy o ludziach, nie o teorii. Może zresztą dlatego zareagowałam, że u Michała teorie i spotkanie z drugim człowiekiem to są oddzielne szuflady. Co ja mówię: u Michała – u mnie też. I może w ogóle u nas wszystkich. Jest szuflada na miłość i szuflada na teorie.

Przychodzi nastoletnia córka i wywołuje u mnie skok adrenaliny. Mogę zareagować z miejsca: „teoretycznie powinno być tak i tak”, sięgnąć do swoich poglądów, uznać, że ona się nieodpowiednio zachowuje – i wtedy generalnie pogarszam sytuację. Ale mogę też z całą bezradnością, jaką mam wobec nastolatki, zareagować z serca na to, co się wydarza.

MŁ: A może jest tak, że interwencja Pauliny była spowodowana jeszcze czymś innym: obawą, że się skanceluję.

A Ty się tego obawiasz?

MŁ: Jak patrzę na Zachód, to myślę, że za 5 czy 10 lat ktoś będzie czytał tę rozmowę i wyciągał z niej zdania, które mnie pogrążą. Że jak już Polska będzie całkiem nowoczesna i liberalna, ktoś sprawdzi, co Michał Łuczewski mówił w 2020 r.

KH: Ale czemu ty się w ogóle nad tym zastanawiasz? Przecież jak masz swoje wartości, to przy nich stoisz.

MŁ: Chcę ci odpowiedzieć. Ale uważam, że pytanie o śluby i grzech nie jest niewinne. Ja je nazywam pytaniem siły. Nie odczuwam w nim zaciekawienia, tylko echo idącej przez nasze społeczeństwo przemocy, która każe się opowiedzieć, a jeśli się źle opowiesz, to albo cię stąd wyrzucimy, albo zbudujemy na tobie mur.

KH: Ale...

MŁ: Nie, skup się teraz, bo to jest ważne.

KH: Skupię się albo nie, jak będę chciała.

MŁ: Przepraszam. Po prostu dla mnie to jest bieda. Moja bieda, że jestem skonfrontowany z takim pytaniem, ale też twoja bieda. Musimy to pytanie zadać, bo ono jest w powietrzu, chociaż między tobą i mną pojawia się pierwszy raz. Patrzyłem na ciebie zawsze jak na osobę z wieloma krzyżami. Widziałem osobę wykluczoną, widziałem kozła ofiarnego. Rezonowało to we mnie, bo ja też często się czułem kozłem ofiarnym. No i mam opór przed sytuacją, gdy osoby marginalizowane zaczynają toczyć walkę, która nie powinna ich dotyczyć.

KH: Znowu zaczynasz jakąś nadbudowę z dupy. Pytanie brzmiało: co ci zależy, żebyś była szczęśliwa? Ty mówisz, że to jest teoretyczne, a ja mówię, że nie jest, bo ja płonę, czuję ból z powodu wykluczenia. Co ci zależy? Gdzie jest Bóg? Czy Jezus wykluczał? Należę do was czy nie?

Tak, konfrontuję cię, tak, jest to beczelne, ale wierz mi: każdego dnia konfrontuję też siebie. Każdego dnia mogę za-



MICHAŁ ŁUCZEWSKI: A ja byłem dzieckiem idealnym i niesprawiającym kłopotów. I pełnym niepokoju, czy to wystarczy. To, że się urodziłem, to był cud. Przed rodzicami musiało stanąć pytanie o aborcję.

wieść, każdego dnia mam pokusy, więc zadaję sobie pytanie: „Karolino Hamer, jakie masz wartości?”.

MŁ: Dla mnie to, co jest między nami, to nie jest „co ci zależy”. Dla mnie to jest miłość do ciebie.

KH: Jak możesz mnie kochać i mówić: „to jest grzech”?

MŁ: Wiesz, co mogę zrobić? Jeśli przyjdiesz z zaproszeniem na ślub, mogę dać ci swój spokój – i nie przyjąć twojego niepokoju. Nie wiem, jak to będzie konkretnie wyglądało, bo to się wydarzy, kiedy przyjdiesz. Chciałbym to przyjąć z miłością. I przyjąć ciebie z miłością.

KH: Nie rozumiem, co do mnie mówisz.

MŁ: Bo ty chcesz połączyć coś, co ja próbuję rozdzielić. U mnie na wydziale byłem jedynym samodzielnym pracownikiem naukowym, który zaprotestował przeciw wieszaniu na budynku tęczyowej flagi. Uważałem, że uczelnia powinna być miejscem wolnej debaty, a nie stawać po którejś ze stron.

KH: I poczułeś się wykluczony, rozumiem.

Gdy mówiłeś o lęku przed skancelowaniem, pomyślałem: no zaraz, przecież ten facet należy do wszystkich możliwych większości, jakie dziś można sobie w tym kraju wyobrazić. A zarazem nie jesteś pierwszym katolickim intelektualistą, który przedstawia się jako ofiara dyskryminacji.

MŁ: No więc ja się faktycznie lękam. Jak daję wywiady w USA, wazę każde słowo.

KH: Jestem kobietą. Jestem kobietą z niepełnosprawnością. Jestem osobą biseksualną. Ile mam dać czasu ludziom – również tobie – żebyś miała równe prawa? Żebyś wiecznie nie startowała do wspinaczki dwa piętra niżej od was?

PBŁ: Wicie co, przepraszam: może to ja zideologizowałam rozmowę. Ja się nie boję, że się skancelujesz, Michał. Chodzi raczej o poczucie, że są pytania, na które odpowiedzi mogą paść tylko przy wyłączonym mikrofonie. Serce do serca. Bez brania odpowiedzialności za to, co słyszysz z tego ci, którzy nie są z nami w relacji.

Wciąż mam poczucie, że warto próbować. A pytanie o małżeństwa homoseksualne może być nawet kładką, po której przyjdą do Was ci, których zamyka mówienie o spotkaniu „serce do serca”.

KH: Z poziomu serca powiem: jestem kurewsko zmęczona. I potrzebuję wsparcia. Żeby nie musieć udawadniać, że jestem człowiekiem. Żeby przez następne 30 lat znów nie udawano, że nie ma niepełnosprawności i że jest tylko jedna orientacja seksualna, a reszta to zboczenia. I żeby przestano za mnie decydować o moim losie. Tak, czuję się ofiarą. Nie chcę się już czuć ofiarą. I chcę, żeby Michał stanął przy mnie w mojej walce.

→ **MŁ:** W sprawie Margot byliśmy po dwóch stronach barykady i ciężko byłoby znaleźć porozumienie.

KH: A właśnie, że nie. Bo jak mi opowiadałeś, co cię spotkało po tej sprawie flagi na wydziale i po wywiadzie, w którym nazwałęś LGBT „nową religią”, to mówiłam: „widzisz wreszcie, co to znaczy być wykluczonym”.

Moim zdaniem niezajęcie stanowiska i udawanie, że sprawy nie ma, jest gorsze od stanięcia po którejś ze stron. W tym sensie strona liberalna mogłaby się ogarnąć i przestać liczyć na to, że coś, co się wymiotło spod dywanu, pod ten dywan wróci. Ja, jak ja coś spierdole, mówię „przepraszam”. A za swój język nie będę przepraszać, bo jak ktoś był tyle lat dociskany, to może się przez chwilę nie przejmować konwensami. Ludzie, jak mają dosyć, to krzyczą z rozpacz i żalu. Ten krzyk ratuje życie. Pokazanie faka to jedna z najbardziej lajtowych reakcji. Naprawdę powinniście mówić o prawach osób LGBT, a nie dywagować, czy się o nie upominają wystarczająco grzecznie.

MŁ: Zawsze mnie dociskałaś, żebym zdjął maskę. Otóż ta maska brała się z poczucia, że byłem niekochany. Że gdzieś w rdzeniu zostałem zniszczony.

KH: Ty mi nie mówiłeś kiedyś, że musiałeś walczyć o prawo do Boga? Że twój tata był superateistą?

MŁ: Na bardzo liberalnym uniwersytecie też nie było z tym łatwo.

KH: Bo jak ty walczyłeś ze swoim tatą o Boga, to nas naprawdę nic nie różni. Też musiałam powiedzieć: „Tato, ja pójdę po swojemu” (*wstaje, przechodzi na drugą stronę stołu i przytula Michała*). My, niekochane dzieci naszych cudownych rodziców.

Czyli tam najgłębiej nie ma ideologii, orientacji, religii, tylko dziecko, które szuka miłości?

KH: Mówiłam już: jak się urodziłam, miałam być roślinką. Lekarz powiedział, że mu kaktus wyrośnie, jak będę chodziła i mówiła, a mama się wkurzyła i odparła: „Jeszcze zobaczmy”. Ale z dzieciństwa pamiętam, że byłam problemem do ogarnięcia. Ojciec miał cały plan, że będę księżową albo telefonistką. Pamiętam, jak mnie rozrywało, kiedy dorastałam: że nie widzi mojego potencjału i muszę spełniać jego smutne wizje. Gen walki dostałam chyba z mlekiem matki, ale ta walka była trudna, bo dzieci chcą być kochane i nie chcą być na wiecznej wojnie.

MŁ: Ty byłaś problemem, a ja byłem dzieckiem doskonałym. Idealnym i niesprawiającym kłopotów. I cały czas pełnym niepokoju, czy to wystarczy. Te wszystkie książki, które tu stoją... Zastanawiałem się kiedyś, po co je pisałem. „Mamo, zobacz, już umiem pisać i czytać, już zrobiłem habilitację...”.

KH: Myśmy naprawdę zagrali w to samo. Medal paraolimpijski chciałam zdobyć bardziej dla rodziców niż dla siebie.

MŁ: To poczucie, że nie jestem kochanym i przyjętym dzieckiem, bierze się pewnie z tego, że urodziłem się, kiedy rodzice byli bardzo młodzi. Czasy były takie, że musiało przed nimi stanąć pytanie o aborcję. No i złamałem tacie karierę naukową. Może dlatego tyle energii poświęciłem pisaniu tych wszystkich rozpraw.

To, że się urodziłem, to był cud. Rodzice mnie przyjęli. A tata w tamtym roku, zresztą rozwodząc się z mamą, powiedział mi po raz pierwszy, że mnie kocha.

KH: Teraz, kiedy wiem, że mogło cię nie być na świecie, w pełni rozumiem to, że tak mocno jesteś za prawem do życia. I znowu chcę cię przytulić. Jak dobrze, że jesteś...

Patrzcie, ile to zmienia. Jak łatwo można o kimś powiedzieć: „Oszołom. Każe kobietom rodzić”. Brakuje mi teraz słów.

MŁ: Ciebie też mogłoby nie być.

KH: Mama miała wskazanie do cesarskiego cięcia. Lekarz podjął złą decyzję. Zostałam wyciśnięta. Nastąpiło niedotlenienie mózgu. A potem była... Walka o przeżycie. W dodatku mój ojciec jest przemocowcem. Można się podporządkować jego woli albo wypierdalać. Pływanie mnie uratowało, ale wciąż czuję gniew, kiedy zaczynam podejrzewać, że wolałby, żebym się nie urodziła.

MŁ: Jak mama była w ciąży, to Jan Paweł II przyjechał do Polski. Mam takie poczucie, że zostałam wtedy uratowany: że jakiś silny mężczyzna wyciągnął dłoń i ochronił kobietę.

A jak się czujesz z tym, że mikrofon jest cały czas włączony?

MŁ: Myślę o rodzicach i o tym, czy mówiłem tak, żeby ich nie zranić. Ale myślę też o pytaniu, które zadała mi Karolina, i o tym, że nie chcę już uciekać przed odpowiedzią. Ono trąciło ideologią, bo nie potrzebowałam spotkania z tobą, żeby ktoś mi je zadał. Jak moja córka pyta: „Tato, co byś zrobił, gdybym była lesbijką?”, to czuję, że ono nie jest od niej, ale że gdzieś coś usłyszała.

A jeśli jest od niej?

MŁ: Biorę pod uwagę. I tu chyba dochodzę do sedna: że to pytanie nie może kończyć rozmowy. A teraz mnie jeszcze olśniło, że Karolina je zadała trzy razy. I że to jest tak naprawdę pytanie Chrystusowe: czy mnie miłujesz? „No miłuję cię, jasne”. Ale ona pyta jeszcze raz, i wtedy czuję, że coś jest jednak nie tak. Odpowiadam: „Przecież wiesz, że cię miłuję”.

KH: Ja wiem, że „Tygodnik” napisał miliard razy o zdaniu „Kochaj bliźniego jak siebie samego”. To jest zdanie Jezusa – rewolucjonisty, który by stanął po stronie wykluczanej mniejszości.

A nie ma w tym wezwania, by kochać siebie?

MŁ: W miłości nieprzyjaciół też o to chodzi. Ja jestem swoim pierwszym nieprzyjacielem. A ty byś, Karolina, powiedziała, że siebie kochasz?

KH: Moją ukochaną książką w dzieciństwie była „Karolcia”. Jej bohaterka miała magiczny niebieski koralik i chciała za jego pomocą naprawić świat. Rodzice nie wierzyli w jej moce, ale ona je miała. Ja też je miałam. I mój wkurw był dlatego, że wydawało mi się, że nikt ich nie widzi. Że przecież jestem cudem, a nie cudakiem.

Nie chciałam tego powiedzieć, ale powiem: czuję, że mam do spełnienia jakąś ważną rolę. „Jesteś tu po to, aby uzdrowić świat” – powiedział mi szaman w Meksyku.

MŁ: Zapytałem, czy siebie kochasz, a nie czy masz coś do zrobienia. Kiedyś mówiłem ci zresztą, że wcale nie myślę, żeby aktywizm to była ta twoja misja.

KH: Pozwól, że to jednak ja ją wybieram.

Proces pokochiwania siebie zaczęłam w momencie śmierci mamy. Rozrywało mi serce. Miałam stany depresyjne.

Dziecko z niepełnosprawnością łatwo się podłącza pod rodziców. Skleja się z nimi. Jak mama zmarła, poczułam się strasznie zagubiona (*placze*). Potem, po jakichś dwóch latach, z małej Karolinki stałam się Karoliną.

Jakby mi mama powiedziała: jesteś gotowa. Bo wiecie, ona mnie przed śmiercią przeprosiła. Powiedziała, że chyba nie zrobiła wszystkiego, co mogła, żebym była sprawniejsza i fajniejsza. A ja powiedziałam, że zrobiła wszystko. Pamiętam, że w hospicjum, trzymając ją za rękę, jak już była nieprzytomna, mówiłam: „Jesteś spokojna, jesteś bezpieczna. Możesz odejść, ja sobie poradzę”... Moja książka ma tytuł „Niezatapialna”. Dziś rzeczywiście czuję się niezatapialna.

Pamiętam z książki opis jednego z Twoich startów, kiedy miałaś poczucie absolutnego zjednoczenia z tym, co robisz. Kiedy poczułaś, że jesteś pływaniem.

KH: Sportowcy nazywają to „flow”. To lepsze od orgazmu. Odcinasz się od wszystkich bodźców. Na trybunach jest 10 tysięcy wrzeszczących ludzi, a ty ich nie czujesz. Wchodzisz głęboko w swoją ciszę. I płyniesz.

Znasz to uczucie?

MŁ: Może w tańcu, jak się zatracisz. To takie poczucie pełni, poczucie, że się jest. Tak, znam je. Doświadczam go także w rodzinie, od czasu kiedy bardziej niż kiedyś stoję prawdziwy wobec dzieci i żony. Wobec siebie też. Modlitwa polega na poszerzaniu tego stanu, bo o własnych siłach ciężko.

KH: Wstydę się, że gdy byłam u mamy w hospicjum, to zapytałam z takim aktywistycznym tupetem: „A ten ksiądz, co go tu minęłam, to w ogóle zapukał, czy tak wlaźł, jak do siebie?”. Pamiętam, jak powiedziała: „Wiesz co, ja się teraz modlę i na razie z tobą nie rozmawiam”. Zamiast ją przytulić, gadałam głupoty.

Miała pięć siostr, każda z innej parafii. Jedna zakochana w Macierewiczu, druga kompletnie lewicowa. Pytałam: „Mamo, o czym ty w ogóle z nimi rozmawiasz?”. A ona: „Wiesz co, to są moje siostry, ja je po prostu kocham takie, jakie są”. Taki mi testament zostawiła: nauczyć się być z ludźmi.

MŁ: A ja na początku tego roku odszedłem z pracy. Mało pi-szę. Czuję, że muszę się poskładać do kupy. Bardziej być z rodziną, niż naprawiać świat. Żeby to robić, wypada zacząć od siebie. Może dlatego tak skrytykowałam twój aktywizm, że go w sobie widziałem.

→



→ Pokażę wam coś, z czego jestem dumny. Zrobiłem bumerang dla syna. Tu jest takim specjalnym kodem napisane: „Wyprawa ojców i synów 2019”, „elka” i barwy Legii, której kibicuje.

Może będąc w pełni z rodziną, też się naprawia świat.

KH: Dróg naprawiania jest nieskończenie wiele. Byle nie zmuszać do chodzenia jedną. A rodzinę różnie można rozumieć, dla mnie moi przyjaciele to bracia i siostry.

MŁ: Tylko jak być dla siebie siostrą i bratem? Co byś zrobiła np., jakbyś poszła w Marszu Niepodległości?

KH: A co bym miała zrobić? Twoja sprawa, gdzie chodzisz.

MŁ: A w Marszu dla Życia i Rodziny?

KH: Po tym, jak mi opowiedziałeś swoją historię? Przecież ta sprawa ciebie dotyczy. Nie rozumiem tych pytań.

MŁ: Sprawdzam, czy mnie miłujesz.

KH: A ty jesteś w stanie wyobrazić sobie, że masz inną orientację?

MŁ: Jestem. Zwłaszcza że myślę, iż pragnienie homoseksualne jest wynikiem pragnienia heteroseksualnego.

KH: To dla mnie za trudne.

MŁ: Wszędzie tam, gdzie wprowadzamy różnicę, tej różnicy tak naprawę nie ma. Ona zasłania jedność, która jest zakryta.

KH: Wyobraźmy sobie, że to ja jestem większością hetero, a ty mniejszością homo. Czego byś oczekiwał ode mnie, że byś się nie czuł samotny i wykluczony?

MŁ: Wiesz, jak byłem nastolatkiem, to powiedziałem mamie, że boję się, iż będę homoseksualistą. Roześmiała się i mnie przytuliła. Jej spokój i uśmiech rozbroiły mój strach.

KH: Ale ona zrobiła właśnie to, co było trzeba: przytuliła cię.

MŁ: Niczego bym od ciebie nie oczekiwał. Żadnego wsparcia, poza tym, żebyś przy mnie była.

KH: Ale co to znaczy?

MŁ: Jesteś przy mnie. Nie mówisz: „Michał, ale super” albo „Michał, jak źle”. Nie próbujesz mnie naprawić. Jesteś w stanie mnie wesprzeć swoją siłą wewnętrzną, a ja jestem w stanie wyjść ze swojego rozedrgania.

KH: Boisz się gniewu?

MŁ: Nie. Uważam, że trzeba mieć dostęp do swojej złej części.

KH: Dlaczego złej?

MŁ: Dla moich dzieci to nie jest dobra część, jak widzą, że się złości. Wszyscy to mamy w sobie, ale niektórym się wydaje, że złość to inni. A w Polsce ostatnio jest bardzo dużo krzyku.

KH: Gdy krzyczy ofiara przemocy, to nie to samo, co gdy krzyczy jej sprawca. To sprawcy często udają, że nie ma różnicy. A dociskani często krzyczą w obronie.

Margot sięgnęła też po przemoc. Michał w wywiadzie dla „Dziennika” powiedział, że nie chcemy tego zauważyć. I że „nasz” gniew jest zawsze słuszny.

KH: Dla mnie radykalne gesty są OK, jak inne metody przestały działać. A gaworzenie teoretyczne nad takimi sytu-

acjami też może być przemocą, tylko w białych rękawiczkach. Popatrz: świat płonie, a my sobie gaworzymy.

MŁ: Ja uważam, że robię, co do mnie należy. Że to jest adekwatna reakcja na ideologiczną wojnę nad moją głową. I że może nie jestem najlepszą osobą do działania. Pamiętam, jak ktoś mi powiedział w jakiejś dyskusji: „Byłbym po twojej stronie, ale ty masz za sobą JP2”.

Boisz się, że ktoś nie widzi Ciebie, tylko etykietę do Ciebie przyklejoną?

KH: Zabawne: w tej naszej szkole mieliśmy sobie nakleić, kogo się najbardziej boimy i kogo najbardziej podziwiamy.

MŁ: Cień i personę, jak u Junga.



MICHAŁ ŁUCZEWSKI:

Dla moich dzieci to nie jest dobra część mnie, jak widzą, że się złości. Wszyscy to mamy w sobie, ale niektórym się wydaje, że złość to inni. A w Polsce ostatnio jest dużo krzyku.



KAROLINA HAMER:

Gdy krzyczy ofiara przemocy, to nie to samo, co gdy krzyczy jej sprawca. To sprawcy często udają, że nie ma różnicy. Dociskani często krzyczą w obronie.

KH: Ja sobie wkleiłam, że chcę być Fridą Kahlo jako wzór i Królową Śniegu jako cień. A Michał sobie przykleił Jana Pawła II.

MŁ: Moim cieniem był Adaś Miauczyński. Niedowartościowany humanista.

Nie miałeś poczucia, że się wystawiasz z tym świętym wzorcem?

MŁ: Musisz chcieć być święty, żeby zobaczyć, że nie jesteś.

KH: Ej, ale ja zrobiłam coś podobnego. Jak poszłam na terapię, powiedziałam, że chcę być jak Dalajlama. Na co terapeutka zapytała: a skąd pani wie, jaki jest Dalajlama?

MŁ: Opowiem ci o jednym wierszu JP2. Miał dwadzieścia parę lat, jak go napisał. „Dalekie wybrzeża ciszy zaczynają się tuż za progiem / Nie przefruniesz tamtędy jak ptak. / Musisz stanąć i patrzeć coraz głębiej i głębiej, / aż nie zdołasz już odchylić duszy od dna”. Zobacz: jest wojna, a on nie pisze, że trzeba nawalać w Niemców, być superekstra patriotą i walczyć o słuszną sprawę. To jest coś, co załapałem dopiero niedawno. Że muszę się zatrzymać, żeby te wybrzeża ciszy się pojawiły. Żeby te wszystkie głosy we mnie się uspokoiły.

KH: Jest wojna, a on o ciszy?

Chyba cały czas o tym rozmawiacie. Ty działasz, a on mówi: zatrzymaj się i spójrz w siebie.

MŁ: Jak czasem mówisz o „małej solidarności”, w której ludzie sobie pomagają w drobnych rzeczach, to mi się przypomina Jan Patočka mówiący o „solidarności wstrząśniętych”. Był czeskim filozofem, mistrzem Havla. Pisał o wojnie i doświadczeniu frontu, które może być doświadczeniem zniszczenia i ognia, ale też doświadczeniem fali, która nie niszczy, tylko zabiera gdzieś indziej – w stan wolności. Ludzie, którzy to przeżyli, wrócili potem do świata, życie ich wessało. Patočka się zastanawiał, jak to się dzieje, że tamten stan wolności w nich ginął?

KH: Dobrze rozumiem, że mówisz o doświadczeniach granicznych? One na ciebie spadają i nie są teoretyczne. Teoretycznie to mogłam sobie wiedzieć, że mama umarła. Na śmierć nie mam wpływu. Ale na swoje miejsce w świecie już tak. Moje zadanie polega na odróżnieniu jednego od drugiego.

MŁ: Jak ty mnie wpisałaś w komórkę jako „Pana Boga”, to teraz się zastanawiam, czy właśnie nie wchodzisz w jego rolę. Chcesz wszystko załatwiać sama.

KH: Mój ukochany zespół, Paktofonika, nagrał utwór „Jestem Bogiem”. Bardzo mnie wzmacniał, wiele medali na nim zrobiłam. Tak, jestem Bogiem, ale nie w sensie: możesz mi naszkoczyć. Jestem Bogiem, bo Bóg jest miłością. Jestem miłością. Ty też jesteś Bogiem. Też jesteś miłością.

MŁ: I to nie było kazanie?

KH: No dobra, było.

MŁ: Patočka mówi, że problem w tym, że wracamy z tego frontu samotni. To, co możemy zrobić, żeby ocalić to doświadczenie wolności i nie dać się wessać przez codzienność, to żyć solidarnością wstrząśniętych. Zauważyć, że ludzie po drugiej stronie barykady przeżyli ten sam niepokój. W rzeczywistości społecznej, jak na froncie, są siły między nami, które nas rozwalają, ale wiemy, że przeżyliśmy to samo.

Wiesz, jak jesteś po którejś stronie barykady, musisz maszerować równym krokiem. Kolega z lewicy powiedział mi niedawno: „U was chyba jest lepiej, bo u nas to nawet picie ze złej słomki może cię skreślić”. Więc prawdziwej afirmacji i miłości nie da ci ktoś po twojej stronie. Tylko w fundamentalnej różnicy możliwe jest miłosierdzie i przebaczenie.

PBŁ: Wtrąć się znowu i wniosę konkret z naszego małżeństwa. Wiecie: wchodzi się w małżeństwo, jest raz gorzej, raz lepiej, a potem nagle przychodzi moment wglądu, że różnimy się do samych trzewi.

KH: Małżeństwo, jak wiecie, nie może mnie dotyczyć, ale wyobrażam sobie, że aby osiągnąć zrozumienie, trzeba być ciekawym tej drugiej strony.

PBŁ: To, że odkryłam te różnice, w ogóle nie było ciekawe i musiałam przejść przez fazę walenia pięścią w stół. Ale wtrącałam się, bo mi się wydaje, że z tą miłością ponad barykadą nie chodzi tylko o barykadę polityczną. Myśmy weszli na nowy etap naszego związku dopiero, kiedy odkryliśmy swoją bezsilność w obliczu różnicy z tym drugim. Wcześniej było: „Ej, zrób coś z tym, zmień się i napraw”.

MŁ: Mamy taką metaforę, że małżonek jest tormentorem. *Torment* to znaczy zamęczać kogoś, ale jest tam też słowo mentor. Jak ktoś cię męczy i wkurza, to daje ci najlepszy materiał do nauki.

Czyli Karolina też była Twoim tormentorem?

MŁ: Podczas terapii oglądaliśmy film o baletmistrzach: w tańcu wydawali się idealni, a potem się okazało, że jeden nie miał nogi, drugi ręki. To było o nas, terapeutka chciała pokazać, że dalej możemy tańczyć, choć nas życie przeorało. I że niewiele nas różni, bo mam mnóstwo braków, tylko innych niż ty. To wtedy zobaczyłem w tobie siostrę.

KH: Ja czasem myślę o swojej niepełnosprawności jako „nadsprawności”. Skoro cały świat jest do mnie niedostosowany, to muszę być nadsprawna, żeby sobie w nim poradzić. A tzw. pełnosprawność jest teorią. Nie ma osób kompletnie samowystarczalnych, każdy jest inny, nawet bliźniaki jednojajowe się różnią.

MŁ: Inny, ale też bardzo podobny. Taki sam.

© Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

Włączając się do rozmowy PAULINA BEDNARZ-ŁUCZEWSKA jest adiunktką w Katedrze Zarządzania w Akademii Leona Koźmińskiego, konsultantką w dziedzinie strategii i strategicznego HR. Z Michałem Łuczewskim mają czworo dzieci.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rąbiń,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięć (kierownik),
Marcin Żyła
Historia Wojciech Pięć
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażewska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmńska (kierownik), Anna Dziurdzikowska,
Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydawniczy Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz, Dorota Mastowska,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech
Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz
Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Magdalena
Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P.
Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina
Przewrocza-Adert, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szmer-Brysz, Joachim Trenkner

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski



S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia
wsparcie technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie
drukuję „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Bereszit (Rdz 1, 1 – 6, 8)



JESIEŃ ZAWSZE SPLATA SIĘ Z POCZĄTKIEM rocznego cyklu odczytywania Tory w synagogach. Które z jej siedemdziesięciu obliczy uda nam się dostrzec w 5781 roku?

Pierwszego dnia żydowskiego nowego roku symbolicznie obchodziliśmy urodziny pierwszego człowieka. Nieusatysfakcjonowana przekładami niwelującymi niejednoznaczność, proponuję własny: „Stworzył Bóg człowieka / Adama na swój obraz, na obraz Boży stworzył go: mężczyznę i kobietę stworzył ich” (Rdz 1, 27). Rabin Jeremiasz syn Eleazara, wspierając się dodatkowo Rdz 5, 2 („Mężczyznę i kobietę stworzył ich... i nazwał ich Adam”), sugeruje, że Adam był hermafrodytą. Natomiast rabin Samuel syn Nachmana wyobraża sobie Janusowe oblicze Adama – dwoje ludzi zrośniętych plecami (zob. Ps 139, 5), którzy potem zostali rozdzieleni. Odrzuca on koncepcję z żebrzem (Rdz 2, 21), argumentując, że słowo *cela* oznacza także bok, stronę.

Ewidentną niebinarność skrywa też werset z Księgi Liczb (zob. 5, 1-3) – wyrażenie „od mężczyzny do kobiety” oznacza spektrum. Różnorodność jest wartością – Talmud głosi chwałę Bożą, przeciwstawiając mincerza, bijącego identyczne monety ze sztancy, Najwyższemu, który z matrycy (patrycy?) Adama tworzy różniących się od siebie ludzi.

Wydawałoby się, że starożytne prawo żydowskie nie może się obejść bez zasznufladkowania człowieka jako „mężczyzny” lub „kobiety” – wówczas wiadomo, kto ma obowiązek udać się do Jerozolimy w czasie świąt pielgrzymich bądź zakładać tefilin (filakterie). Mimo to, wprowadza jeszcze cztery kategorie: *androgynos* (hermafrodyta), *tumtum* (osoba, której genitalia są niejednoznaczne bądź ukryte), *saris* (osoba, która zakwalifikowana jako mężczyzna po urodzeniu, w okresie dojrzewania zaczyna ujawniać cechy żeńskie) i *ajlonit* (analogicznie w drugą stronę oraz bezpłodna).

Rabin Izaak w Talmudzie wysuwa hipotezę, dlaczego Abraham i Sara tak długo nie mieli potomstwa: byli *tumtumami*! Ich przemianę obrazowo opisuje Iz 51, 1-2. Natomiast Kabała sugeruje, że Praojciec Izaak urodził się z duszą kobiety i dopiero podczas ofiarowania dostał męską duszę, dzięki czemu mógł spłodzić potomstwo. Wyjaśnia to rabin Jechiel Michl ze Złoczowa: czasem kobieta znajduje się w męskim ciele z powodu transmigracji dusz. Powiedziane jest wszak, że Najwyższy odpowiedział Izaakowi, a nie Rebecce, bo to on potrzebował Bożej pomocy, by mieć dzieci.

Każdy człowiek został stworzony na obraz Boga. Stąd wniosek: różnorodność ludzi, którzy nas otaczają, zwiłokrotnia Bożą Obecność wśród nas. ©

AUTORKA jest rabinką, jej sylwetkę przedstawiamy w tym numerze na stronach działu Wiara.

O. WACŁAW

Oszajca: Dyspozytorzy



W KSIĘDZE IZAJASZA CZYTAMY: „TAK MÓWI Pan do swojego pomazańca, Cyrusa: Ja pójde przed tobą, wyrównam wyboiste drogi. Połamię spiżowe wrota, pokruszę żelazne zasuwę. Wydam tobie tajemne skarby i kosztowności ukryte, abyś poznał, że Ja jestem Panem, że wzywam cię po imieniu, że jestem Bogiem Izraela (...) i nie ma innego, oprócz Mnie nie ma boga!”. Ta wypowiedź jest niezmiernie ważna dla wszystkich szukających Boga, a zwłaszcza dla tych, którzy już Go znaleźli. Wynika z niej, „że Bóg jednakowo traktuje wszystkich ludzi. W każdym narodzie miły jest Mu ten, kto się Go boi i postępuje uczciwie”. Cyrus przecież nie był Izraelitą, ale to on zezwolił Izraelitom na powrót z niewoli babilońskiej i odbudowę Jerozolimy. Poganin pełni wolę Bożą. Przykra to wiadomość dla tych, którzy chcieliby mieć Boga na wyłączną własność i do wyłącznej dyspozycji. Radosna dla nastawionych ekumenicznie.

Wydział Teologiczny Uniwersytetu w Lugano organizuje online seminarium zatytułowane „Religia od wewnątrz”, podczas którego zabiorą głos przedstawiciele chrześcijaństwa, judaizmu, islamu, buddyzmu i hinduizmu. Adriano Fabris, profesor etyki na Uniwersytecie w Pizie, mówi: „Dialog międzyreligijny jest możliwy, jeśli uświadomimy sobie, że wszystkie religie świata dążą do otwarcia się na świętą przestrzeń i w związku z tym również na inne ludzkie istnienia”. W tym miejscu warto zapytać: jak wygląda nasza, katolicka święta przestrzeń, w której chcemy żyć i do której zapraszamy pozostałych ludzi? Dalej Adriano Fabris twierdzi, że każda z wielkich religii jest nastawiona na dialog. Dlatego żadnej z nich nie można poznać inaczej, jak tylko przez zaprzyjaźnienie się z jej wyznawcami. Doświadczenie np. Kościoła francuskiego wskazuje, że każde miejsce na tym świecie jest dobre dla takiego spotkania, na przykład konfesjonał.

Przed wielu laty jeden z moich przyjaciół spowiadał w katedrze w Chartres. Tradycyjne konfesjonały zastąpiono tam przeszklonymi, niewielkimi, ale wygodnymi pomieszczeniami, w których spowiadający się mógł usiąść naprzeciw spowiednika i spokojnie, pełnym głosem, mówić. Od czasu do czasu, poza katolikami, przychodzili również chrześcijanie innych denominacji, jak też wyznawcy innych religii i ateści. Przychodzili porozmawiać.

W wywiadzie prasowym Polka Hanka Loch, która wyszła za pakistańskiego muzułmanina Saqiba, mówi: „Pochodzę z niewierzącej rodziny, choć pod wpływem Saqiba otworzyłam się na duchowość, koncepcja sformalizowanej religii jest mi nadal obca. Ale skoro wszystko wypływa z tego samego, nienazywalnego źródła, dlaczego religie wciąż ze sobą walczą?”. Często dlatego, że uzurpujemy sobie wyłączne prawo do dysponowania tym źródłem. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Szkola modlitwy

Bóg nie wymaga trudu,
który by przewyższał
możliwości człowieka.

BARSAFANIUSZ Z GAZY



Nie należy przyjmować
cierpienia jako czegoś,
co nas drażni od wewnątrz
i nie tyle jest bólem,
ile rozkładem. Trzeba na tę
część siebie samego,
która cierpi, nauczyć się
patrzeć jak na skaleczony
palec: boli paskudnie,
ale to nie jestem ja,
tylko palec.

HENRYK ELZENBERG



„JEZUS, PRZEBYWAJĄC
w jakimś miejscu, mo-
dlił się, a kiedy skoń-
czył, rzekł jeden
z uczniów do Niego:
Panie naucz nas się

modlić, tak jak i Jan nauczył swoich
uczniów” (Łk 11, 1). To ważny fragment
Ewangelii, zwłaszcza jeśli nie wyblakły
w nas jeszcze wezwania ostatnich papieży
do tego, byśmy chcieli Kościół uczynić
„szkołą modlitwy”.

Kościół może stać się „szkołą modli-
twy” jedynie wtedy, gdy tak jak Jezus zafa-
scynuje innych swoją modlitwą. Ucznio-
wie widzieli Jezusa na modlitwie i to ten
widok obudził w nich pragnienie nauki.
Zaprzęgnięli modlić się tak jak Jezus. Nie
mówił im: „Musicie się modlić, posłuchaj-
cie, jak to się robi”. Modlił się, i to było naj-
lepszą (jedyną?) reklamą Jego „szkoły mo-
dlitwy”.

Ważna reguła: modlitwy uczysz jedy-
nie sam się modląc – zapraszając innych
do wnętrza własnej modlitwy, czyli wła-
snej relacji z Bogiem. Jest oczywiste, że nie
nauczysz dziecka różańca, kupując mu
i dając koronkę. Nie. Musisz z nim klęk-
nąć, wziąć do ręki swój różaniec, i wcią-
gnąć je do środka własnej medytacji. Przy-
woływany epizod Ewangelii pokazuje, że
ta reguła nie dotyczy tylko dzieci. Kto wie,
czy nie bardziej odnosi się także do doro-
słych (i to mężczyzn).

Co tak najbardziej pociągnęło aposto-
łów w modlitwie ich Mistrza?

Być może odpowiedź kryje się w do-
słownym tłumaczeniu przytoczonego na

wstępie zdania. Takiego tłumaczenia do-
konał np. św. Hieronim w Wulgacie, gdzie
czytamy: „*Et factum est cum esset in loco
quodam orans*”, tzn. „I stało się, gdy w pew-
nym miejscu był modląc się”. Tłumacz
podkreśla Jezusowe „bycie” na modlitwie
– „bycie modlącym się”. Liczy się to, kim
jest na modlitwie, bardziej niż to, co mówi.

Czy nie o to właśnie chodzi? Czy nie
chodzi o to, kim się dzięki modlitwie sta-
jesz? Co warta jest modlitwa, która nie ma
żadnego wpływu na to, kim jesteś, i jak
postępujesz?

Biblijnych odsyłaczy generujących ta-
kie pytania można zapewne wskazać dzie-
siątki, ale najlepszym z nich będzie przy-
wołana ostatnio z wielką mocą przez pa-
pieża Franciszka (w encyklice „*Fratelli
tutti*”) przypowieść o miłosiernym Sama-
rytaninie (Łk 10): posługujący na co dzień
w świątyni kapłan i lewita znali z całą
pewnością wiele modlitewnych formuł.
Co więcej, właśnie wracali ze sprawowa-
nia kultu w świątyni. A jednak widok po-
bitego człowieka nie zrobił na nich żad-
nego wrażenia; ich pobożność została
poddana dramatycznej weryfikacji – nie-
stety, z wynikiem negatywnym. Okazała
się nie mieć żadnej siły oddziaływania na
lęk lub obojętność.

Modlitwa, jakiej uczy Jezus – i to wła-
śnie pociąga – jest sposobem bycia z Bo-
giem, a nie wykonywaną od czasu do
czasu czynnością. Nie jest „momentem”
– jednym obok innych (czemu innemu
poświęconych), choć oczywiście takich
momentów bardzo potrzebuje. Żywi się
nimi. ©

CYTANIA LITURGICZNE (18 – 25 X)

29. niedziela zwykła: Iz 45, 1. 4-6; Ps 96;

1 Tes 1, 1-5b; Mt 22, 15-21;

Poniedziałek: Ef 2, 1-10; Ps 100; Łk 12, 13-21;

Wtorek: Ef 2, 12-22; Ps 85; Łk 12, 35-38;

Środa: Ef 3, 2-12; Ps: Iz 12, 2. 3. 4-6;

Łk 12, 39-48;

Czwartek: Ef 3, 14-21; Ps 33;

Łk 12, 49-53;

Piątek: Ef 4, 1-6; Ps 24; Łk 12, 54-59;

Sobota: Ef 4, 7-16; Ps 122; Łk 13, 1-9;

30. niedziela zwykła: Wj 22, 20-26; Ps 18;

1 Tes 1, 5c-10; Mt 22, 34-40.

Wybrał PIOTR SIKORA

PRAWORZĄDNOŚĆ – KONIEC KOMPROMISÓW

Unia jest zbyt powolna i nastawiona na konsensus,
żeby zatrzymać w Polsce czy w innych krajach erozję demokracji.
Ale w sprawie odebrania nam funduszy stoimy na przegranej pozycji.

KLAUS BACHMANN

SYSTEM POLITYCZNY UNII EUROPEJSKIEJ funkcjonuje jak gigantyczna machina do wymuszania kompromisów. Najpierw Komisja Europejska przedstawia śmiałą propozycję, potem miela ją młyny Parlamentu Europejskiego i Rady UE, a na końcu wychodzi coś, czego sama Komisja często już nie poznaje. Dzięki temu Unia może „szanować tożsamość narodową swoich członków”, jak przewidują traktaty. Nikt nie dostaje wszystkiego, czego chciał, ale każdy dostanie coś.

Ta zasada gwarantuje, że prawo, które uchwalają instytucje UE, nie jest narzucone z góry, lecz stanowi najmniejszy wspólny mianownik interesów wszystkich albo – w przypadku, kiedy jakiś rząd zostanie przegłosowany – prawie wszystkich państw członkowskich. To

skuteczny sposób uzgadniania interesów rolników i obrońców środowiska, banków i ich klientów albo, jak ostatnio w przypadku dyrektywy usługowej, interesów przedsiębiorców, pracowników i poszczególnych rządów.

Zasada działa w przypadku interesów. Problem powstaje, kiedy chodzi o wartości albo o wybór między demokracją i autorytaryzmem. Bo wtedy młyny UE miela tak samo wolno, skłaniając wszystkich do kompromisu. Czy Unia może zawrzeć kompromis między demokracją i autorytaryzmem? Ta kwestia rozstrzyga się właśnie na naszych oczach.

Za dużo czarnych owiec

Polska od 2015 r., a Węgry już od 2010 r. stopniowo ograniczają swobody obywa-

telskie, niezależność sądownictwa, upartyjnialią prokuraturę, policję i służby specjalne, redukują pluralizm mediów. Między oboma krajami są znaczne różnice. Rząd węgierski postępuje w dużej mierze zgodnie z konstytucją, bo od początku miał większość wymaganą do jej zmiany. Rządy Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego nigdy większości konstytucyjnej nie miały, więc podporządkowały sobie instytucje powołane kiedyś do kontroli rządu. Teraz już Sejm może uchylać ustawy naruszające konstytucję, bo nikt tego nie podważa.

Unia Europejska była dotąd wobec tego zjawiska bezczelna. Wszczęte wobec Polski w grudniu 2017 r. postępowanie według art. 7 traktatu o funkcjonowaniu UE z powodu naruszenia podstawowych



MARCIN STEPIEŃ / AGENCJA GAZETA

Piknik Europejski,
Łódź, maj 2018 r.

wartości UE, które pozwala na nakładanie sankcji za ograniczenie niezależności sądownictwa, utknęło w Radzie UE. Jak dotąd nie udało się nawet zebrać koniecznej do stwierdzenia ryzyka takiego naruszania większości czterech piątych państw. Jednomyslności, koniecznej do zawieszenia prawa głosu danego państwa w Radzie UE, nie będzie tak długo, jak Polska i Węgry mogą siebie wzajemnie chronić wetem.

Autorzy tego zapisu liczyli się z jedną „czarną owcą” we wspólnocie, nie przewidzieli, że może się kiedyś pojawić całe ich stado. A im więcej ich jest, tym łatwiej mogą się wzajemnie chronić i tym bardziej ich przykład kusi rządy tych krajów, które dotąd przestrzegały zasad. W pierwszym raporcie o praworządności, jaki Ko-

misja opracowała, wśród czarnych owiec pojawiają się również Bułgaria, Rumunia, Chorwacja i Malta, choć na razie Komisja nie poświęca im tyle miejsca, co Polsce i Węgrom. Ale sama tendencja jest niepokojąca: im więcej jest takich państw, tym częściej pozostali członkowie UE zmuszeni będą zawierać z nimi krzyżowe kompromisy.

Przykłady? W zamian za ochronę ustawy nakładającej kaganiec na niewygodne media rząd jednego kraju przystępuje do koalicji państw, które chcą utrudnić import z Chin. Rząd, który chce się pozbyć niewygodnych sędziów, przystępuje do koalicji, która obiecuje go chronić przed sankcjami, jeśli razem z nią poprze sankcje przeciwko Turcji. Przykłady fikcyjne, ale tak mniej więcej działa system polityczny UE. Teoretycznie możliwy jest kompromis nie tylko w polityce handlowej, ale też między wolnością mediów i cenzurą.

Aby tak się nie stało, UE ma Trybunał Sprawiedliwości (TSUE). Tam Komisja – ale też, o czym się często zapomina, każdy kraj członkowski – może zaskarżyć „czarne owce”. W Trybunale nie ma mechanizmów wymuszających kompromis, tam się wygrywa albo przegrywa. Problem w tym, że dopóki państwa nie odważą się na skargi, Komisja zostaje jedynym stróżem zasad. Obecnie waha się, czy wystąpić o karę dla Polski za naruszenie tymczasowego zamrożenia Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, bo mogłoby to skłonić polski rząd do wetowania następnego budżetu (zwanego Wieloletnimi Ramami Finansowymi) lub paktu odbudowy po pandemii. W dodatku postępowania przed TSUE są długie i krajowy ustawodawca, pracujący w trybie, jaki PiS narzuca Sejmowi i Senatowi od 2015 r., zawsze będzie szybszy niż orzecznictwo Trybunału.

Łagodzić, nie głodzić

Dlatego w 2018 r. Komisja Europejska zaproponowała, by mogła obcinać fundusze krajom naruszającym zasady praworządności i by Rada UE mogła taką decyzję uchylać tylko kwalifikowaną większością. Konkretnie: Polska i Węgry musiałyby wtedy uzyskać poparcie 13 innych państw. To dałoby Komisji dużą władzę, czego Rada UE zazwyczaj nie chce. Jeszcze zanim polski Trybunał Konstytucyjny stał się ekspozyturą rządu i Komisja uruchomiła swój „dialog na te-

mat praworządności”, Rada zleciła opinię prawną, starając się dowiedzieć, że praworządność to domena państw, w której Komisja nie ma kompetencji. Teraz wiemy, że to Komisja miała rację, co potwierdził Trybunał Sprawiedliwości UE, przyjmując skargi Komisji do rozpatrzenia.

O niemal zerowej skuteczności art. 7 i politycznych komplikacjach, jakie wiąże się z zaskarżaniem poszczególnych krajów do TSUE warto pamiętać, kiedy śledzimy kolejną próbę powiązania wydatków funduszy z przestrzeganiem praworządności. Taki mgliście sformułowany warunek pojawił się w konkluzjach lipcowego szczytu Rady, podczas którego premierzy unijnych państw po długich pertraktacjach uzgodnili kształt i zasady utworzenia funduszu odbudowy, czyli specjalnego programu pomocowego dla krajów szczególnie dotkniętych załamaniem gospodarczym w wyniku pierwszej fali pandemii.

Sprawujące obecnie rotacyjną prezydencję Niemcy przekuły tę ogólną formułę w kształt konkretnych zapisów i przedstawiły je Radzie UE i Parlamentowi Europejskiemu jako punkt wyjścia do negocjacji. Niemiecka propozycja nie wzmacnia nadmiernie Komisji Europejskiej wobec innych instytucji (zwłaszcza rządów państw członkowskich), ale z drugiej strony wychodzi naprzeciw „klubowi skąpców” (Benelux i kraje nordyckie) i „klubowi przyjaciół praworządności”, któremu zależy na równym dostępie do niezależnych sądów w całym Wspólnym Rynku.

Oba kluby mają tych samych członków, a Niemcy tylko dlatego do nich nie należą, że sprawowanie prezydencji zmusza je do neutralności. Proponują więc, aby Komisja Europejska mogła obciąć fundusze, ale tylko wtedy, kiedy naruszenie praworządności zagraża interesom finansowym UE. Decyzję Komisji Rada musiałaby potwierdzić kwalifikowaną większością.

Przykłady: jeśli za kilka miesięcy polski rząd drastycznie ograniczy autonomię uczelni wyższych, Komisja nic nie może robić, bo to nie niesie przykrych skutków dla finansów UE. Kiedy jednak rząd wymienia sędziów, aby nie przegrać procesu o zwrot bezprawnie wykorzystanych funduszy unijnych, Komisja może wstrzymać i wstrzymać wypłaty (a Polska nadal będzie zobowiązana do uiszczenia swojego wkładu do budżetu UE).



Pierwsza przegrana

→ Według tej propozycji Polska i Węgry, by zablokować takie karne obciążenie funduszy, musiałyby przekonać do siebie nie 13, lecz tylko 11 innych państw. Dla Komisji (i dla „przyjaciół praworządności”) jest to próg niższy, niż chciano dwa lata temu. Dla Polski poprzeczka nadal jednak wisi wysoko. W ogłoszonym pod koniec września raporcie Komisji o przestrzeganiu praworządności na cenzurowanym znalazły się też Chorwacja, Bułgaria, Rumunia i oczywiście Węgry – można by więc przypuszczać, że w razie czego zgłoszą razem z Polską. Jednak pierwsza próba sił – czyli głosowanie w radzie stałych przedstawicieli państw w Brukseli – skończyła się dla Polski i Węgier przegraną. Państw głosujących przeciw propozycji niemieckiej było mniej niż 11. Co więcej – poza Polską i Węgrami, które głosowały po prostu we własnej sprawie, pozostałe państwa należą do „klubu skąpców” i zgłaszały przeciw z całkiem innego powodu: niemiecki plan nie był dla nich wystarczająco radykalny.

Teraz zaczną działać młyny UE: najpierw Parlament Europejski, potem znów Rada UE, później ewentualnie specjalna procedura mediacyjna. I tu dla Polski zaczynają się schody.

Po pierwsze: mimo że rząd niemiecki naciska na posłów z partii należących do rządzącej koalicji w Niemczech i na posłów Europejskiej Partii Ludowej (EPL), aby byli wobec niemieckiej propozycji łaskawi, to nastroje w Parlamencie Europejskim w sprawie Polski, a także Węgier, są dość bojowe. Parlament wielokrotnie debatował o sytuacji w tych krajach, wielokrotnie zasypywał Radę UE rezolucjami i wnioskami o uruchomienie art. 7 i bardziej stanowcze decyzje – ale nic z tego nie wynikało.

Po drugie: grupa Socjalistów i Demokratów w Parlamencie Europejskim nie ma żadnego powodu, aby zatwierdzić niemiecki kompromis, bo partie, które do niej należą, są na Węgrzech i w Polsce w opozycji. Po trzecie: EPL oraz Socjaliści i Demokraci razem nie mają już większości, lecz potrzebują do tego liberałów lub Zielonych, a oba ugrupowania mają raczej jastrzębie podejście wobec Polski i Węgier, nie tylko w kwestii praworządności. Kampania PiS przeciwko uchodźcom i osobom homoseksualnym oraz antysemickie i antyuchodźcze kampanie węgierskiego Fideszu oburzały elektoraty tych

partii w stopniu o wiele wyższym niż wyborców innych ugrupowań. Może nawet dojść do zaostrzenia niemieckiej propozycji – jeśli wszystkie ugrupowania lewicowe, liberalne i zielone zgłoszą razem, mogą EPL przegłosować.

Powoli, ale jednak mielią

Zaostrzenie niemieckiej propozycji może dotyczyć nie tylko progu większości w Radzie UE, ale też roli Komisji. Komisja, Parlament i TSUE tradycyjnie wzmacniają się nawzajem wobec Rady, bo dobrze wiedzą, że każda z tych instytucji na tym korzysta. Traktaty UE są bowiem tak skonstruowane, że tam, gdzie przyznają kompetencje Parlamentowi, tam też dają je TSUE, a tam, gdzie je dają Komisji, tam zyskuje i Parlament.

Większa rola Komisji oznacza także szersze zdefiniowanie, co mianowicie jest konieczne dla stabilnych rządów prawa. Komisja dotychczas oceniała nie tylko niezależność wymiaru sprawiedliwości, ale też pluralizm i wolność mediów. Nawet jeśli Polsce i Węgrom uda się w unijnym procesie ustawodawczym zawęzić zakres możliwych sankcji do przypadków, w których naruszenie praworządności ma bezpośredni związek z przejrzystością i uczciwością procesu wydatkowania środków unijnych, to i tak Komisja może argumentować, że w zakres jej kompetencji wchodzi też ocena wolności mediów. Bo tylko wolne media zapewniają społeczną kontrolę nad tym procesem – tylko one mogą ujawnić przypadki korupcji i nadużyć. A TSUE w sytuacji sporu z pewnością stanie po stronie Komisji, bo dzięki temu może sobie przyznać kompetencje do oceny wolności mediów. W ten sposób pozorne zawężenie okaże się rozszerzeniem.

Argumenty rządów w Warszawie i Budapeszcie, że zbyt szerokie i ostre przepisy wiążące praworządność z finansami są niezgodne z ustaleniami lipcowej Rady Europejskiej, na nic się nie zdadzą, bo Rada Europejska nie jest organem ustawodawczym (a cała gra toczy się przecież o unijny akt prawny) i Parlament Europejski nie jest związany jej decyzjami. Kolejny raz mści się na polskich władzach słaba znajomość procedur i głęboka, ale nieuzasadniona wiara, że o wyniku negocjacji w Unii decydują tylko rządzący, to znaczy, mówiąc językiem polskiego rządu: „państwo narodowe”.

Zaostrzony zapewne przez Parlament projekt wróci do Rady UE, w której jed-

nak gra nie będzie się toczyć między prezydencją niemiecką z jednej a Polską i Węgrami z drugiej strony, lecz między tymi dwoma krajami oraz liczniejszym i radykalniejszym niż Niemcy gronem „skąpców” i „przyjaciół praworządności”. To jest ten moment, w którym „skąpcy” mogliby nawet zaakceptować wzmocnienie Komisji: bo lepiej, aby kontrolowała ona „czarne owce” (zarazem głównych beneficjentów budżetu UE i paktu odbudowy) niż aby to była iluzoryczna kontrola Rady UE, której decyzje i głosowania zawsze będą wypadkową taktycznych sojuszy i kompromisów.

Na cały ten proces ustawodawczy ani PiS, ani Fidesz większego wpływu nie mają. Fidesz co prawda należy do chadeckiej „rodziny” EPL, ale jest nadal zawieszony w prawach członka. PiS z kolei należy do klubu, który do tworzenia jakiegokolwiek większości w ogóle nie jest potrzebny. Jeśli pozostałe kraje UE chcą uchwalić prawo, które umożliwi Komisji pozbawienie „czarnych owiec” funduszy za naruszenie praworządności – mogą to zrobić. I właśnie dlatego wybrały tę drogę, a nie art. 7 albo skargi do TSUE. W dodatku zapowiadały to już przynajmniej od 2015 r. To prawda, młyny UE miały wolno, ale jednak miały.

Weto w próżni

Media już donoszą, że w odwecie Budapeszt i Warszawa mogą zawetować przyjęcie popandemicznego paktu odbudowy i ramy finansowej UE. Ten pierwszy zawiera olbrzymie transfery (część to bezwrotna pomoc) dla krajów południa – ale też dla Polski. Tu Polska nie ma interesu w solidarności z Orbánem. On sam wystarcza, by skutecznie wetować – i już to zapowiadał. Brzmi to buńczucznie, ale rzeczywistość jest inna.

Na razie proces legislacji dotyczący praworządności toczy się równolegle wobec negocjacji w sprawie przyszłych budżetów UE i paktu odbudowy. Dopóki tak jest, można grozić wetem. Ale negocjacje skończą się zapewne wcześniej, więc Węgry musiałyby niejako wetować je „w ciemno”, nie znając ostatecznego kształtu spornych przepisów na temat ewentualnych sankcji. Co więcej, weto wobec ram finansowych UE skutkuje tylko tym, że Unia będzie funkcjonować na podstawie prowizorium w wysokości starej ramy budżetowej. Ten miecz jest więc tępy.

Jeszcze gorzej wygląda scenariusz blokowania paktu odbudowy. Weto wobec największych jednorazowych transferów w historii UE dla krajów zdewastowanych przez pandemię skonfrontowałoby rządy Polski i Węgier z gniewem opinii publicznej w największych państwach UE, i to zarówno głównych płatników paktu, jak jego beneficjentów.

W dodatku pakt nie zostałby zablokowany, a jedynie opóźniłoby się jego uruchomienie. Płatnicy paktu bez problemu mogą go wyprowadzić do budżetu strefy euro – wtedy Polska i Węgry nie skorzystałyby z niego w ogóle – albo całkiem poza UE, gdzie byłby też poza kontrolą Komisji Europejskiej. Wtedy mogą z tymi pieniędzmi robić, co chcą – to już sprawa bilateralna między beneficjentami i ich sponsorami albo, znów mówiąc językiem polskiego rządu: post-pandemiczny koncert mocarstw.

Nie jest to spekulacja. O tym dyskutuje się już w zachodnioeuropejskich stolicach. 9 września podczas debaty w holenderskim parlamencie premier Mark Rutte zdradził, że w końcowym momencie negocjacji w Radzie Europejskiej zastanawiał się w gronie innych szefów

Weto wobec paktu odbudowy jedynie opóźniłoby jego uruchomienie.

Płatnicy mogą go wyprowadzić do budżetu strefy euro – wtedy Polska i Węgry nie skorzystałyby z niego w ogóle – albo całkiem poza UE.

rządów, „czy można przygotować taki budżet poprzez umowę międzyrządową, czy można założyć Unię Europejską bez Polski i Węgier? Tęby były opcje atomowe”. Prawnicy unijni wiedzą, że Rutte ma rację: ani prawo UE, ani prawo międzynarodowe nie pozwalają, aby pozbawić jakiegos państwa członkostwa w organizacji międzynarodowej. Ale gdyby chciano się pozbyć Polski i Węgier, a te państwa same nie poszły w ślady Wielkiej Brytanii, to wszyscy pozostali mogą

jednocześnie wystąpić z obecnej Unii, założyć nową i przejąć instytucje tej starej. Jak kraje, które wetowały pakt, wyjdą na tym finansowo, łatwo sobie wyobrazić.

Tę logikę obecnie widać w przypadku sankcji wobec reżimu białoruskiego: długo blokował je Cypr (usiłując przy tym ugrać interesy w konflikcie z Turcją), więc poszczególne państwa wprowadzały własne sankcje – aż Cypr wycofał sprzeciw.

Sceptycy mogą wtargnąć, że to wszystko i tak nie powstrzyma rządów autorytarnych od przekształcenia liberalnej demokracji w nieliberalną autokrację. Mają rację. Na to Unia jest zbyt powolna, zbyt biurokratyczna i nastawiona na kompromis i konsensus. Ale widać wyraźnie, jak się przygotowuje do tego, aby w sprawach zasadniczych nie musiała zawierać takich kompromisów, jakie zawiera niemal codziennie w polityce rolnej, w negocjacjach handlowych albo w kwestii ochrony środowiska, energetyki i usług. Co do praworządności, szykuje się obecnie powtórka z pamiętnego głosowania nad przedłużeniem kadencji Donalda Tuska. Wtedy było 27:1. Tym razem będzie to 25:2.

© KLAUS BACHMANN

REKLAMA

POLSKA BIBLIOTEKA MUZYCZNA

PONAD 10 000 OBIEKTÓW W CYFROWYM DOSTĘPIE

pbm
POLSKA
BIBLIOTEKA
MUZYCZNA

► **Działające od 75 lat Polskie Wydawnictwo Muzyczne otwiera swoje unikatowe zasoby. Rusza Polska Biblioteka Muzyczna!**

Polskie Wydawnictwo Muzyczne jest największym wydawcą nut i książek o muzyce w Polsce, a jego dynamiczny rozwój i międzynarodowy prestiż pozwalają uznawać Oficynę za instytucję skutecznie promującą rodzimą twórczość muzyczną na świecie. Przez 75 lat istnienia Polskie Wydawnictwo Muzyczne zgromadziło setki tysięcy materiałów o wielkiej wartości kulturowej. Polska Biblioteka Muzyczna umożliwia odkrywanie bogatej spuścizny PWM-u: zawiera partytury dzieł symfonicznych, materiały nutowe utworów wokalnie-instrumentalnych, dzieła chóralskie, kameralne i solowe, unikatowe rękopisy i listy. Na portalu znajdują się także fragmenty czasopism i książek, cenne

ryciny i obrazy, fotografie i kadry z filmów, afisze i zdjęcia z przedstawień teatralnych – jednym słowem: wielowymiarowa dokumentacja polskiego życia muzycznego od renesansu do czasów najnowszych.

To biblioteka online: zbiory dostępne są na jedno kliknięcie – o dowolnej porze, z dowolnego miejsca na świecie, przy wykorzystaniu dowolnej przeglądarki internetowej. W pierwszym etapie udostępnionych zostanie ponad 10 000 obiektów cyfrowych, a dostępność do materiałów nutowych przeznaczonych do wypożyczenia będzie znacznie łatwiejsza. Użytkownicy Polskiej Biblioteki Muzycznej będą mogli wykorzystać fragmenty utworów w swojej działalności naukowej i dydaktycznej.

Szybki, prosty dostęp online do materiałów cyfrowych to szansa częst-

szej obecności muzyki polskiej w repertuarze koncertowym i mediach; to także krok w kierunku upowszechniania wiedzy o historii naszej rodzimej muzyki i osiągnięciach jej współczesnych twórców.

Zasoby zgromadzone na portalu przeznaczone są dla wszystkich. Zarówno instytucje, jak i osoby prywatne – zawodowo związane z muzyką, ale

i uczniowie, studenci, melomani – znajdą w Polskiej Bibliotece Muzycznej wartościowe i niedostępne wcześniej materiały.

PWM zaprasza do Polskiej Biblioteki Muzycznej po nuty, ikonografię i informacje. Zajrzyj w zbiory Polskiego Wydawnictwa Muzycznego online:

www.polskabibliotekamuzyczna.pl



Kordon bezpieczeństwa

MAREK RABIJ

Pytania o ekonomiczne konsekwencje walki z pandemią wychodzą z błędnego założenia, że w państwie nią dotkniętym gospodarka może w ogóle funkcjonować w normalny sposób.

RZĄD USPOKAJA, ŻE O POWROCIE DO PEŁ-
nego lockdownu nie ma mowy, nie
wyklucza jednak dalszych punktowych
ograniczeń. Część przedsiębiorców do-
maga się zatem, by walkę z pandemią
podporządkować gospodarce, nie na od-
wrot. „W końcu ktoś na te szpitale i respi-
ratory musi zarobić” – to jeden z koron-
nych argumentów. Zostawmy chwilo-
wo na boku oczywisty wątek wpływów
podatkowych, bo reszta jest ciekawsza.
Zwłaszcza pytanie, czy epidemiczne ob-
ostrzenia, które pozwolą utrzymywać
koronawirusa pod kontrolą, nie chronią
przypadkiem także gospodarki?

Kiedy znika Warszawa

Zacznijmy od liczby, która w zeszłym ty-
godniu nie przebiła się do opinii publicz-
nej hipnotyzowanej codziennymi komu-
nikatami o nowo wykrytych przypad-
kach koronawirusa – 171 tys. osób obję-
tych kwarantanną. Z powodu zakażenia
lub bezpośredniego kontaktu z nosicie-
lem wirusa w przymusowym odosobnie-
niu przebywa lub przebywała już liczba
osób równa niemal całej populacji Toru-

nia. Objęci kwarantanną mogą oczywi-
ście robić zdalne zakupy, korzystać z kul-
tury *online*, są jednak wyłączeni z innych
form konsumpcji. I na co najmniej kilka-
naście dni muszą zniknąć z pracy.

Przy 171 tys. osób problem może się
wydać marginalny. Wystarczy jednak
wyobrazić sobie scenariusz, w którym
pod kluczem ląduje 1,7 mln Polaków
– populacja równa mniej więcej liczbie
mieszkańców Warszawy. Przeciętny
polski konsument wydaje miesięcznie
ok. 1,8 tys. zł. Przyjmijmy ostrożnie, że
objęci kwarantanną z konieczności ogra-
niczą swoje wydatki średnio o 20 proc.
Efekt? Z krwioobiegu polskiego han-
dlu i usług znika w ten sposób ponad
600 mln zł miesięcznie. W skali roku
oznacza to stratę rzędu niemal 7,4 mld
zł – prawie 2,5 proc. wartości całego pol-
skiego handlu detalicznego. Można zało-
żyć, że bez ograniczeń, jakie teraz wpro-
wadzamy, taki scenariusz szybko stałby
się bardzo prawdopodobny.

Działania ograniczające skalę zakażeń
tworzą więc nie tylko kordon bezpieczeń-
stwa wokół systemu opieki zdrowotnej.

Przy okazji chronią również gospodarkę.
Tymczasem pandemiczne bilanse pol-
skich przedsiębiorców nadal ograniczają
się do bezpośrednich kosztów, które firmy
ponoszą przez narzucone im ogranicze-
nia, bez uwzględnienia tego, czego się da
dzięki nim uniknąć. Kilkanaście dni temu
biznesmen zatrudniający ponad 3 tysiące
osób zwierzał się widzom jednego ser-
wisu ekonomicznego z kosztów zakupu
płynów do dezynfekcji, które w jego fir-
mie sięgają 18 tys. zł miesięcznie. „I my te
pieniądze wylewamy dosłownie do zlewu.
Bo przecież ci ludzie wychodzą potem ode
mnie z fabryki, wsiadają do autobusów,
gdzie poręcze kleją się od zarazków, a po
powrocie do domu nikt im już nie może
nakazać, żeby te ręce umyli” – skwitował
pan prezes.

Pandemia, głupcze

Podobne głosy, wcale nie odosobnione,
składają się dziś na chór tęskniący za cza-
sami, kiedy lejtymotytem polskiej poli-
tyki była fraza: „to może zaszkodzić go-
spodarcie”. Rzecz w tym, że podobnie jak
inne dziedziny, także gospodarka nie
może dziś liczyć na ciepłarniane warunki
i musi się dostosować do pandemicznej
rzeczywistości.

Najmocniejszym argumentem za ta-
kim porządkiem są dane o spadku PKB.
Tym, co rzuca się w nich w oczy najmo-
cniej, jest korelacja między liczbą wykry-
tych przypadków COVID-19 a głęboko-
ścią recesji w drugim kwartale br. Ze-
stawienie otwiera Tajwan, który dzięki
świetnie zorganizowanej służbie zdrowia
i doświadczeniom wyniesionym w wcze-

TYGODNIK
POWSZECHNY

Podkast
Powszechny

**Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów
podkastów „Tygodnika Powszechnego”**

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska
i jej goście

#DOM

czyli rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Sztuka powszechnie nieznana

Magdaleny Łanuszki, która odkrywa
dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Opowieści z Izraela

korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!

Więcej na powszech.net/podkast



SALESmanago
marketing automation





DAMIAN ŁUGOWSKI / FORUM

Pikieta pracowników branży scenicznej, Warszawa, lipiec 2020 r.

śniejsej epidemii SARS zdołał zdusić tę obecną praktycznie w zarodku. Liczba potwierdzonych przypadków nie przekroczyła dotąd 600, zaś zgonów 7. Przy tym realny spadek PKB w drugim kwartale wyniósł zaledwie 0,5 proc. Nieźle w tym zestawieniu radzi sobie także Korea Południowa oraz Litwa i Finlandia – kraje, którym w drugim kwartale udało się spłaszczyc krzywą zakażeń lub nawet znacząco zmniejszyć ich liczbę.

Relatywnie niezłe wyniki polskiej gospodarki w drugim kwartale nie mogą być w tym kontekście dziełem przypadku. PKB naszego kraju skurczyło się w tym czasie o 8,2 proc. Pomiędzy 1 kwietnia a 30 czerwca liczba nowych przypadków oscylowała jednak na średnim poziomie ok. 350-400 dziennie. Aż przyszła kampania wyborcza i rząd w pogoni za politycznymi fruktami nie tylko odtrąbił sukces w walce z epidemią, ale też zdjął niemal wszystkie obostrzenia. Jesienny skok statystyk nie jest zaskoczeniem ani polską specjalnością. Porównanie z innymi krajami – choćby z Niemcami – pokazuje jednak, że mieliśmy szansę mu w pewnym stopniu przeciwdziałać.

Tymczasem prognozy polskiego rządu zakładają, że przy obecnym tempie liczba zachorowań może wkrótce sięgnąć ponad 60 tys. dziennie. Być może uda się temu zapobiec. Pewne jest jedno – skok liczby zachorowań będzie kosztować pol-

ską gospodarkę więcej, niż kosztowałoby długie trwanie w ograniczonym reżimie sanitarnym.

Czekając na odbicie

Dane o bezrobociu przedstawione kilka dni temu przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej nie budzą na razie niepokoju – odsetek Polaków w wieku produkcyjnym zarejestrowanych w urzędach pracy nie uległ zmianie i od czerwca wynosi 6,1 proc. Ten sam obrazek w skali lokalnej staje się jednak mniej przyjemny: już w co trzecim polskim powiecie stopa rejestrowanego bezrobocia przekroczyła 10 proc. Są oczywiście na tej liście „stali bywalcy”, ale pojawili się niestety również debiutanci – wśród nich kolejne powiaty zamownego województwa mazowieckiego, gdzie bezrobocie do tej pory utrzymywało się znacznie poniżej średniej krajowej. To również najlepsze miejsce do zaobserwowania tego, przed czym ekonomiści ostrzegają od początku pandemii – długofalowych spustoszeń na rynku pracy.

Relatywnie duży wzrost bezrobocia w powiatach Mazowsza w porównaniu z np. danymi ze Śląska jest oczywiście pochodną struktury tamtejszej gospodarki; wiele firm stanowiło po prostu zaplecze dla stołecznego sektora usług. Kiedy wiośną rząd zaciągnął mu hamulec, skutki uderzyły także w łańcuch kontrahentów. Pełne odmrożenie gospodarki ogłoszone

z początkiem wakacji pozwoliło częściowo stanąć na nogi warszawskiej gastronomii, hotelom i klubom fitness, ale fala tego ocieplenia dotarła poza stołeczne rogatki już bardzo spłaszczona. Zleceniodawcy ograniczyli zamówienia i nauczyli się prowadzenia biznesu bez części usług dodatkowych, których zakup w okresie prosperity wydawał się drobnym wydatkiem.

To samo czeka cały polski rynek pracy. Autorzy raportu przedstawionego niedawno przez Polski Instytut Ekonomiczny, rządową placówkę zajmującą się analizami koniunktury, stawiają tezę, że w sprzyjających okolicznościach nasza gospodarka powróci do stanu sprzed pandemii najwcześniej w połowie 2022 r. Rynek pracy będzie dochodzić do siebie o wiele dłużej. Po tąpnięciu, jakie nastąpiło po kryzysie lat 2008-09, europejska gospodarka potrzebowała tylko trzech lat na powrót do pełnego zdrowia. Rynek pracy w UE osiągnął stan sprzed kryzysu dopiero sześć lat później.

Firmy, które przetrwają najostrzejszą fazę recesji, zapewne zwiększą też efektywność pracy, czy to wymuszając ją na personelu groźbą zwolnień, czy to inwestując w robotyzację (polskie przedsiębiorstwa mają dziś do dyspozycji spore przedkryzysowe zapasy gotówki sięgające łącznie 300 mld zł). Warto wziąć to pod uwagę, narzekając na niewygody noszenia maseczki. ©P

Uderz, nie dotykając

LAURA PRIESTESS, AUTORKA KSIĄŻKI „JEDENASTE NIE DOTYKAJ”:

Gdy przestałam tłumić, że to, co robił mi ojciec, było przemocą seksualną pod przykrywką kar cielesnych, miałam ochotę wykrzyczeć moją krzywdę całemu światu. Także ludziom Kościoła.

ANNA GOLUS: Kiedy pojawiły się bóle?

LAURA PRIESTESS: Nie pamiętam, by kiedykolwiek ich nie było. Moja matka twierdzi, że gdy byłam mała, podchodziłam do obcych ludzi w parku, uśmiechałam się, przedstawiałam, więc kiedyś pewnie nie czułam żadnego strachu. Bo powodem bólu był strach, to taki rodzaj fobii społecznej. Byłam jak zaszczute zwierzątko, które ze strachu zastyga, tężeje, zamiera. Miałam takie stężenie i napięcie mięśni, że powodowało ból, od kiedy pamiętam. Wiedziałam, że inni tak nie mają, ale nie potrafiłam powiedzieć o tym mamie.

Dlaczego?

Bo czułam się gorsza. Poza tym wiedziałam, że ona tego nie zrozumie. I miałam rację. Rozmawiałam z nią o tym dopiero, gdy byłam już prawie dorosła, i powiedziała, że ja tak po prostu mam. Że każdy ma jakieś cierpienie, a moje widocznie jest właśnie takie.

Przeszło, gdy zaczęłaś brać antydepresanty.

Pierwszy raz na studiach. Pewnego dnia dostałam tak silnego ataku lęku, że wylądowałam w szpitalu. W badaniach niczego jednak nie znaleziono, więc przysłano do mnie psychiatrę, która od razu się zorientowała, że jestem chora na strach, i wypisała mi leki antydepresyjne. Wtedy zyskałam nowe życie: szłam na uczelnię, rozmawiałam z kolegami, zgłaszałam się na zajęcia. Znajomi mówili, że jestem jak zupełnie nowa osoba. Nie wiedzieli, jak to się stało, a ja po prostu przestałam się bać. Nazywałam te leki wybawieniem, ale brałam je tylko przez rok. Przestałam, gdy wyszłam za mąż. Z jednej strony czułam się wtedy bardzo dobrze psychicznie i fizycznie, a z drugiej, uważałam, że skoro zażywam an-

tydepresanty, to znaczy, że jestem chora psychicznie. Postanowiłam więc, że odstawię leki i poradzę sobie sama. Dawałam sobie radę przez dziewięć lat, do ok. trzydziestego roku życia.

Co się wtedy stało?

Gdy moje dzieci trochę podrosły, wróciłam do pracy i okazało się, że to jest dużo trudniejsze, niż przypuszczałam. Ta praca nie była szczególnie stresująca, ale ja się strasznie męczyłam. Rozmowa z każdą osobą była okupiona bólem, sztywnością. Pracowałam na pół etatu, ale przychodziłam do domu i padałam na łóżko, jakbym pracowała w kamieniołomie. Ból, straszny ścisk, zwłaszcza karku i ramion. Teraz też mnie trochę złapało. Bez porównania z tym, co miałam dawniej, ale najwyraźniej trochę się zestresowałam.

Pamiętaj, że w każdej chwili możemy przerwać.

Wiem, ale spokojnie, to już nie jest ten poziom bólu co wtedy.

Męczyłam się tak przez rok, po czym wróciłam do antydepresantów. I biorę je do dziś.

To ciekawe: zawsze wiedziałaś, że to, co dzieje się z Twoim ciałem, to fizyczne objawy strachu, a nie choroby somatycznej. W końcu jednak Twoje ciało też zachorowało i leki antydepresyjne przestały wystarczać.

Okazało się, że mam uszkodzony kręgosłup w odcinku szyjnym, pewnie od tego wieloletniego napięcia. Kilka miesięcy temu zdiagnozowano też chorobę Hashimoto. Moja endokrynolożka uważa zresztą, że przyczyną chorób autoimmunologicznych jest stres, i że często idą one w parze z problemami psychicznymi, np. depresją. Byłam zdziwiona, gdy podczas pierwszej wizyty py-



tała o moje życie, o stresujące sytuacje, ale powiedziałam jej trochę o moich doświadczeniach z dzieciństwa.

To była pierwsza lekarka, której o tym powiedziałaś?

Nie. Pierwsza lekarka i w ogóle pierwsza osoba to była psychiatra, ok. siedem lat temu, gdy miałam 34 lata, i gdy pojawiły się u mnie ataki paniki. Żaden psychiatra wcześniej nie pytał o dzieciństwo, więc nie spodziewałam się tego pytania, i w ogóle nie wiązałam swojej depresji ani zaburzeń lękowych z dzieciństwem. Po raz pierwszy wypowiedziałam jednak to słowo: „molestowanie”, zaczęłam płakać i więcej już nic nie mogłam z siebie wydusić. Lekarka zapisała mi jakieś silne lekarstwa, po których się źle czułam. Więc przestałam je brać.

Nie wystąpiła Cię na psychoterapię?

Chciała, ale ja powiedziałam, że nie mam czasu, bo mam małe dzieci, pracę... I sama nauczyłam się zwalczać ataki paniki. Gdy czułam, że się zbliżają, powtarzałam sobie: „To tylko strach, nic złego się nie stanie, nikt mi nic nie zrobi, naj-



BARTŁOMIEJ KUDOWICZ / FORUM

wyżej się trochę poboje”. Wy tłumaczyłam sobie, że wcale nie umieram i że nie zostawię dzieci. I dalej dusiłam w sobie traumę.

Co musiało się stać, żebyś przestała?

Bardzo powoli do mnie docierało, że wszystko, co się ze mną dzieje, jest wynikiem traumy. Na przykład kiedyś trafiłam na jakiś artykuł o molestowaniu dziewczynki przez ojca i coś we mnie drgnęło – zaczęłam dopuszczać do siebie myśl, że mogłabym o tym komuś powiedzieć. Ale to były takie chwilowe przebieyski, a potem czas płynął, a ja dalej udawałam, że nic się nie stało. Przełom nastąpił w 2015 r., gdy natknęłam się na chrześcijańskie instrukcje fizycznego karania dzieci i wypowiedź papieża Franciszka, że nie wolno bić po twarzy, a jeśli rodzic musi uderzyć, to niech bije w pośladki. Byłam zszokowana, wkurzona. I jeszcze ten artykuł ks. Dariusza Kowalczyka...

O tym, że miło wspomina klapsy.

Gdy to przeczytałam, poziom żalu i poczucia krzywdy wzrósł do tego stopnia, że tego się już nie dało znieść. Całe życie

myślałam, że mogę udawać, że nic złego mi się nie stało, zamiatać pod dywan potwora z przeszłości. Ale jego macki coraz częściej mnie dosięgały i właśnie pięć lat temu dotarło do mnie, że dłużej już tak nie wytrzymam. Ja się po prostu wściekłam i ta wściekłość spowodowała, że postanowiłam coś z tym zrobić.

Co?

Planowałam wykrzyknąć ojcu, jak bardzo mnie skrzywdził, i powiedzieć o wszystkim mojej mamie, siostrze i mężowi. Myślałam, że jak im powiem, to oni mi uwierzą, zrozumieją i będę uratowana. Jak się okazało, bardzo się myliłam, ale ta złość była impulsem do posprzątania pod dywanem. Bo ja naprawdę strasznie się wkurzyłam na tego Kowalczyka. W ogóle znienawidziłam Kościół, przestałam tam chodzić.

Dlaczego, skoro to nie ksiądz Cię skrzywdził?

Bo poczułam się zdradzona przez Kościół. Wychowałam się w katolickiej rodzinie, byłam wierząca i praktykująca, zaangażowana w życie Kościoła, wierna

jego nauczaniu. Na przykład czekałam z seksem do ślubu, byłam skromna i cnotliwa, na studiach działałam w duszpasterstwie akademickim. I dostałam za to od Kościoła taką zapłatę, że usłyszałam od jego przedstawicieli, że to, co zabiło mnie duchowo, jest super i podoba się Panu Bogu.

Bo nawet jeśli Kościół tego wprost nie popiera, to nie zabrania, milczy, nie reaguje, kiedy księża pochwalają kary cielesne, a chrześcijańskie wydawnictwa drukują książki z instrukcjami bicia dzieci. Alice Miller pisze w „Buncie ciała”, że zwracała się do Watykanu i prosiła, żeby Kościół sprzeciwił się przemocy wobec dzieci, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Gdyby Kościół zajął oficjalne stanowisko, że nie wolno bić dzieci – po pierwsze dlatego, że przemoc jest zła, a po drugie, bo jest to zagrożenie dla intymności i seksualności – to mocą swojego autorytetu zrobiłby bardzo dużo dobrego. A Kościół milczy.

Albo, jak sam papież, pochwała klapsy.

Ksiądz Kowalczyk to też nie jest pierwszy lepszy ksiądz, tylko profesor, wykładowca uczelni w Rzymie. Zastanawia mnie, jak to jest, że ja, choć nie jestem naukowcem, dogrzebałam się do tyłu źródeł mówiących o tym, iż kary cielesne mogą mieć aspekt seksualny. A ci wszyscy wysoko postawieni, wykształceni przedstawiciele Kościoła o tym wszystkim nigdy nie słyszeli? Nie słyszeli, że flagelacja może być aktem sadomasochistycznym, a nie aktem pokuty? Nie wierzę. W krajach, w których naprawdę walczy się z krzywdzeniem dzieci przez księży, np. w Irlandii i Niemczech, uznaje się za oczywiste, że wymierzanie przez księdza – czy kogokolwiek innego – kary cielesnej, zwłaszcza na gołe pośladki, jest molestowaniem seksualnym. Bo pośladki to miejsce intymne i strefa erogenna, również u dzieci. Zastanawiam się, czy ci księża tacy ślepi są, czy mają to gdzieś.

Postanowiłaś otworzyć im oczy?

Tak, zresztą nie tylko im. Gdy przestałam tłumaczyć, że to, co robił mi ojciec, było przemocą seksualną pod przykrywką kar cielesnych, miałam ochotę wykrzyknąć całemu światu moją krzywdę. I nie tylko moją, bo znalazłam też świadectwa innych, którzy jako dzieci doświadczyli tego, co ja. Choćby Beth Fenimore, →

→ córka ilustratora jednej z chrześcijańskich instrukcji bicia dzieci. Albo Jan Jakub Rousseau. Albo Leopold von Sacher-Masoch. Od jego nazwiska pochodzi termin masochizm, ale jego masochizm nie był wrodzony, tylko został wzbudzony w dzieciństwie przez kary cielesne. Już Freud uważał, że korzeniem masochizmu jest bicie dzieci w pośladki. Seksuolog Kazimierz Imieliński twierdził wręcz, że kary cielesne wobec dzieci zostały zakazane właśnie z tego powodu, że powodowały flagellantyzm, czyli umiowanie erotycznej chłosty. Ale zanim się tego dowiedziałam, strasznie cierpiałam.

Szukałaś pomocy?

Tak, chodziłam do psychologów, ale nie mogli mi pomóc, bo mój główny problem polegał wtedy na tym, że nie mogłam znieść, iż o seksualnym aspekcie bicia dzieci w ogóle się nie mówi. Nie mogłam znieść tego milczenia, bo ono sprawia, że dzieci są molestowane, a ich seksualność jest okaleczana pod przykrywką „wychowania”. Nie mogłam znieść, że ofiary takiego molestowania są wyśmiewane, obwiniane i nazywane zboczonymi. Psychologowie mówili mi jednak, że nic nie można na to poradzić. Dopiero moja przyjaciółka uświadomiła mi, że przecież mogę coś zrobić. Za jej namową w 2017 r. zaczęłam pisać książkę. Wcześniej przez rok pisałam bloga.

To była Twoja autoterapia?

Tak, przy czym ten blog służył głównie do wyrzucania emocji, więc był bardzo chaotyczny. Zresztą książka na początku też, ale pisałam ją, redagowałam i poprawiałam przez trzy lata, korzystając z porad różnych osób, m.in. seksuologa Andrzeja Depki. To było odkrywanie samej siebie, swojej historii, przezwyciężanie traumy i leczenie ran na seksualności. Podczas pisania myślałam też o innych ofiarach, o tym, żeby przełamać tabu. Mam nadzieję, że moja książka w jakiś sposób się do tego przyczyni. Bo to jest błędne koło: ofiary nie mówią, bo się o tym nie mówi, a nie mówi się, bo ofiary milczą.

Czasem jednak mówią. Ty znalazłaś sporo historii i źródeł.

Ja miałam powód, bo sama doświadczyłam tego zła i jego skutków, a poza tym byłam wkurzona, to był bardzo mocny zapłon. Wcześniej myślałam, że

Bicie w pośladki może wywoływać nie tylko ból,
ale też podniecenie – również niechciane – nawet u dzieci i bez względu na intencje bijącego, bo to kwestia anatomii.

tylko ja na całym świecie tego doświadczyłam i że jestem zła, nienormalna, zboczona. A dziś wiem, że bicie w pośladki może wywoływać nie tylko ból, ale też podniecenie – również niechciane, mimowolne – nawet u dzieci i bez względu na intencje bijącego, bo to kwestia anatomii. Jako dziecko byłam zresztą przekonana, że karą jest nie ból, tylko właśnie to dziwne, niezrozumiałe, nieprzyjemne ssanie między nóżkami, które nie mijało tak szybko jak fizyczne cierpienie. Dziś wiem też, że to połączenie podniecenia i bólu zakodowało się na zawsze nie tylko we mnie, że bicie dzieci zwiększa ryzyko wystąpienia masochizmu i innych zaburzeń seksualnych, i że spanking, czyli dawanie klapsów, to zabawa erotyczna. Zaakceptowałam te moje upodobania dopiero podczas pracy nad książką.

Twoi bliscy wiedzą o niej?

Wie mąż, mama, siostry i dwie przyjaciółki. Rozmawiałam z nimi już wcześniej. Kiedyś próbowałam przekonać moją matkę, że bicie dzieci może być molestowaniem seksualnym, że klaps to zły dotyk. Mama powiedziała, że to ze mną było coś nie tak i reagowałam nienormalnie: w takiej sytuacji z ojcem nie powinno się tak reagować, bo to przecież nie jest dotyk nawet.

Nie jest dotyk?!

Tak powiedziała. A ja jej na to: „To uderz dłonią w szafę, nie dotykając jej”. Nie uderzyła.

A ojciec wie?

Być może siostry mu powiedziały, ja nie mam z nim kontaktu. Ostatni raz rozmawialiśmy pięć lat temu. Przeczytałam definicję zgwałcenia i dowiedziałam się, że to wcale nie musi być stosu-

nek, tylko czynność seksualna, która wdzierą się w intymność, a sprawca nie musi robić tego dla swojego zaspokojenia, tylko żeby zniszczyć poczucie seksualnej wolności ofiary. Wtedy jeszcze bardzo potrzebowałam potwierdzenia, że to, co mi zrobił, to nie było „łanie, które jeszcze nikomu nie zaszkodziło”, tylko przemoc seksualna, która zaszkodziła mi bardzo. Kiedy więc znajdowałam jakiekolwiek potwierdzenia, że tak mogło być, cieszyłam się, bo nie czułam się tak bardzo niewidzialna. A ojcu wykrzyczałam, że go nienawidzę i że tylko mąż może klepać mnie po pośladkach, nikomu innemu nie wolno. Byłam przekonana, że teraz już będę wyleczona, ale nic się nie zmieniło. Naprawdę myślałam, że to jest takie proste, a potem zrozumiałam, że zupełnie na czym innym polega uzdrowienie.

Na czym?

Na rezygnacji z wmawiania sobie, że nic się nie stało. Na przyznaniu, że stało się coś bardzo złego, na dopuszczeniu do siebie emocji i uznaniu, że miałam prawo czuć to, co czułam. To tak, jakbym zaopiekowała się tą małą dziewczynką, którą byłam. A to wiąże się z tym, że przestałam nienawidzić samej siebie za to, co się stało. Zaczęłam rozumieć, że byłam niewinną ofiarą, a nie zboczoną grzesznicą. Że zasługuję na współczucie, a nie potępienie. Gdy zaczęłam na wszystko wiedzieć i czuć, uświadomiłam sobie, że nie potrzebuję już niczyjego potwierdzenia. Uzdrawienie nastąpiło wtedy, kiedy sobie uświadomiłam, że ta osoba, której szukałam, która miała potwierdzić prawdziwość mojego doświadczenia, to jestem ja. Gdy zaakceptowałam swoją seksualność i zaczęłam praktykować z moim mężem to, czego nikt nigdy nie powinien robić dzieciom. © Rozmawiała ANNA GOLUS

LAURA PRIESTESS – pseudonim autorki wydanej właśnie książki „Jedenaste nie dotykaj. Moja historia przemocy”



(Wydawnictwo Replika). Autorka na podstawie między innymi własnych doświadczeń porusza temat wpływu kar cielesnych na rozwój psychoseksualny dziecka i jego przyszłe życie erotyczne.

ANNA

Dziewit-Meller:

Błogosławieństwo



CÓŻ TO ZA NIEBYWAŁE CZASY SĄ, ŻE ZAWSZE, GDY SIADAM DO PISANIA FELIETONU, MAM POCZUCIE ZAPADANIA SIĘ CORAZ BARDZIEJ W BAGNO, W KTÓRE ZAMIEŃNIŁ SIĘ ŚWIAT. TYDZIEŃ TEMU NA JEGO DNIE BYŁ MINISTER CZARNEK. MYŚLAŁAM, ŻE CIĘŻKO

zejść głębiej, nawet się cieszyłam: och, jest tak źle, że przynajmniej przez chwilę nie może być gorzej – co za ulga, siadę i posiedzę! Ale dziś od spodu znów coś zapukało i widać, że poprzedniego lidera – homofoba, mizogina i miłośnika bredni – pokonał COVID-19. Gdy piszę te słowa 8 października, Ministerstwo Zdrowia ogłasza 4280 nowych przypadków choroby. Gdy je czytacie – ktoś wie, jakie liczby będą wyświetlane na ekranach pulsujących na czerwono, ze słowem „pilne” w nagłówkach.

Z covidem żyjemy już tak długo, że czasem zdarzy się nam przejść innymi sprawami – jako Polacy pod rządami PiS-u mamy do tego pełne prawo. Ale w tych dniach nawet fakt, że relacje między prezydentem a nowym wicepremierem nie są utrzymywane w rękawiczkach, nie może nam przesłonić tego, co najważniejsze.

Donald Trump też o tym wie – dlatego po wyjściu ze szpitala w czasie mniej więcej dwa razy szybszym, niż przewiduje jakikolwiek system zaleceń lekarskich dotyczących transmisji wirusa, najpierw ostentacyjnie ściąga maseczkę gestem przywołującym na myśl co najmniej zerwanie kajdan, z miną wolności wiodącej lud na barykady, a potem powiada, że po pierwsze czuje się lepiej niż 20 lat temu, a w ogóle to jego zakażenie było błogosławieństwem. Dzięki temu Ameryka stanie na nogi, rozda bowiem Trump ludowi zupełnie darmo lek, który jego postawił na nogi w ledwie 4 dni. Wyraźnie Bóg Ameryce nieustająco błogosławi, nie chce być inaczej.

Myślę ciepło o pracownikach Białego Domu, którzy muszą co rano wstać i iść do pracy w miejscu, gdzie tyle jest błogosławionego powietrza, którym oddycha czujący się jak młody bóg pan prezydent. To musi być świetne uczucie – uczestniczyć w tak historycznym wydarzeniu całym sobą, a także całą swoją rodziną. I każdym, kogo napotkają na swej błogosławionej drodze.

W Polsce tymczasem wirus, jak wiadomo, szczęśliwie od początku wakacji jest już w odwrocie. Choć w tej chwili sprawy wyglądają tak, jakby czegoś w pośpiechu owego odwrotu zapomniał i właśnie po to coś do nas wracał (może zapomniał maseczki? kto nie wracał do domu po maseczce, niech pierwszy rzuci płynem do dezynfekcji!). Z zainteresowaniem śledziłam sejmową debatę, podczas której plandemicy – wyznawcy teorii o koronawirusie jako wielkim spisku przeciwko ludzkości, do których należy wielu posłów Konfederacji, w tym Grzegorz Braun – odmawiali założenia

„namordników” na swoje zdrowe jak polska rzepa, buntowniczo harde twarze.

Zuchy. Zawsze to jednak wymaga trochę odwagi odmówić noszenia maseczki na twarzy, gdy ci wszyscy zwariowani na punkcie ratowania ludzkiego życia lekarze opowiadają te swoje opłacone przez Sorosa i Gatesa popierdółki o chorych umierających na COVID-19. Przecież celebrytka Viola Kołakowska już napisała na Instagramie, że tym, co tych ludzi naprawdę zabija w tych szpitalach, nie jest żaden wirus, tylko respiratory. Każde dziecko to wie! To są maszyny do uśmiercania, wyłącz telewizję, włącz myślenie, człowieku!

Miałam jeszcze niedawno w sobie jakąś wolę zrozumienia dla takich ludzi jak pan sprzed dwóch dni w Żabce pod moim domem, który wybierał masło bez maseczki, a na moją prośbę, by się ode mnie odsunął w kolejce i nie dyszał mi w szyję, zaburczał pod nosem coś w sumie mało obelżywego – ale chyba mi się cierpliwość kończy. Jeśli mnie pytacie o to, kto będzie winien możliwego ponownego zamknięcia szkół, ograniczeń w handlu, odwołanych wesel itp. – to ja chętnie zacznę wskazywać swoim chudym paluchem. I choć najpierw wskażę oczywiście kompletnie nieudolny rząd zadowolonych z siebie nieuków, którzy swoje partyjne rozgrywki przedłożyli latem ponad nasz wspólny dobrostan, to następnie mój nerwowo drążący palec wskaże tych wszystkich ludzi, którzy postanowili w ten dziwny sposób zademonstrować swoją wolność.

Jeśli uważaliście, plandemicy, że noszenie namordnika jest wyrazem straszliwej opresji, a nie prostej empatii i społecznej solidarności, to chyba mi już was nawet nie żal, bo przez taką egoistyczną postawę wszyscy zaraz będziemy mieli przerąbane. I raczej nikt z nas nie będzie się czuł lepiej niż 20 lat temu.

©

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 250/20 toczy się postępowanie z wniosku Marii Zawada o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonych w Besku, składających się z działek oznaczonych numerami ewidencyjnymi:

- 341, 573, 602 – o powierzchni 1,87 ha – dla których to w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzona jest księga wieczysta KS1 S/00023675/9,
- 356, 1046/2 – o powierzchni 0,56 ha – dla których to w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzona jest księga wieczysta KS1 S/00024142/1,
- 606, 1296 – o powierzchni 0,71 ha – dla których to w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzona jest księga wieczysta KS1 S/00023850/0.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, a w szczególności spadkobierców Zofii Przybyła, Edwarda Przybyła i Marii Huta, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

OGŁOSZENIE

CZYJ JEST UNIWERSYTET

KS. PROF. ANDRZEJ SZOSTEK:

Kiedy nieuzasadnione, niesprawiedliwe i krzywdzące represje spotykają kogoś mi bliskiego – a tak stało się na KUL – nie jestem w stanie tego firmować.



ARTUR SPORNIAK: Ksiądz Profesor zerwał współpracę z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim. To dość radykalny krok.

KS. ANDRZEJ SZOSTEK: Tak.

Powód?

Wyłuszczyłem go w liście do rektora.

Napisał Ksiądz m.in.: „Nie potrafię kontynuować współpracy z Uczelnią, której Władze tak krzywdząco traktują swego Profesora – i to etyka, który właśnie z bliskich mi racji etycznych ma odwagę zabierać głos w sprawach moralnie doniosłych w Polsce i w Kościele”. Chodzi

o ks. prof. Alfreda Wierzbickiego, którego wypowiedzi trafiły do Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej.

Już nie dodawałem osobistych wątków. Ks. prof. Wierzbicki jest w tej samej Katedrze Etyki, w której dotąd byłem. Co więcej, jakiś czas temu byłem jego przełożonym jako kierownik tej katedry, a potem on został jej kierownikiem i ja stałem się jego podwładnym. Nasza współpraca, zarówno w katedrze, jak i w Instytucie Jana Pawła II KUL była intensywna. Dla mnie to także osobiście ważna sprawa, gdy człowiek, którego szlachetność i uczciwość myślenia znam, zostaje tak potraktowany przez władze KUL.

W dodatku myśmy na to zareagowali już 6 września – po pierwszym oświadczeniu rektora. Nasz list – podpisany przez 12 czynnych i emerytowanych profesorów KUL – był wysłany z mojej skrzynki pocztowej. Dodałem słowa: „Miroślawie drogi (jesteśmy przecież z rektorem po imieniu), wysyłam Ci ważny i pilny list”. I nic – do dziś żadnej odpowiedzi.

Oświadczenie rektora z 4 września odcinało się od poglądów ks. Wierzbickiego.

To brzmiało jak banał, bo przecież ciągle wygłaszamy własne poglądy, ale nie w stosunku do wszystkich zamieszczane są na stronie KUL takie oświadczenia. Więc zabrzmiało to groźnie i poszło na cały świat. W oświadczeniu zaznaczono, że KUL całkowicie popiera stanowisko wyrażone przez episkopat w słynnym dokumencie dotyczącym LGBT+.

Kontekstem były ataki na ks. Wierzbickiego po poręczeniu przez niego (razem z jedenastoma innymi osobami) za Margot, aresztowaną transseksualną aktywistkę LGBT+. Przy czym ks. Alfred wyraźnie zaznaczył, że nie podziela poglądów Margot, a ocenę jej czynów pozostawia sądowi, tylko uważa, że areszt, jako zastosowany środek, jest w tej sytuacji nieproporcjonalnie surowy. To sprawiło, że pojawiły się głosy domagające się usunięcia go z uczelni, a potem po Lublinie zaczęła jeździć furgonetka fundacji o pobożnie brzmiącej nazwie z portretem ks. Wierzbickiego i z hasłami w niego

wymierzonymi. I również nie było żadnej reakcji rektora.

Natomiast po miesiącu milczenia nagle dowiadujemy się, że Kolegium Rectorskie – instytucja niewystępująca w statucie KUL – zgłasza sprawę ks. Wierzbickiego do rzecznika dyscyplinarnego. W sprawach dyscyplinarnych rektor powinien być raczej obiektywnym świadkiem, a nie stroną sporu – przecież rzecznicy dyscyplinarni są pracownikami KUL. A tu ponadto oskarżającymi jest cała grupa – rektor z prorektorami. Rzecz niespotykana!

Napisał Ksiądz do rektora, że na ogół w pełni zgadza się z głoszonymi przez ks. Wierzbickiego opiniami. KUL w końcu wymienił przykłady jego wypowiedzi, które mają być poddane badaniu. „Dokument biskupów wygląda, jakby był pisany na Księżycu, a nie w Polsce, gdzie prześladowani są na tym tle ludzie” – powiedział ks. Wierzbicki. Czy Ksiądz zgadza się z tą tezą?

Tak. W liście zaznaczyłem, że różnice zdań na różne ważne tematy – np. dotyczące uchodźców czy konwencji stambulskiej – występują także wśród hierarchów. I bynajmniej nie świadczy to o podważaniu nauki Kościoła. Podobnie ks. Alfred mówi tylko, że ten oto dokument jest pisany niemądrze, że jest nie na czasie, że jest właśnie pisany „jak na Księżycu”, że nie bierze pod uwagę rzeczywistych problemów tych ludzi. Czy taka krytyka jest niezgodna z nauką Kościoła?

A z tym Ksiądz się zgadza: „Kościół jest jednoznaczny: homoseksualizm jest złem”? Ks. Wierzbicki zaraz dodał: „Zastanawiam się jednak, czy nie powinniśmy zrewidować tego poglądu. (...) Mógłbym zaakceptować związki partnerskie, które dotyczą przecież nie tylko osób homoseksualnych. Czy uderzyłoby to w rodzinę? Uważam, że nie”.

Na ten temat podyskutowałem z ks. Wierzbickim. Te sprawy są dyskutowane w Kościele. Uważam, że ks. Wierzbicki byłby niezgodny z nauką Kościoła wtedy, gdyby podważał jakiś dogmat albo np. zasadniczą ideę, czym jest Kościół. Niczego takiego w jego wypowiedziach nie ma. Mam nadzieję, że rektor i prorektorzy nie uważają za brak ortodoksji samego faktu publicznego krytykowania biskupów w tej czy innej sprawie.

JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCIA GAZETA



Ks. Andrzej Szostek (z lewej) podczas obchodów 100-lecia KUL odbiera z rąk ówczesnego rektora tej uczelni, ks. Antoniego Dębińskiego, medal przyznawany zasłużonym byłym rektorom. Lublin, 8 grudnia 2018 r.

→ Przynajmniej wyjaśniło się, że ks. Wierzbicki naraził się rektorowi przede wszystkim krytyką dokumentu episkopatu. Zrozumiałe teraz staje się owo zdanie z pierwszego oświadczenia rektora, dodane jakby mimochodem: „W kwestiach związanych z LGBT+ nasz uniwersytet w pełni utożsamia się ze stanowiskiem Konferencji Episkopatu Polski przyjętym podczas ostatniego Zebrania Plenarnego na Jasnej Górze”.

„Nasz uniwersytet” – czyli rektor przyjął na siebie rolę głosu nas wszystkich, związanych z tą uczelnią. To by sugerowało, że na KUL nie ma innego poglądu. Tymczasem wiem, że są tu różne głosy na temat dokumentu biskupów.

Czy uniwersytet katolicki nie powinien się zgadzać z Konferencją Episkopatu?

Może mieć swoje zastrzeżenia, jeśli uzna, że dokument jest niedostatecznie trafny czy niedostatecznie fortunny. To przecież ludzkie dzieło i jak wszystkie ludzkie dzieła podlega różnym słabościom, które warto w niektórych momentach wskazywać.

Wiele na to wskazuje, że głównym redaktorem dokumentu episkopatu był bp Józef Wróbel, który jest profesorem KUL wykładającym teologię moralną. Czy rektor nie uległ po prostu naciskom profesora, który ma tę przewagę nad ks. Wierzbickim, że stoi za nim episkopat?

O tych szczegółach dowiaduję się od pana. Nie chcę podejmować szczegółowej dyskusji z dokumentem, ale cała leżąca u jego podstaw teza o niebezpieczeństwie „ideologii gender”, która nas atakuje, jest tezą co najmniej dyskusyjną. Zwłaszcza jeśli jest wpisana w charakterystykę całej sytuacji Kościoła w Polsce. Jest szereg o wiele ważniejszych problemów – i moralnych, i wychowawczych – o których się nie mówi. Czy nie mam prawa sądzić, że ten głos jest niefortunny?

Uniwersytet z samej istoty jest miejscem sporu, wykuwania nowych interpretacji czy perspektyw patrzenia. Próba blokowania swobody krytycznego myślenia właściwie godzi w niego samego.

Tak jest. Mój protest ma podobny charakter, jak Alfreda w sprawie Margot – uważam, że sankcje zastosowane wobec

Szlachetna rola uniwersytetu

polega właśnie na tym, że robi miejsce na przedstawianie spraw z różnych stron.

ks. Wierzbickiego są nieproporcjonalnie surowe. Po ludzku patrząc, jeśli rektora coś zaniepokoiło, coś prostszego, jak wezwać na rozmowę? Być może sam Alfred uznałby, że w jego wypowiedziach coś było przesadą. Tego jednak nie zrobiono.

Pomysł, by sprawę przeciwko ks. Wierzbickiemu wniosło Kolegium Rectorskie, w którego gronie – choć nieformalnym, jak Ksiądz zaznaczył – oprócz księdza rektora są też świeccy i siostra zakonna, nie miał stwarzać wrażenia reprezentatywności?

Być może. Próbowano stworzyć wrażenie, że tak uważa cały KUL. I właśnie to stwierdzenie, że teraz taki jest KUL, sprawia, że tak trudno jest mi kontynuować z nim współpracę. Do tej pory, gdy byłem zapraszany na gościnne wykłady, np. by studentom amerykańskim opowiadać o Karolu Wojtyłę czy upadku komunizmu, traktowałem to też jako w dobrym sensie reklamowanie KUL – pokazywanie, że tu u nas się tak myśli, że tak rozumiemy świat, że warto z tą uczelnią współpracować. Teraz mnie na to nie stać.

Już się tak nie myśli? W Waszym liście do rektora z 6 września pojawia się zarzut, że coraz częściej władze KUL reagują dyscyplinarnie na wypowiedzi tylko jednej strony – „tej »opozycyjnej« w dzisiejszej rzeczywistości”.

Pod listem podpisała się część profesorów, którzy są emerytami – m.in. ja. Mogę powiedzieć, że jesteśmy świadkami innej atmosfery w KUL. Z niepokojem obserwuję, że od dłuższego czasu władze chętniej reagują na niestosowne, ich zdaniem, zachowania przedstawicieli tzw. liberalnej strony sceny ideowej.

Ksiądz się odciął od KUL. Co jest winny sam uniwersytet? Przecież

nadal funkcjonują w nim środowiska bliskie Księdzu.

Dlatego w swoim liście do rektora zaznaczyłem, że sam temu uniwersytetowi bardzo wiele zawdzięczam. I nie chciałbym, żeby mój krok był traktowany jako zachęta do podejmowania podobnych decyzji przez innych pracowników KUL. Przeciwnie: zachęcam wszystkich, by starali się podtrzymać najszlachetniejsze tradycje tej uczelni. Tym niemniej mam wrażenie, że mamy do czynienia z jakimś swoistym zakretem w jej historii.

W listopadzie kończę 75 lat. Już nie mam etatu na KUL. Chodzi mi o to, by mnie nie proszono o reprezentowanie KUL, ponieważ w tej sytuacji nie mogę już tego robić. Jeszcze raz wracam do tego: kiedy nieuzasadnione, niesprawiedliwe i krzywdzące represje spotykają kogoś mi bliskiego, kogoś, za kogo czuję się jakoś współodpowiedzialny, nie jestem w stanie nadal tego firmować.

W liście z 6 września napisaliście, że ks. Wierzbicki „od lat imponuje odwagą myśli i wypowiedzi, ale też wprowadza do naszej kościelnej uniwersyteckiej rzeczywistości element rozsądku i przyzwoitości”. Na czym ta odwaga i rozsądek polega?

Właśnie dlatego, że obracamy się w sferze spraw spornych, grozi nam, że przyczepimy się do jednej tylko opcji. Zwłaszcza w sytuacji, gdy społeczeństwo zostało przez polityków tak ostro podzielone. KUL nie powinien angażować się w żadną partyjną działalność. Szlachetna rola uniwersytetu polega właśnie na tym, że robi miejsce na przedstawianie spraw z różnych stron. I tak jak Kościół nie chce być partią polityczną, tak KUL nie powinien w żadną partię dać się wciągnąć. Wobec tego głos, który pokazuje, że jest różnica zdań, że można wypowiadać także inne tezy niż firmowane przez hierarchów, potwierdza ową szlachetną rolę uniwersytetu. Alfred ma odwagę wyrażać, jasno wyrażać swoje poglądy, nie owijając ich w bawełnę. Jeśli się z nim nie zgadzasz, podejmij dyskusję. Takiej odwagi i uczciwości intelektualnej bardzo dzisiaj potrzeba.

W Waszym liście jest też zdanie: „Zbyt wielu ludzi uniwersytetu aktywnie i publicznie popiera rozmaite, polityczne i ideologiczne radykalizmy”. O kim mowa?

Podam jeden przykład. W latach 80. XX w. powstał Klub Vade Mecum. Stał się on kuźnią endeckiej formacji. M.in. to środowisko przyłączyło się do ataków na prof. Jerzego Kłoczowskiego, któremu w 2004 r. zarzucono współpracę z SB, co okazało się potem nieprawdą. Z Klubu wyszły prawicowe kariery polityczne – przykładem głośna ostatnio kariera profesora KUL Przemysława Czarnka. Nie chodzi mi o to, by zamykać ten klub. Funkcjonował przecież, gdy byłem rektorem. Ale niech KUL pozostanie miejscem też dla innych sposobów patrzenia na Kościół i Polskę.

Są takie typy patrzenia na świat, dla których fundamentalne znaczenie ma kategoria walki. Gdy ono zaczyna dominować na uczelni, uniwersytet przestaje normalnie funkcjonować. Właśnie m.in. przed tym przestrzega najnowsza encyklika papieża „Fratelli tutti”.

Obecny rektor KUL zaraził się wojenną wizją rzeczywistości?

Nie wiem, gdyż rektor nie chce o tym rozmawiać. Mogę się tylko domyślać. I mam pięć domysłów. Pierwszy jest taki, że to szczerzy pogląd księdza rektora i całego Kolegium Rectorskiego. Oni po prostu tak myślą, że wypowiedzi Alfreda są bardzo szkodliwe. Druga hipoteza: są naciski z wewnątrz uniwersytetu – ludzie dzwonią do rektora i pytają, jak może

pozwalać, „by taki wichrzyciel mógł publicznie swoimi wypowiedziami kłaść uniwersytet”.

Trzecią możliwością są np. naciski ze strony episkopatu. Czwartą – ze strony obecnych władz. Ponieważ uniwersytet planuje różne przedsięwzięcia i liczy na dotacje, musi się z władzami liczyć. Jeżeli swego czasu jeden z profesorów KUL niezwykle ostro atakował ks. Alfreda Wierzbickiego i Alfred nie pozostawał mu dłużny, a teraz ktoś taki zostaje ministrem, możliwości nacisków władzy na KUL trudno wykluczyć.

I wreszcie ostatnia hipoteza najbardziej prawdopodobna – mieszanina tych wszystkich motywów w różnych proporcjach. Proporcji tych nie umiem określić, bo to tylko moje przypuszczenia.

Czy władze KUL nie powielają błędów biskupów, którzy nie przyznając się do tego oficjalnie, silnie angażują się w popieranie PiS?

Wolałbym, żeby to była pana teza. Mnie historia KUL zaczyna przypominać historię związku NSZZ Solidarność. Sam do niego należałem, moje dwie siostry były internowane. Teraz chcę być od tej organizacji jak najdalej. Coś się niedobrego stało z Solidarnością. Nie przypadkiem ludzie mówią „dawna Solidarność”, żeby nie mylić z obecną. Obawiam się, że KUL zaczyna podlegać podobnemu pro-

cesowi. Jest to dla mnie bolesne, związany z tą uczelnią jestem już 56 lat.

To dotyczy różnych instytucji – katolickich i niekatolickich, także uniwersytetu. Kiedyś podczas mojego pobytu w USA podeszła pewna pani i z obawą w głosie zapytała: „Czy ksiądz rektor jest zwolennikiem, czy przeciwnikiem Radia Maryja?”. Odpowiedziałem: „Moją ulubioną stacją radiową jest Dwójka. Czy pani jest zwolenniczką, czy przeciwniczką radiowej Dwójki?”.

Ona się roześmiała, tak jak pan teraz. Taka powinna być reakcja na hasło katolickiej rozgłośni. Taka stacja nie jest po to, żeby ludzi dzielić na zwolenników i przeciwników. A proszę zobaczyć, co dzieje się teraz także z publicznym radiem, np. z radiową Trójką.

Nie wiem, co będzie dalej. Jesteśmy w biegu pewnej historii. Ale niech żywi nie tracą nadziei!

© P Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

KS. PROF. ANDRZEJ SZOSTEK MIC

(ur. 1945) jest etykiem, marianinem, w latach 1998–2004 był rektorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Pracę magisterską z filozofii napisał pod kierunkiem kard. Karola Wojtyły, potem był jego współpracownikiem. Obecnie na emeryturze.



Czy wśród spraw, które tak bardzo nas zajmują, jest także niebo?

S. BARBARA CHYROWICZ

O pojęciach takich jak DOM, MIŁOŚĆ, CZAS, NADZIEJA, WIARA, ŻYWIOŁ czy WOLNOŚĆ opowiadają Autorzy i Autorki „Tygodnika” oraz ich wybitni rozmówcy.

DOBRE ŻYCIE – najnowsze wydanie specjalne bestsellerowej serii „Tygodnika Powszechnego” dostępne w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz jako e-book na powszech.net/dobrezycie



Specjalne wydanie „L'Osservatore Romano” z encykliką, rozprowadzane na Placu św. Piotra. 4 października 2020 r.

List o przekraczaniu granic

PIOTR SIKORA

Biblijnym centrum najnowszej encykliki jest przypowieść o miłosiernym Samarytaninie z pytaniem „kto jest moim bliźnim?”. Papież je odwraca: „czym bliźnim ja się okazuję?”.

ENCYKLIKA „FRATELLI TUTTI” TO NA pozór podsumowanie pontyfikatu Franciszka. Zawiera większość istotnych wątków jego nauczania. Jednym z motywów stale się w nim przewijających jest troska papieża o „ubogich”, tj. o wszystkich, którzy są marginalizowani przez możnych tego świata, nie mają siły przebiccia i często cierpią traktowani jako „koszty ludzkie” (por. 33) w bilansie eko-

nomicznych bądź politycznych zysków i strat.

W wielu miejscach encykliki pojawia się więc krytyka ekonomicznego liberalizmu, który absolutyzuje wolny rynek, jako najlepsze – jeśli nie jedyne – remedium na bolączki ludzkości. Zdaniem papieża za wolnorynkowymi hasłami kryje się często chęć zrealizowania własnych interesów przez możnych tego świata. Fran-

ciszek przypomina o solidarności jako służbie wobec słabszych, domaga się uznania, że własność prywatna nie jest prawem absolutnym, lecz musi pełnić pozytywną funkcję społeczną. Jeśli jej zabraknie, nawet globalny gospodarczy wzrost nie służy integralnemu rozwojowi ludzi.

Nowy wątek

Surowy osąd takiego sposobu urzędowania społeczeństwa nie jest czymś nowym: Franciszek powtarzał go od początku pontyfikatu. Z drugiej strony papież krytykuje zyskujące dziś na sile nurty populistycznego nacjonalizmu. Na poziomie społecznej doktryny Kościoła tu właśnie można znaleźć najwięcej nowych analiz. Warto przyrzeć się bliżej temu aspektowi „Fratelli tutti”.

Populizm jest możliwy, gdyż „istnieją przywódcy ludowi, którzy potrafią zinterpretować uczucia ludu, jego dynamikę kulturową i wielkie tendencje danego społeczeństwa” (159). Tę zdolność Franciszek uznaje za coś dobrego. Może ona jednak być – i bywa – wykorzysty-

wana w zły sposób, gdy politycy dążą „do zwiększenia popularności poprzez nasilanie niższych, egoistycznych skłonności niektórych grup ludności”.

Franciszek wskazuje, na czym polega ów populistyczny sposób zdobywania i poszerzania władzy. Jego istotą jest „sianie rozpacz i budzenie ciągłej nieufności, nawet jeśli jest to zakamuflowane pod maską bronięcia pewnych wartości”. Populistyczni politycy stosują „mechanizm jądrowy, radykalizacji i polaryzacji” (15). W konsekwencji, pomimo postępu technologicznego, rozprzestrzenia się „kultura budowania murów”. Żyjąc w niej, wytyczamy pewien obszar tego, co nasze, wszystko, co „poza”, traktując jak „otchłań, terytorium tego, co nieznane, pustynię”. Wówczas „to, co stamtąd pochodzi, budzi nieufność, bo nie jest znane”. Jednak „kto buduje mur, stanie się w końcu niewolnikiem w obrębie zbudowanych przez siebie murów, bez horyzontów – ostrzega papież – ponieważ brakuje mu wymiany z tym, co inne” (27).

Polityka i mindfulness

Franciszek zwraca tu uwagę na połączenie pomiędzy mechanizmami społecznymi i politycznymi (działającymi tak na poziomie lokalnym, jak regionalnym, narodowym czy globalnym) a psychologicznym oraz duchowym funkcjonowaniem konkretnych osób: „ponieważ największe zagrożenie nie kryje się w rzeczach, w rzeczywistości materialnej, organizacjach, ale w sposobie, w jaki ludzie z nich korzystają. Problemem jest ludzka słabość, nieustanna ludzka skłonność do egoizmu, będąca częścią tego, co tradycja chrześcijańska nazywa »pożądliwością«: skłonność człowieka do zamykania się w immanencji własnego »ja«, własnej grupy, we własnych zachłannych interesach” (166).

Najwyraźniej widać to na przykładzie kryzysu migracyjnego. Jak zauważa papież, „w niektórych krajach docelowych zjawiska migracyjne wywołują alarm i obawy, często podsycane i wykorzystywane do celów politycznych. W ten sposób rozprzestrzenia się mentalność ksenofobiczna, mentalność zamknięcia i skupienia się na sobie”. Franciszek zwraca jednak uwagę, że owa obawa przed imigrantami jest głęboko zakorzeniona w naturalnych, normalnych odruchach, jest to bowiem „część naturalnego instynktu samoobrony” (41). Na tym po-

ziomie jest czymś normalnym, przynajmniej papież, że „każda sytuacja zagrożenia wywołuje nieufność i koncentrację na sobie” (26). Właśnie owe naturalne mechanizmy są wykorzystywane przez ludzi, którzy chcą uzyskać wpływy w społeczeństwie. Dlatego Franciszek zachęca „do wyjścia poza te pierwotne reakcje” (41).

Wyzwolenie się z immanencji własnego „ja” nie jest – papież ma tego świadomość – sprawą prostą. Nie wystarczy mocne postanowienie, tym bardziej nie można do tego kogoś zmusić jakimś srodowniskowym czy prawnym naciskiem. Jest to raczej długotrwały proces rozwoju duchowego, w którym trzeba poradzić sobie także z rozmaitymi problemami psychologicznymi.

Warto zwrócić uwagę na fragmenty encykliki zawierające wskazówki pomocne w przejściu tego procesu. Franciszek pisze na przykład, że współczesna kultura (z jej rozbudowaną sferą wirtualną) sprzyja uaktywnianiu się w nas mechanizmu selekcji, „powstaje nawyk natychmiastowego oddzielania tego, co mi się podoba, od tego, co mi się nie podoba, rzeczy pociągających od niewygodnych”. Działa on także w relacjach międzyludzkich: „Według tej samej logiki wybieramy osoby, z którymi postanawiamy żyć w świecie. Zatem ludzie lub sytuacje, które zraniły naszą wrażliwość lub były nieprzyjemne, są po prostu eliminowane” (47). Potrzebny jest rozwój zdolności trwania w ciszy, uważnego słuchania i przyjmowania bez osądzania. Można powiedzieć, że – nie używając tego słowa – Franciszek zwraca uwagę, iż konieczne jest rozwijanie w sobie postawy znanej współcześnie jako *mindfulness*.

Postawa ta, polegająca na nieosądzającej uważności na to, co dzieje się w nas, na to, kim jesteśmy, ale także na to, co dzieje się wokół nas, również z ludźmi, którzy nas otaczają, jest podstawą procesu integralnego, duchowego wzrostu, do którego zachęca papież. Franciszek rozwija bowiem i broni w najnowszej encyklice antropologii relacyjnej. Z tej perspektywy „zostaliśmy stworzeni do pełni, którą można osiągnąć tylko w miłości” (68), a więc „nikt nie dojrzewa ani nie osiąga swej pełni izolując się” (95).

Głęboki korzeń, szerokie gałęzie

W procesie dochodzenia do pełni istotna jest harmonia (nieniwelująca pewnego

napięcia) pomiędzy zachowaniem własnej tożsamości a otwartością na innego. „Nie ma dialogu z innymi bez tożsamości osobowej” (143), ale także „nie ma otwartości między narodami, jeśli nie wychodzi ona od umiłowania ziemi, narodu i własnych cech kulturowych”. „Doświadczenie życia w danym miejscu i kulturze jest podstawą, która uzdalnia do dostrzegania tych aspektów rzeczywistości, jakich osoby nieposiadające tego doświadczenia nie są w stanie tak łatwo pojąć” (144). Bez głębokiej własnej tożsamości nie ma się wiele do ofiarowania w procesie dialogu, który jest nie tylko poszukiwaniem bliskości i punktów styczności (choć tym też jest – por. 198), ale także wymianą, wzajemnym wzbogacaniem perspektyw (por. 203). „Nie spotykam się z innym, jeśli nie posiadam podłoża, na którym twardo stoję i jestem zakorzeniony, ponieważ to na tym fundamencie mogę przyjąć dar drugiego i ofiarować mu coś autentycznego” (143).

Konieczne są tu jednocześnie poczucie własnej wartości oraz świadomość własnych ograniczeń, fragmentaryczności pojmowania rzeczywistości. Tu właśnie ujawnia się połączenie tożsamości z otwartością. Jak bardzo własna tożsamość nie byłaby ważna, nikt „nie osiąga dogłębnego poznania prawdy o sobie poza spotkaniem z innym” (87). Bez otwarcia na innych nasze horyzonty są ciasne, a „im ciaśniejsze są horyzonty myśli i serca człowieka, tym mniej będzie on zdolny do interpretowania bliższej mu rzeczywistości, w której jest zanurzony”. Zatem „bez relacji i spotkania z tym, kto jest odmienny, trudno jest mieć jasne i pełne poznanie siebie samych i swojej ziemi, jako że inne kultury nie są wrogami, przed którymi trzeba się chronić, ale są różnorodnymi odbiciami niewyczerpanego bogactwa życia ludzkiego. Spoglądając na siebie z perspektywy innej, odmiennej osoby, każdy może lepiej rozpoznać specyfikę własnej osoby i swojej kultury: jej bogactwo, jej możliwości i ograniczenia. Doświadczenie, dokonujące się w jednym miejscu, należy rozwijać »w kontraście« i »w harmonii« względem doświadczeń innych osób, żyjących w odmiennych kontekstach kulturowych” (147).

Dopiero przeżywając w pozytywny sposób spotkanie z osobą bądź wspólnotą posiadającą perspektywę inną niż nasza, można „radośnie zaakceptować” →

→ owe ograniczenia, jako sygnał, że potrzebujemy się nawzajem (por. 150).

Franciszek nie idealizuje przy tym sytuacji egzystencjalnego spotkania zarówno pomiędzy osobami, jak i wspólnotami ludzi. Nie tylko wzywa do niezapominania historii, lecz sam wykazuje się pamięcią skomplikowanych dziejów ludzkości. Bliskie spotkania często miały charakter zderzeń, wiązały się z konfliktami, z doświadczeniem krzywdy. Spotkanie jest często pojednaniem, a „prawdziwe pojednanie nie ucieka od konfliktu, lecz jest osiągnięte w konflikcie, przewyższając go poprzez dialog” (244).

Niezbędnym aspektem procesu budowania międzyludzkiej jedności jest więc – uświadamia nam Franciszek – nieustannie ponawiany akt przebaczenia. I ono nie może dokonać się bez udziału pamięci. „Przebaczenie nie zakłada zapomnienia” (250), pisze papież, „osoby, które prawdziwie przebaczą, nie zapominają, ale też wyrzekają się opanowania przez tę samą niszczycielską siłę, która wyrządziła im krzywdę. Przełamują błędne koło i powstrzymują inwazję sił zniszczenia” (251).

Myśl globalnie, działaj lokalnie

Bardzo ciekawy jest sposób, w jaki papież łączy perspektywę globalną z indywidualną. Z jednej strony podkreśla, że miłość wyraża się nie tylko w relacjach bliskich i intymnych, ale także w „makrorelacjach: stosunków społecznych, ekonomicznych i politycznych” (181). Z drugiej strony, doceniając tożsamość i krytykując wszelkie próby kulturowego kolonializmu, który chciałby zniszczyć różnorodność ludzkich wspólnot w imię „fałszywego otwarcia na to, co uniwersalne” (145), papież przypomina katolicką zasadę pomocniczości. Kładzie ona nacisk na inicjowanie procesów i zmian oddolnych, w których „pracuje się w tym, co małe, miejscowe, w łączności z tym, co blisko, ale z szerszą perspektywą” (145).

Franciszek przypomina o solidarności, domaga się uznania, że własność prywatna musi pełnić pozytywną funkcję społeczną.

Właśnie w ten sposób – zdaniem Franciszka – możliwa będzie bardziej globalna zmiana. Skoro negatywne polityczne mechanizmy, takie jak populistyczny nacjonalizm, wykorzystują sposób funkcjonowania jednostek, to zmiana może nastąpić tylko jeśli ludzie będą zmieniać się na tym – osobowym – poziomie. Ta zmiana może doprowadzić do przemiany społeczności lokalnych – tj. do uczynienia ich bardziej otwartymi oraz szukającymi spotkania i porozumienia z tymi, którzy są „na zewnątrz nich”. W ten sposób zmiana może rozszerzać się na poziom regionalny, narodowy, państwowy – a być może i globalny. Najpierw jednak trzeba leczyć „lokalne narcyzmy”, mniejsze wspólnoty zarażone „duchem zamkniętym”, który „z powodu pewnego braku bezpieczeństwa i lęku przed innymi woli tworzyć mury obronne, by ochronić siebie” (146).

W tym kontekście kluczowe jest, by nie przeczyć, iż „istnieją peryferie znajdujące się blisko nas, w centrum miasta, lub we własnej rodzinie”. Innym jest nie tylko ktoś żyjący geograficznie daleko. Może to być osoba (lub grupa osób) posiadająca bardzo podobną do nas metrykę urodzenia. Konieczna jest więc „codzienna zdolność do poszerzania mojego kręgu, docierania do tych, których na pierwszy rzut oka nie postrzegam jako należących do mojego świata zainteresowań, pomimo że są mi bliscy” (97).

Jeśli Franciszek ma rację, nie jest możliwa żadna szybka reforma negatywnych aspektów naszej cywilizacji, które tak przenikliwie diagnozuje „Fratelli tutti”. Papież zdaje sobie z tego sprawę, dla niego „ważne jest uruchomienie procesów spotkania, procesów, które mogą budować lud zdolny przyjmować różnice” (217). „Rozpoczynanie procesów”, a nie walka o „zajęcie przestrzeni” to zresztą jeden z ulubionych motywów Franciszka.

Brzmienie Boga

Można spytać: gdzie w tym wszystkim jest religia, chrześcijaństwo? Czy „Fratelli tutti” jest tekstem *magisterium Ecclesiae*, czy traktatem filozoficzno-społeczno-psychoterapeutycznym?

Franciszek świadomie kieruje swoją encyklikę – a więc w istocie list – do wszystkich ludzi dobrej woli. Dlatego – realizując swoje dialogiczne postulaty – poszukuje płaszczyzny, na której może się porozumieć nie tylko z chrześcijanami. Z drugiej strony podkreśla, że to, co pisze, wypływa z „muzyki Ewangelii”, którą stara się słyszeć i której chce pozwolić rozbrzmiewać w sobie (por. 277).

Biblijnym centrum encykliki jest przypowieść o miłosiernym Samarytaninie – z jej najważniejszym kontekstem: pytaniem „kto jest moim bliźnim?”, zadany Jezusowi przez faryzeusza. Jak czytamy w Ewangelii, przypowieść jest odpowiedzią Jezusa na to właśnie pytanie. W papieskiej interpretacji Mistrzowi chodzi o przekraczanie rozmaitych granic, poza którymi mieliby znajdować się już nie bliźni. Sposobem zaś na ową transgresję jest odwrócenie pytania: z „kto jest moim bliźnim?” na „czym bliźnim ja się okazuję?” (por. 81).

Papież ma też świadomość, że religie – w tym chrześcijaństwo – nie zawsze odgrywały pozytywną rolę w tworzeniu „kultury spotkania”. Przeciwnie: przynajmniej ze smutkiem, że „Kościół potrzebował tak wiele czasu, by potępić z mocą niewolnictwo i różne formy przemocy”, że nadal są ludzie, którzy „czują się zachęceni lub przynajmniej upoważnieni przez swoją wiarę do wspierania różnych form zamkniętego i agresywnego nacjonalizmu, postaw ksenofobicznych, pogardy, a nawet znęcania się nad tymi, którzy są odmienni” (86). Lecz właśnie „muzyka Ewangelii” pozwala papieżowi wydać jednoznaczny, negatywny osąd takiej formy religijności i wiary.

To właśnie „muzyka Ewangelii” daje też Franciszkowi nadzieję, do której zaprasza wszystkich: „Zdobądźmy się na marzenie, jako jedna ludzka rodzina, wędrowcy w tym samym ludzkim cieple, dzieci tej samej ziemi, która jest naszym wspólnym domem, każda i każdy z nas przynoszący bogactwo swoich własnych wierzeń i przekonań, każda i każdy z własnym głosem, siostry i bracia wszyscy” (8).

©© PIOTR SIKORA



PIOTR SIKORA będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM, w środę 14 października o godz. 15.20.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl



DIVISIONE PRODUZIONE FOTOGRAFICA

W klasztorze w Asyżu papież celebrował Mszę świętą przy grobie św. Franciszka. Tutaj też podpisał swoją encyklikę „Fratelli tutti”. 3 października 2020 r.

Siedem lekcji Franciszka

RAFAŁ WOŚ

Od krytyki fejsbukowego trollowania po zakwestionowanie świętej własności prywatnej. W najnowszej encyklice papież celnie namierza kluczowe wyzwania naszych czasów.

ENCYKLIKA „FRATELLI TUTTI” PORUSZA wiele tematów społecznych. Pozwalam sobie przedstawić autorski przegląd jej kluczowych wątków. Do przemyslenia i pod rozagę. Nie tylko dla osób wierzących.

Lekcja pierwsza:
najpierw dajcie jeść,
potem domagajcie się moralności

Kościół już przed Franciszkiem przestrzegał przed skutkami atomizacji. Ale papież idzie dalej i porusza kwestie ekonomicznej alienacji. Píše: „Na przykład obsesja na punkcie obniżania kosztów pracy. Bez brania pod uwagę poważnych konsekwencji, jakie to powoduje, gdyż bezrobocie, jako bezpośredni skutek, poszerza granice ubóstwa”.

Papież zestawiający atomizację społeczeństwa z lekceważeniem problemu bezrobocia i obniżaniem kosztów pracy? Tego dawno nie było. Idźmy jednak dalej. „Wzrosło bogactwo. Ale jest pozbawione równości. To prowadzi do powstawania

nowych form ubóstwa. Kiedy mówimy, że współczesny świat ograniczył ubóstwo, czynimy to mierząc je kryteriami z dawnych czasów (...), [kiedy] np. brak dostępu do energii elektrycznej nie był uważany za oznakę ubóstwa”.

Wreszcie głos Kościoła nieodwracający się z niesmakiem od materialnych podstaw człowieczeństwa. I papież mówiący (trochę jak niegdyś komunista Bertolt Brecht): „najpierw żarcie, potem moralność”.

Lekcja druga: od feminizmu
do krytyki modern slavery

Współczesne społeczeństwa oferują cały zestaw wolności osobistych. Mamy więc np. (według ONZ) aż cztery generacje praw człowieka. Cóż z tego, skoro w praktyce jedni mogą z tych praw korzystać, a inni nie? Franciszek to widzi: „Czy naprawdę równa godność wszystkich istot ludzkich, uroczyscie proklamowana 70 lat temu, jest uznawana (...) w każdych okolicznościach? Utrzymują się dziś na

świecie liczne formy niesprawiedliwości, umacniane przez zawężające wizje antropologiczne oraz przez model gospodarczy oparty na zysku, który nie waha się wykorzystywać, odrzucać, a nawet zabijać człowieka”.

Prócz nagiej przemocy ekonomicznej Franciszek zwraca uwagę na przemoc płciową. Nawet wewnątrz zachodnich rozwiniętych społeczeństw. „Organizacja społeczeństw na całym świecie jest nadal daleka od wyraźnego ukazania, iż kobiety mają dokładnie taką samą godność i prawa jak mężczyźni. (...) Faktem jest, że podwójnie biedne są kobiety narażone na sytuacje wykluczenia, złego traktowania i przemocy, ponieważ często mają mniejsze możliwości obrony swoich praw”.

Zwraca również uwagę na zjawisko nowoczesnego niewolnictwa: „Szaleństwo nie zna granic, kiedy uprzedmiotawia się kobiety, zmuszane następnie do aborcji. Odrażające jest posuwanie się do porywania ludzi w celu sprzedaży ich organów. Wszystko to sprawia, że handel ludźmi i inne aktualne formy niewolnictwa stają się problemem globalnym, który musi być traktowany poważnie przez całą ludzkość”.

Na koniec zaś Franciszek píše: „Prawo do własności prywatnej może być uznane jedynie za wtórne prawo naturalne i wywodzi się z zasady powszechnego przeznaczenia dóbr stworzonych, co ma bardzo konkretne konsekwencje, które muszą znaleźć odzwierciedlenie w funkcjonowaniu społeczeństwa. Często jednak zdarza się, że prawa wtórne stawiane są ponad prawa priorytetowe i pierwotne, co sprawia, że nie mają one żadnego praktycznego znaczenia”.

Prymat dobra wspólnego nad świętą własnością prywatną? Wygląda na to, że tak właśnie widzi sprawy głowa Kościoła katolickiego.

Lekcja trzecia:
migracja tak, ale...

Franciszka zwykło się uważać za gorliwego obrońcę godności migrantów. Automatycznie pojawił się jednak zarzut naiwności. Stawiali go ci, którzy podkreślają, że migracja to nie odruch serca, lecz skomplikowany proces społeczny i ekonomiczny, niosący również szereg zagrożeń. We „Fratelli tutti” papież podejmuje wysiłek ważenia racji. Píše, że wśród migrantów obserwujemy ludzi „uciekających przed wojną, prześladowaniami

→ i klęskami żywiołowymi (...). Marzą o lepszej przyszłości i chcą stworzyć warunki, aby do tego dążyć". Z drugiej strony wśród nich są także ludzie: „pociągnięci kulturą zachodnią, mając niekiedy nierealistyczne oczekiwania (...). Handlarze ludźmi (...) wykorzystują słabość migrantów, którzy na swej drodze nazbyt często napotykać przemoc, handel ludźmi, wyzysk (...) i niemożliwe do opisanego cierpienie". Emigrujący „doświadczają (...) wykorzystania kulturowego i religijnego. Zerwanie kontaktu dotyczy również wspólnot, z których pochodzą, a które tracą członków najbardziej energicznych i przedsiębiorczych, oraz rodzin”.

„Człowiek i naród – czytamy – owocują tylko wtedy, gdy potrafią twórczo otworzyć się na innych. Zachęcam do wyjścia poza te reakcje pierwotne, ponieważ problem jest wówczas, gdy determinują one nasz sposób myślenia i działania tak bardzo, że stajemy się nietolerancyjni (...). W ten sposób lęk pozbawia nas pragnienia i zdolności do spotkania się z bliźnim”. Ale z drugiej strony „przed prawem do emigracji trzeba realizować prawo do nieemigrowania, (...) pozostania na własnej ziemi”.

Wydaje się, że Franciszek daje w tej części swojej encykliki moralny oddech potrzebny do wypracowania pragmatycznej polityki migracyjnej. Godzącej idealistyczną postawę „w razie potrzeby przyjmijmy” z pragmatycznym „lepiej pomagać na miejscu”.

Lekcja czwarta: fejsbukowe trollowanie

Ta nauka jest krótka i dosadna. „Ludzie bronią swej konsumpcyjnej i wygodnej izolacji (...). Sprzyja to wzniecaniu nietypowych form agresji, obelg, znęcania się, dyskwalifikacji, słownego biczowania, aż po zniszczenie drugiej osoby z wściekłością, która nie mogłaby zaistnieć w realnym kontakcie (...). Agresywność społeczna znajduje w urządzeniach mobilnych i komputerach możliwość nieznanej ekspansji”.

Kto z Szanownych Czytelników jest bez grzechu, niech pierwszy podniesie kamień. Ja nie podniosę.

Lekcja piąta: krytyka bezrefleksyjnego naśladownictwa

Franciszek pisze: „niektóre kraje, mocne z punktu widzenia ekonomii, przedsta-

wiane są jako modele kulturowe dla krajów słabo rozwiniętych (...). Ta powierzchowna i smutna tęsknota, prowadząca do kopiowania i kupowania zamiast tworzenia, powoduje bardzo niską samoocenę narodową. W warstwach zamożnych wielu krajów ubogich (...) można dostrzec niezdolność do zaakceptowania własnych cech i procesów, i popadanie w pogardę dla własnej tożsamości kulturowej”.

I dalej: „Niszczenie poczucia własnej wartości jest łatwym sposobem, by nad kimś zapanować. Z tendencji do homogenizacji świata wyłaniają się interesy władz, czerpiących korzyści z czyjejś niskiej samooceny. (...) Korzystają na tym spekulacje finansowe i wykorzystywanie, w których zawsze przegrywają ubodzy. Z drugiej strony, lekceważenie kultury danego narodu sprawia, że wielu przywódców politycznych nie jest w stanie zrealizować skutecznego projektu, który można by swobodnie przyjąć i utrzymać”.

Zaskakująco mocna krytyka pod adresem kosmopolitycznych elit wielu krajów na dorobku. Elit, które boją się (wstydzą) własnego narodu i chciałyby go przeobrazić na modłę obcą lokalnej kulturze. Każdy przeczyta, jak chce. Ja czytam również jako coś aktualnego także w polskim kontekście.

Lekcja szósta: wolny rynek nie jest dobry

Spór o to, czy Kościół powinien być raczej po stronie wolności gospodarczej, czy jednak regulowania rynku, jest długi i żarty. Franciszek wypowiada się jednoznacznie: „Jeśli społeczeństwo kieruje się przede wszystkim kryteriami wolnego rynku i skuteczności, (...) braterstwo będzie tylko kolejnym romantycznym wyrażeniem”.

Dzieje się tak dlatego, że ludzie nie są jednakowi. „Niektórzy rodzą się w rodzinach o dobrych warunkach ekonomicznych, otrzymują dobre wykształcenie (...), nie będą potrzebować aktywnego państwa i będą domagać się jedynie wolności. Ale oczywiście ta sama zasada nie dotyczy osoby niepełnosprawnej, kogoś, kto urodził się w domu ubogim, kogoś, kto doświadczył kształtując się na niskim poziomie”.

Dlatego: „Samo ogłoszenie wolności gospodarczej, kiedy jednak warunki realne uniemożliwiają, aby wielu miało do niej dostęp, i kiedy ograniczony jest dostęp do pracy, staje się dyskursem pełnym

sprzeczności. Słowa takie, jak wolność, demokracja i braterstwo pozbawione zostają sensu”.

Podsumowując: „Tak długo, jak nasz system ekonomiczno-społeczny będzie powodował ofiary, (...) nie będziemy mogli świętować powszechnego braterstwa. Społeczeństwo ludzkie i braterskie jest w stanie zatroszczyć się o to, by w sposób skuteczny i stabilny zapewnić każdemu człowiekowi wsparcie w jego życiu, nie tylko po to, by zaspokoić jego podstawowe potrzeby, ale także po to, by mógł dać z siebie to, co najlepsze, nawet jeśli jego wydajność nie jest najwyższa”.

Lekcja siódma: poeci społeczni kontra neoliberalizm

Papież sporo miejsca poświęca wypracowaniu własnej drogi politycznej. Chce ją zmieścić pomiędzy bezdusznym elitarnym liberalizmem a narwanym ludowym populizmem. W szczegółach chyba jednak bliżej mu do tego drugiego żywiołu. Píše bowiem: „w pewnych zamkniętych i jednobarwnych wizjach ekonomicznych nie znajdują miejsca ruchy ludowe, które skupiają bezrobotnych, pracowników niepewnych zatrudnienia i pracujących nieformalnie (...). W rzeczywistości tworzą oni różne formy gospodarki ludowej i produkcji wspólnotowej”.

Franciszek powiada, że trzeba, aby „te doświadczenia solidarności, które rodzą się oddolnie, w najniższych warstwach planety, łączyły się ze sobą, były lepiej skoordynowane, spotykały się. Nie powinny one wyrzekać się swojego charakterystycznego stylu, ponieważ są siewcami zmian (...). W tym sensie ruchy te są »poetami społecznymi«, którzy na swój sposób pracują, proponują, promują i wyzwalają. Dzięki nim możliwy będzie integralny rozwój człowieka, wymagający przezwyciężenia polityki społecznej jako polityki dla ubogich, ale nigdy z biednymi (...). Chociaż irytują, (...) musimy mieć odwagę uznać, że bez nich demokracja zanika, zamienia się w slogan, formalność, (...) ponieważ pozostawia lud w jego codziennej walce o godność, w budowaniu swego losu”. ©© RAFAŁ WOŚ

Rozszerzoną wersję tego tekstu publikujemy na stronie
<https://www.tygodnikpowszechny.pl/siedem-lekcji-franciszka-165190>

Opowiadać w Polsce o judaizmie

ZUZANNA RADZIK

**W naszym kraju pojawienie się rabinki
to jak przeskoczenie epoki.**

**Po wojnie nastąpiło pokoleniowe
zerwanie i niewielu mamy rabinów.**

SUBTELNOŚĆ POŁĄCZONA Z OSTROŚCIĄ UMYSŁU I SKROMNOŚCIĄ. Małgorzata Kordowicz, pierwsza Polka ordynowana na rabinkę, nie lubi się obnosić z tym, kim jest. Mogłaby łatwo trafić na okładki, ale odmawia wywiadów. Gdy jednak trzeba opowiadać o judaizmie, zagłębić się w tajniki języka hebrajskiego i pisanych w nim religijnych tekstów, jest oczywistym adresem. Trudno wyliczyć panele, wykłady, spotkania, w których brała udział. Komentuje Torę i tłumaczy judaizm w muzeach, podczas festiwali, dni judaizmu.

Kompetentna jak mało kto. Przez 15 lat była członkinią redakcji różnych żydowskich czasopism publikowanych w Polsce, pracowała w gminie żydowskiej jako specjalistka od kultury żydowskiej. Absolwentka hebraistyki, wykładała hebrajski na UW i UMCS w Lublinie oraz w Liceum im. Jacka Kuronia w Warszawie, a obecnie w warszawskim Liceum im. Zuzanny Ginczanki. Wykłada też w Szkole Teologii Żydowskiej Uniwersytetu Poczdamskiego, gdzie uczy przyszłych rabinów i kantorów. Specjalizuje się w etyce medycznej w tradycji żydowskiej. Wydała też dwie książki: polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci (pierwszy żydowski modlitewnik, który ukazał się drukiem w Polsce od czasu II wojny światowej) oraz, jako współautorka, „Sfatenu / Nasz język” – wzbogacony o część współczesną reprint elementarza do nauki hebrajskiego z początku ubiegłego wieku. Mniej osób wie, że od lat tańczy tańce izraelskie w grupie Snunit.

W 2016 r. ukończyła studia w Żydowskim Seminarium Teologicznym (JTS) w Nowym Jorku i – jako pierwsza Polka – została rabinką. Pracuje w Gminie Żydowskiej w Warszawie, posługując zwłaszcza w prowadzonej przez gminę Synagodze Ec Chaim – Centrum Społeczności Postępowej.

Kogoś może zdziwić, że kobieta rabinka może być zatrudniona przez ortodoksyjną warszawską gminę. Już kilka lat temu gmina ta zdecydowała w związku z potrzebami członków o powołaniu synagogi postępowej. Większość polskich żydów ortodoksyjna nie jest, stąd łatwiej im się odnaleźć w bardziej postępowej formule i również bardziej egalitarnym płciowo otoczeniu i formie modlitwy. Małgorzata Kordowicz ukończyła jednak nie reformowaną szkołę ra-



GRAŻYNA MAKARA

Małgorzata Kordowicz, rabinka, Gmina Wyznaniowa Żydowska w Warszawie, październik 2020 r.

biniczną, lecz nowojorskie Żydowskie Seminarium Teologiczne, zatem jej ordynacja jest w nurcie konserwatywnego judaizmu. Synagogi konserwatywne w 1984 r. dopuściły kobiety do seminariów rabinicznych, a w efekcie również do pełnienia funkcji rabinek. Ale świat ortodoksyjnego judaizmu wciąż jeszcze podchodzi do kobiet w tej roli z oporem. Na polskim gruncie pojawienie się rabinki to jak przeskoczenie epoki, bo niewielu mamy pochodzących z Polski rabinów – po wojnie nastąpiło pokoleniowe zerwanie.

– Znam Małgosię prawie od trzydziestu lat – mówi Michael Schudrich, naczelny rabin Polski. – Było dla mnie wielką inspiracją widzieć, jak dojrzywała intelektualnie, duchowo i żydowsko, od zaangażowanej nastolatki po oddaną pracę dla społeczności duchowną.

Karina Sokołowska, szefowa polskiego oddziału American Jewish Joint Distribution Committee, nie kryje radości: – To wielka duma, kiedy koleżanka z żydowskich kolonii zostaje felietonistką opiniotwórczego pisma. Rabinka Kordowicz przełamuje wiele stereotypów i ma ogromne pokłady wiedzy.

W podobnym duchu mówi Stanisław Krajewski, aktywny w dialogu chrześcijańsko-żydowskim: – Jest niesłychanie skromną osobą o wielkiej wiedzy i byłoby dobrze, by ta wiedza przewyciężyła skromność.

– To super, w końcu kobieta pisząca o Biblii! – cieszy się na wieść o jej felietonach w „Tygodniku” [zob. s. 22] siostra Anna Bodzińska ze zgromadzenia sióstr Matki Bożej z Syjonu. – Znamy się z Małgosią długo, współpracujemy, nawet prowadziłyśmy razem dwa lata temu rekolekcje o miłości Boga w judaizmie i chrześcijaństwie. To osoba bardzo otwarta na dialog międzyreligijny i pragnąca przybliżyć chrześcijanom zainteresowanym swoimi korzeniami wiedzę o judaizmie. ©

COVIDOWA JESIEŃ EUROPY

Coraz więcej chorych, coraz bardziej nerwowi politycy,
coraz większe zmęczenie obywateli:
nasi autorzy opisują sytuację i nastroje w różnych krajach.

PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY, SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA,
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA, BARBARA RADZIKOWSKA-KRYŚCZAK Z WIEDNIA,
MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA, PATRYCJA BUKALSKA

ZMETRA W MADRYCIE W KOŃCU ZNIKNEŁI LUDZIE: od piątku 2 października mieszkańców hiszpańskiej stolicy obowiązują nowe ograniczenia dotyczące przemieszczania się.

Z tego rozwiązania zadowolony jest Danny, opiekun medyczny. Uważa, że ostatnio sam dojazd do pracy wiązał się z niepotrzebnym ryzykiem. – O piętnastej w moim szpitalu jest zmiana dyżurów. Dotąd jeździłem ramie w ramie z setką ludzi w wagonie metra. Nikt nie zachowywał bezpiecznej odległości, to była katastrofa – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem”.

HISZPANIA: jesteśmy już zmęczeni

Hiszpania przoduje dziś w Europie pod względem liczby zachorowań. Według danych ministerstwa zdrowia z 7 października, zarażone były 273 osoby na 100 tys. mieszkańców (dla porównania, w Polsce wskaźnik ten wynosił w tym momencie ok. 47). Madryt to pierwsza europejska stolica, która zmuszona została wrócić do lockdownu – po bezskutecznych próbach współpracy i narastającym konflikcie między rządem centralnym Hiszpanii a władzami regionu.

– Ta pani... przepraszam, ale ona jest szalona. Mam wrażenie, że nie wie, co robi, nikogo nie słucha – tak Danny ocenia pracę Isabel Díaz Ayuso, szefowej rządu wspólnoty autonomicznej Madrytu, której wypowiedzi i decyzje wzbudzają coraz większe kontrowersje. Niedawno stwierdziła, że rosnąca liczba zakażeń jest związana m.in. ze „stylem życia zamieszkujących Madryt imigrantów”. Wielokrotnie krytykowana za niedopatrzenia w walce z epidemią, polityczka Partii Ludowej do końca sprzeciwiała się wprowadzeniu



lockdownu. W wywiadzie dla dziennika „ABC” zasugerowała, że interwencja lewicowego rządu centralnego ma na celu zaszczepienie w mieszkańców strachu.

Decyzją rządu centralnego lockdown wprowadzany jest dziś tam, gdzie przekroczone trzy progi: w ciągu ostatnich 14 dni przybyło ponad 500 nowych zakażeń na 100 tys. mieszkańców, zarejestrowano ponad 10 proc. pozytywnych wyników testów, a oddziały intensywnej terapii są zapełnione w ponad 35 proc. (prócz Madrytu i okolicy, to choćby miasta Palencia i León).

Przepychanki i wzajemne zarzucanie sobie przez polityków, że w głowie im tylko partyjne interesy, a nie dobro kraju, to zresztą powtarzający się refren hiszpańskiej pandemii. „Jak czuliby się pasażerowie samolotu, gdyby w środku potężnej burzy zobaczyli kapitana i drugiego

pilota okładających się nawzajem pięściami? A coś takiego muszą czuć obywatele Hiszpanii” – komentuje na łamach „El País” dziennikarz Iñaki Gabilondo.

Tymczasem gdy słupki z dziennymi zakażeniami szybują, wskaźniki gospodarcze spadają: przewidywany na ten rok spadek PKB to 11,2 proc. Perspektywa kolejnych obostrzeń i zakazów przemieszczania się niepokoi m.in. właścicieli restauracji i hoteli, którzy teraz muszą liczyć głównie na miejscowych – liczba zagranicznych turystów spadła w tym roku o 76 proc.

Przez to wszystko przebiega się nerwowe pytanie: dlaczego znów jest tak źle? Wśród możliwych powodów wymieniane są zbyt szybkie i pochopne rozluźnienie obostrzeń, brak wystarczającej liczby *rastreadores* (pracowników służb sanitarnych, którzy śledzą drogi możli-

wego zakażenia i informują potencjalnych chorych) czy nieprzestrzeganie zasad dystansu społecznego. Jednak pod tym względem trudno uważać Hiszpanię za szczególny przypadek. Jednoznacznej odpowiedzi na to – kluczowe dziś – pytanie nie jest też w stanie podać Światowa Organizacja Zdrowia. Ostrzega natomiast, że sytuacja w Hiszpanii jest wyznacznikiem tego, co wkrótce może wydarzyć się w innych krajach.

– Ta fala jest zupełnie inna, teraz wszystko jest stopniowe, a my lepiej przygotowani – uważa Danny. – Ale jesteśmy też dużo bardziej zmęczeni. A to, jak się nas traktuje, nie pomaga.

W rozmowie z „Tygodnikiem” w kwietniu Danny był przytłoczony, lecz zmotywowany. Dziś mówi – i czuć to w jego głosie – że powoli przestaje widzieć dla siebie miejsce w służbie zdrowia. Jak wielu pracowników personelu medycznego, którzy jeszcze przed pandemią znaleźli lepsze warunki pracy za granicą. Dziś Hiszpania musi liczyć na tych, którzy zostali – nie- rzadko wyczerpanych już psychicznie.

FRANCJA:

sztuka życia mimo epidemii

„Kiedy restauracje kaszłą, cała Francja choruje” – słowa Philippe’a Etchebesta, znanego z kulinarnych *show* restauratora z Bordeaux, cytowane przez dziennik „Le Figaro”, dobrze obrazują finansowo-emocjonalną rolę gastronomii w życiu Francuzów. A to właśnie bary i restauracje płacą dziś wysoką cenę za epidemię.

Potężna nad Sekwaną branża restauracji i hotelarstwa zatrudniała na początku roku armię około miliona pracowników. Od początku kryzysu do września restauracje i bary – zamknięte od marca do czerwca w całym kraju – straciły dziesiątki tysięcy miejsc pracy i co najmniej jedną trzecią klientów. Teraz rząd premiera Jeana Casteksa ogłosił, że wobec rosnącej liczby zakażeń znów zamknie obiekty gastronomii w regionach najmocniej dotkniętych.

Najpierw, już w ostatnim tygodniu września, nakazano całkowite zamknięcie restauracji i barów w Marsylii. Ale w obliczu gwałtownych protestów restauratorów, po tygodniu władze centralne poszły na kompromis. Ostatecznie restauracje ↗

Na szkolnym placu zabaw w miasteczku Mairena del Aljarafe koło Sewilli. Hiszpania, 10 września 2020 r.



CRISTINA QUICLER / AFP / EAST NEWS

Francuski szef kuchni Philippe Etchebest protestuje w swej restauracji, z czarną opaską na ramieniu, przeciw wprowadzeniu nowych restrykcji. Bordeaux, 30 września 2020 r.

→ mogą znów gościć klientów, przy zachowaniu pewnych reguł (jak ograniczenie do sześciu liczby gości przy jednym stole). Nie dotyczy to jednak barów ani kawiarni w Paryżu i Marsylii, które mają pozostać zamknięte.

Tymczasem gastronomia to wierzchołek góry lodowej. Od marca, po wprowadzeniu lockdownu, francuska gospodarka wpadła w głęboką recesję: od kwietnia do czerwca PKB spadł o 13,8 proc. względem pierwszego kwartału tego roku. To najbardziej raptowna zapaść gospodarki od 1949 r. – podał instytut statystyczny INSEE. Ucierpiało wiele branż, a najbardziej dwie: turystyka i przemysł lotniczy.

Dziś, wraz z nawrotem epidemii, gromadzą się jeszcze czarniejsze chmury. Podobnie jak inne kraje, Francja próbuje ratować jednocześnie i zdrowie obywateli, i gospodarkę. Jak dotąd – z wielkim trudem. Na COVID-19 zmarło tu dotychczas 32 tys. osób. To podobna wielkość jak w Hiszpanii, ale trzy i pół razy więcej niż w Niemczech.

Od końca września alarmowe wskaźniki – liczba zgonów i liczba osób pod intensywną opieką medyczną – idą ostro w górę. Codziennie przybywa po 16-19 tys. nowych zakażonych (dane z początku października). Ponad dwie trzecie kraju jest w strefach różowej lub czerwonej, a Paryż i Marsylia – w najwyższej, szkarłatnej. Specjaliści ostrzegają, że jeśli tendencja się utrzyma, w ciągu kilku tygodni w szpitalach zabraknie łóżek na oddziałach intensywnej opieki medycznej. Już teraz, jak pisze „Le Figaro”, 500 z nich (na ogółem 5 tys. takich łóżek w kraju) jest bezużyteczne z powodu braku przeszkolonego personelu. Media nad Sekwaną zauważają, że kryzys wyostrzył istniejące od lat mankamenty służby zdrowia.

Wielu zwykłych Francuzów uważa, że rząd nie ma spójnego planu walki z epidemią. Dziwią się, dlaczego już we wrześniu zamknięto sale sportowe, a baseny dopiero dwa tygodnie później? I jaki sens ma zakaz sprzedaży alkoholu w sklepach – ale tylko od godziny dwudziestej – obowiązujący w dużych miastach od końca września?

Trudno uwierzyć, aby epidemia zniszczyła francuską świętość, czyli wspólne

celebrowanie posiłków. Raczej zepchnęła ją w domowe zacisze. A tam, gdy stół pełen biesiadników, wirus rozprzestrzenić się może równie łatwo, co w restauracji.

NIEMCY: po pierwsze dyscyplina

W kraju, gdzie szczególnie ceni się specjalizację i doświadczenie w konkretnym fachu, już na początku pandemii głos oddano wirusologom. Briefingi berlińskiego Instytutu Roberta Kocha, głównej instytucji zajmującej się chorobami zakaźnymi, były oglądane przez miliony obywateli, zamkniętych w domach w początkowej fazie pandemii. Z kolei prof. Christian Drosten, dyrektor Instytutu Wirusologii szpitala Charité w Berlinie, dzięki stałej obecności w mediach stał się gwiazdą – notorycznie jest zaczepiany na ulicy.

Ekspertci, a za nimi słuchający ich politycy konsekwentnie podkreślają, że wirus wciąż może wymknąć się spod kontroli, jeśli ludzie przestaną stosować się do zasad. Na to się jednak nie zanoszą, bo Niemcy to naród słynący z dyscypliny. Ostatnie sondaże wskazują na nieustające poparcie dla noszenia maseczek, a także dla ograniczenia do minimum liczby uczestników imprez prywatnych, które znów zamierzają wprowadzić niektóre kraje związkowe. Dla wspólnego bezpieczeństwa większość obywateli jest w stanie zrezygnować w nadchodzących miesiącach z tak lubianych jarmarków bożonarodzeniowych i imprez karnawałowych.

W chronieniu się przed COVID-19 Niemców dopinguje fakt, że jak w wielu innych dziedzinach, i w tej stali się zachodnioeuropejskim liderem. Nowych infekcji i ofiar śmiertelnych jest tu znacznie mniej niż we Francji, Hiszpanii czy

Wielkiej Brytanii. Od początku pandemii u naszych zachodnich sąsiadów odnotowano ponad 300 tys. infekcji i ponad 9,5 tys. zmarłych. W środę 7 października stwierdzono nieco ponad 4 tys. nowych zakażeń (ostatnio tyle było w kwietniu).

Pandemia ma natomiast wielki wpływ na stan niemieckiej gospodarki, nastawionej na eksport w zglobalizowanym świecie. Zamknięte granice naruszyły łańcuchy dostaw, uziemiona Lufthansa liczy miliardowe straty, a koncerny motoryzacyjne z niepokojem analizują utrzymujące się spadki sprzedaży.

Za to rządowi Angeli Merkel udało się zminimalizować krótkoterminowe skutki epidemii. Nie bez powodu program pomocowy – w innych krajach nazywany „tarczą” – w Niemczech określono mianem „bazooka” [to pojęcie militarne: wyrzutnia pocisków rakietowych – red.]. Berlin uruchomił setki miliardów euro na dofinansowanie koncernów, na pomoc dla małych i średnich przedsiębiorców oraz na program Kurzarbeit (to tzw. postojowe polega na tym, że państwo przejmuje znaczną część kosztów pracownika ponoszonych przez firmę aż do 12 miesięcy, ale pracodawca nie może w tym czasie przeprowadzać zwolnień).

Za ich dotychczasowe działania Niemcy odwdzięczają się rządzącym: Angela Merkel, pełniąc funkcję kanclerza już od 15 lat, cieszy się dziś poparciem aż 72 proc. społeczeństwa.

AUSTRIA: epidemiczne ambiwalencje

Po błyskawicznym marcowym lockdownie, który na dobrych kilka tygodni zamroził życie Austriaków, majowa odwilż sugerowała, że kraj – europejski

MEHDI FEDOUACH / AFP / EAST NEWS





LIST NIESNER / REUTERS / FORUM

W stanowiącym mobilne ambulatorium tramwaju wiedeńscy mogą zaszczepić się bezpłatnie przeciw grypie. 1 października 2020 r.

prymus w walce z epidemią – radzi sobie z nią lepiej niż inni. Wtedy były zwarte szeregi, jasne wytyczne, strach i dyscyplina.

Potem, już od połowy czerwca, nosy i usta stopniowo uwalniały się od niemiłych tekstyliów i wydawało się, że masowa wyprzedaż maseczek otwiera powrót do normalności. Latem znakomita większość Austriaków wybrała wypoczynek we własnym kraju, ale zaczęły się też zagraniczne wyjazdy i powroty – nierzadko z koronawirusem w bagażu. Zwłaszcza jeśli wracało się z urlopu w Chorwacji czy odwiedzin rodzinnych stron w Turcji i na Bałkanach.

A później był chaos na granicach, więcej testów i wzrost rejestrowanych infekcji, które na przełomie września i października przebijały wiosenne rekordy. Codziennie po 600-800, a w październiku już ponad 1000 nowych zakażeń i znów strach, że służba zdrowia nie podoła. Oraz obawa, że zimowy sezon turystyczny nie wypali i nie będzie można zarobić.

Skąd to wszystko i dlaczego? Mnożą się głosy, iż zbyt szybko zniesiono restrykcje i odpowiedzialność społeczna powędrowała do lamusa. W każdym razie, „wylączyć” było łatwiej. Teraz brakuje niezawodnych punktów odniesienia, klarownych komunikatów, a życie społeczne zdominowały marazm i chaos. Pewien pracownik socjalny opowiada, że w urzędach trudno cokolwiek załatwić. Bo żeby osobiście załatwić sprawę, trzeba się umówić telefonicznie, ale żeby się dodzwonić, potrzeba mnóstwa prób, czasu i cierpliwości. Wydziały magistratu, urząd pracy, kasa chorych, nawet banki i firmy prywatne można osiągnąć niemal wyłącznie przez

list wysłany pocztą elektroniczną. A i ten może się po drodze zawieruszyć.

Prawa ręka nie wie, co robi lewa, nawet duże instytucje przez kilka miesięcy nie zdołały opracować procedur funkcjonowania w dobie pandemii. Zdarza się, że w sytuacji kryzysowej trzeba improwizować. Jak wtedy, gdy we wrześniu w jednym z prowadzonych przez dużą organizację charytatywną wiedeńskich domów dla uchodźców pojawia się naraz ponad 20 zakażeń. Nie ma planu, więc pracownicy zostawieni samym sobie muszą sobie po prostu jakoś poradzić.

Wirus, jak to wirus – lubi duże skupiska, więc miewa się najlepiej w metropoliach. Nic dziwnego, że połowa wykrywanych w Austrii zakażeń przypada na stolicę. Tu najlepiej widać problemy i trudności. I tak, pod koniec września na połączenie z infolinią koordynującą skierowania na testy trzeba było czekać godzinami. A potem – w domowym odosobnieniu – do dwóch dni na wymaz i jeszcze kilka dni na wynik.

W efekcie była zmasowana krytyka i głośnie protesty. Ale że trwa kampania przed regionalnymi wyborami nowych władz Wiednia, musiały pojawić się też rozwiązania. Zmotoryzowani i piesi mieszkańcy mogą więc na Donauinsel (sztucznej wyspie na Dunaju) za darmo i bez umówionego terminu poddać się testowi. Mogą też, po raz pierwszy zupełnie gratis, zaszczepić się przeciw grypie – np. w przerobionym na stację szczepień i krążącym po mieście tramwaju. Kurierzy rowerowi dostarczają testy pod drzwi mieszkania i odwożą materiał do badania (samodzielnie pobranie próbki przez osobę podejrzewającą u siebie infekcję jest możliwe, gdyż w użyciu jest tzw.

Gurgeltest, opracowany przy udziale austriackich naukowców: należy przez minutę płucać gardło roztworem z wody i soli, po czym wypłuć go do pojemnika; następnie próbka trafia do laboratorium). Do szkół, gdzie pojawiły się podejrzone przypadki, podjeżdża Cluster-Buster-Bus, autobus z mobilnym laboratorium. Wiedeń potrafi...

Prognozy na jesień i zimą są nieciekawce: bezrobocie nadal wysokie, zagraniczni turyści pewnie tłumnie nie przyjadą, sezon balowy odwołany, depresja w ostrym natarciu. Pozytywów niewiele, ale istnieją: ekipa rządowa wraz z kanclerzem Sebastianem Kurzem po zbiorowym teście okazała się zdrowa. Na sklepowych półkach – oj, nie tak jak w marcu – spokojnie spoczywa papier toaletowy. A w perspektywie – generalna amnestia dla tych, którzy wiosną wbrew zakazom wychodzili z domu. Trybunał Konstytucyjny uznał bowiem niektóre z lockdownowych rozporządzeń rządu za sprzeczne z ustawą zasadniczą, a kary za bezpodstawne. Państwo prawa będzie się musiało zdecydować, co z tym fantem zrobić.

UKRAINA: choroba jako lustro

Codziennie rano ukraińskie ministerstwo zdrowia informuje o pobiciu kolejnego rekordu. W czwartek 8 października komunikat brzmiał, że w ciągu minionej doby odnotowano 5397 nowych zakażeń. Te liczby już na nikim nie robią wrażenia.

Minister finansów zapewnia, że potrzeby służby zdrowia są zaspokojone. Ale sytuacja w szpitalach odbiega od wizji roztaczanej przez władzę. – Oficjalnie leczenie COVID-19 jest za darmo. W praktyce codziennie dostawałam od lekarzy listę potrzebnych rzeczy, które mąż miał kupić w aptece. Były na niej lekarstwa, ale też strzykawki, jednorazowe talezki, nawet stroje ochronne dla personelu, który się mną zajmował. Za darmo szpital dał mi tylko antybiotyk – mówi Oksana z Charkowa, która chorowała w sierpniu. – Taka jest nasza służba zdrowia. Gdy rodziłam dziecko trzy lata temu, musiałam kupować nawet watę. Czemu w czasie pandemii miałoby się coś zmienić? – dodaje.

→



Wyszkolone do wykrywania osób zakażonych koronawirusem psy Kössi i Miina wraz z trenerką Susaną Paavilainen. Lotnisko w Helsinkach, Finlandia, 22 września 2020 r.

→ W ukraińskim internecie duże emocje i powszechną *Schadenfreude* budzą za to informacje o zachorowaniach wśród polityków. Infekcja dotknęła już 70 członków parlamentu, w tym byłego prezydenta Petra Poroszenkę. Współczucie wzbudziła jedynie śmierć pracownicy parlamentarnego sekretariatu. „Biedna! Pewnie umarła, bo leczyła się państwowo” – piszą internauci. Dominuje ubolewanie, że żaden z ludzi władzy nie leczy się w zwykłych szpitalach.

– Szpital publiczny to śmierć, jeśli nie masz pieniędzy. Dasz łapówkę, będziesz żyć. Gdy moja mama trafiła z covidem do szpitala, personel zachowywał się podle. Nie chcieli z nami rozmawiać. Nie wiedzieć czemu, zabrali jej telefon. Oddali dopiero, gdy przekazałem „prezent” głównemu lekarzowi – opowiada Ołeksij z Kijowa.

Przed szpitalem mężczyzna spotykał innych zrozpaczonych krewnych. – Jedna pani też miała mamę na OIOM-ie – wspomina dziś. – Powtarzała, że nie ma innej rodziny i mama jest jej całym światem. Robiła wszystko, byle zabrać ją z publicznego szpitala. Staliśmy razem i paliśmy papierosy, a ona wydzwaniała do wszystkich znajomych, żeby pożyczili jej pieniądze. Było mi wstyd, że nie mam do kogo zadzwonić.

Bywa, że leczenie COVID-19 w prywatnych klinikach to koszt rzędu 12 tys. hrywien (ok. 1800 zł) za dobę. Dla Ołeksija to suma nieosiągalna. Prawie tyle wynosi jego miesięczna wypłata.

Na szczęście jego mama jest już przytomna. Ołeksij: – Chyba z tego wyjdzie. Jak dotąd na kilka tygodni teoretycznie bezpłatnego państwowego leczenia wydaliśmy całe oszczędności. Rozmawiałem już z żoną, że może trzeba będzie sprzedać auto. Pozostaje się modlić, żeby nikt więcej w rodzinie nie zachorował. Oraz żeby

nie było kolejnego lockdownu. Bo wtedy głód zabije nas szybciej niż wirus.

W sierpniu status bezrobotnego otrzymało o 67 proc. osób więcej niż w zeszłym roku. Większość przedsiębiorców mówi wprost, że z trudem przetrwali poprzednią kwarantannę i jeśli znów dojdzie do „zamrożenia” kraju, będą musieli zamknąć firmy.

Ministerstwo zdrowia zapowiada, że jeśli liczba miejsc przygotowanych w szpitalach – obecnie zapełniona w połowie – przekroczy 60 proc., lockdown może zostać wprowadzony w całej Ukrainie. Na razie trwa tzw. kwarantanna adaptacyjna, czyli dostosowywanie restrykcji i wytycznych sanitarnych do sytuacji w danym regionie.

Do czwartku 8 października w kraju potwierdzono łącznie ponad 245 tys. zachorowań. Jak dotąd zmarło 4690 osób.

Na europejskiej Północy

„Winter is coming” (zima nadchodzi) – powiedział Mika Salminen. Kto zna serial „Gra o tron”, ten wie, że nie wróży to nic dobrego. Szef Fińskiego Instytutu Zdrowia i Opieki Społecznej dobrych wieści rzeczywiście nie miał.

Wprawdzie Finlandia, a także sąsiednie kraje bałtyckie – Litwa, Łotwa i Estonia – odnotowują wciąż proporcjonalnie mniej zakażeń niż zachodnia część kontynentu, ale są powody do niepokoju. Na początku października pięciomilionowa Finlandia rejestrowała ok. 140 nowych przypadków dziennie, trzymilionowa Litwa około stu, a półtoramilionowa Estonia i dwumilionowa Łotwa po kilkadziesiąt. Choć więc daleko tu do europejskiej „czołówki”, istotny jest też trend, a ten jest rosnący – np. w sierpniu na Łotwie było tylko po kilka infekcji dziennie.

Przywracane są zatem kontrole graniczne, kwarantanna dla przyjezdnych

i inne restrykcje. Finlandia zamknęła się na turystów z Estonii (i nie tylko); wpuszczani są tylko ci, którzy jadą do pracy lub mają inny istotny powód. Estonia na razie ogranicza się do nałożenia na przybyszy kwarantanny (chyba że przyjeżdżają z kraju o niskiej liczbie przypadków; ostatnio były to tylko Finlandia, Łotwa i Watykan).

Jak wszędzie, ze względu na sytuację epidemiologiczną i zmieniające się restrykcje podróżowanie jest więc i tu wyzwaniem. A że zima nadchodzi, więc w Finlandii martwią się, co będzie z turystami, którzy co roku chętnie odwiedzali Laponię i Rovaniemi, siedzibę świętego Mikołaja. W tej północnej części kraju aż 70 proc. turystów przybywa z zagranicy. Wiele firm w Laponii, organizujących turystyczne atrakcje, boi się, że bez nich nie przetrwa.

Na szali leży też los psów husky, których tysiące pracują tu w turystycznym biznesie. Nie będzie turystów, to nie będzie kogo wozić w zaprzęgach, psy nie będą zarabiać, także na siebie. Firmę można zamknąć, ludzie dostaną zapomogi, ale co z psami? Koszty ich utrzymania są wysokie. Pewien przedsiębiorca, który ma 250 psów, wyliczył, że karma i opieka weterynarza kosztują go 70 tys. euro rocznie. Właściciele firm niechętnie przyznają, że możliwe jest wyjście radykalne: uspienie części psów. Zrobią to w ostateczności, bo – obok kwestii etycznych – husky to psy drogie, a ich szkolenie kosztuje. Jednak już sam fakt, że taka dyskusja się toczy, pokazuje, jak poważny to problem.

Tymczasem na lotnisku w Helsinkach pojawiły się inne psy: szkolone do wykrywania osób chorych na COVID-19. Ich węch okazuje się lepszy niż testy. Potrafią rozpoznać zakażenie na kilka dni przed wystąpieniem symptomów i wystarczy im do tego 10 sekund.

Jeśli powiedzie się pilotażowy program na lotnisku, covidowe psy drużyny mogą trafić też do domów opieki i szpitali. Tyle że na razie pracują w tej roli tylko cztery psy, szkolonych zaś jest kilkanaście. A to za mało.

© © PAULINA MAŚLONA,
SZYMON ŁUCYK, ŁUKASZ GRAJEWSKI,
BARBARA RADZIKOWSKA-KRYŚCZAK,
MONIKA ANDRUSZEWSKA,
PATRYCJA BUKALSKA

Tekst ukończono w czwartek 8 października



INSTAGRAM @NAVALNY / AFP / EAST NEWS

Aleksiej Nawalny w berlińskim szpitalu Charité, 19 września 2020 r.

Tajemnica pokoju 239

ANNA ŁABUSZEWSKA

Wiedzieć, że Angela Merkel odwiedziła Aleksieja Nawalnego w szpitalu, wywołała w Rosji większy popłoch niż inne aspekty tej sprawy. Bo to sygnał: człowiek, którego Kreml chciał otruć, jest traktowany na Zachodzie jako partner do rozmowy.

NA POGRĄŻAJĄCEJ SIĘ W CIEMNOŚCIACH rosyjskiej scenie politycznej od dwóch miesięcy rozgrywa się thriller pt. „Otrucie Nawalnego”. Kreml myli ślady, zaprzecza ustaleniom zachodnich laboratoriów, że rosyjskiego opozycjonistę usiłowano zabić nowiczykiem, szkaluje ofiarę, mnoży coraz bardziej fantastyczne wersje wydarzeń.

Stawka jest wysoka. Kolejna epopeja z otruciem przeciwnika politycznego zachwiała resztką zaufania zachodnich rządów do Putina – i może zaważyć na

dalszej izolacji Rosji na arenie światowej. Poza tym miesza szyski putinowcom w polityce wewnętrznej: Nawalny rozsądza system.

Wyrwany z objęć śmierci

Był czwartek 20 sierpnia, gdy najbardziej skuteczny i najaktywniejszy rosyjski opozycjonista Aleksiej Nawalny opuścił hotel Xander w Tomsku na Syberii i udał się na lotnisko, skąd miał odlecieć do Moskwy. Na miejscu pozostało kilka osób z ekipy realizującej wraz z nim film o nad-

użyciach polityków z miejscowej jaczajki rządzącej partii Jedna Rosja; mieli dokończyć montaż.

Nawalny wypił w lotniskowej kafejce herbatę i wszedł do samolotu. Po starcie poczuł, że coś się z nim dzieje. W wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel” opisał to potem tak: „Miałem wrażenie, że wszystko po kolei się we mnie wyłącza. Nawet nie czułem bólu, tylko pomyślałem, że umarłem”. Nikt wkoło nie wiedział, dlaczego pasażer krzyczy i traci przytomność. Piloci podjęli decyzję o awaryjnym lądowaniu w Omsku. Nieprzytomny Nawalny został przewieziony do miejscowego szpitala, lekarze podali mu atropinę. Zapewne w pierwszych chwilach nie wiedzieli, z kim mają do czynienia, ani co było powodem zapaści. Podejrzewali zatrucie. Działali intuicyjnie: atropina miała zahamować destrukcyjne działanie trucizny. Zapewne uratowali mu życie.

W działania szpitala szybko włączyły się władze, w zakamuflowany sposób. Na oddział, gdzie leżał Nawalny, przybyli smutni panowie w ciemnych okularach →

→ i wzięli zarządzanie diagnostyką i terapią w swoje ręce. Otwarto też front wojny informacyjnej.

Rodzina i współpracownicy Nawalnego domagali się przewiezienia go do kliniki Charité w Berlinie. Podstawiony w trybie pilnym samolot sanitarny jednak długo czekał na pacjenta. Kreml mataczył i zwlekał z wydaniem zgody na wywiezienie go za granicę. Lekarze w Omsku, którzy już przygotowywali dokumenty i nie widzieli przeciwwskazań, nagle zaniechali czynności i orzekli, że stan Nawalnego nie daje przesłanek do transportu. Następnie dyrektor szpitala wydał komunikat, że powodem stanu pacjenta były zaburzenia metabolizmu i nagły spadek poziomu cukru we krwi.

Butelka na wagę dowodu

Gdy wieść o ciężkim stanie Nawalnego rozeszła się po świecie, wielu komentatorów od razu postawiło tezę: otruty. Ludzie kremlowscy (dziennikarze, urzędnicy, politycy na usługach) wrzucali inne wersje: że poprzedniego dnia Nawalny zabalował, popił, nafaszerował się lekami albo narkotykami, organizm się zbuntował, sam jest sobie winien.

Zaniepokojenie stanem zdrowia i ciągnącymi się targami o możliwość wywiezienia Nawalnego do Niemiec wyrazili kanclerz Angela Merkel i prezydent Francji Emmanuel Macron (do jego rozmowy z Putinem jeszcze wrócimy). Być może te interwencje zdecydowały, że Kreml po długim namyśle podjął decyzję o wypuszczeniu Nawalnego. A być może Putina zapewniono, że po dwóch dniach śladów trucizny w organizmie Nawalnego już nie ma, nie ma więc też ryzyka, że substancja, którą został otruty, zostanie za granicą zidentyfikowana.

Tymczasem współpracownicy z Fundacji Walki z Korupcją, którzy fatalnego dnia zostali w hotelu Xander i spokojnie jedli śniadanie, zostali zaalarmowani wiadomością o stanie Nawalnego. Postanowili obejrzeć pokój nr 239, w którym Aleksiej spędził dwie doby. W obecności obsługi hotelowej zabrali z niego przedmioty, których mógł dotyczyć, w tym dwie plastikowe butelki po wodzie mineralnej „Święte Źródło”. Butelki przekazano do Omska w ręce ludzi Nawalnego, a stąd trafiły do Berlina i dalej – do laboratorium Bundeswehry, a potem też do dwóch kolejnych placówek badawczych we Francji i Szwecji.



„Kreml jest toksyczny”: po otruciu Nawalnego jeszcze tego samego dnia na wiecu poparcia dla opozycjonisty w Sankt Petersburgu zebrało się około stu osób. 20 sierpnia 2020 r.

Na jednej z butelek znaleziono ślady nowiczoka. Gdyby nie butelka z pokoju 239, na podstawie samych biologicznych próbek pobranych od „berlińskiego pacjenta” być może nie dałoby się z całą pewnością stwierdzić, czym został on potraktowany.

Określenie „berliński pacjent” jest chętnie używane przez rosyjskie media. Kremlowską obsługę medialną obowiązuje bowiem zakaz wymawiania na antenie nazwiska Nawalny. Zdaniem znawców zakulisowych zwyczajów Kremla – Putin jest ezoterykiem, wierzy w zaklęcia i paranormalne moce. Sam unika i swojej „kremladzi” każe unikać wypowiedziania nazwiska wroga, aby nie kusić licha.

Miesiąc po incydencie naczelny kapłan kremlowskiej propagandy Dmitrij Kisielow udał się do Tomska i ostentacyjnie zamieszkał w pokoju 239 w Xanderze. A w każdym razie tak twierdził w raporcie dla swego sztandarowego programu „Wiesti Niedieli” (Wiadomości Tygodnia). Gółąc się w łazience, zapewniał, że nie boi się żadnych toksyn, bo ich tu nie ma i nie było.

Nihil novi(czek)

Jednak obecność toksyny stwierdzono. Wspomniane trzy laboratoria nie pozostawiły wątpliwości: to, czym otruto Nawalnego, jest udoskonaloną wersją substancji z grupy nowiczok. Udoskonaloną

w stosunku do tej, jakiej w 2018 r. użyto wobec byłego oficera wywiadu wojskowego GRU Siergieja Skripala i jego córki Julii, żyjących w Wielkiej Brytanii (oboje przeżyli, ale zmarła Brytyjka, która w śmieciach znalazła wyrzucony przez sprawców flakonik udający perfumy i użyła zawartość). Modyfikacja może oznaczać, że Rosja – wbrew zobowiązaniom – nadal prowadzi badania nad objętymi zakazem substancjami paralityczno-drgawkowymi, zaliczanymi do broni chemicznej.

Ciekawy rozdzwitek powstał tu w wypowiedziach przedstawicieli ważnych instytucji. Najpierw szef wywiadu zagranicznego SWR zapewniał, że Rosja zniszczyła wszystkie zapasy nowiczoka zgodnie z konwencją o zakazie broni chemicznej. Zaraz potem rzeczniczka MSZ – znana z prymitywnej konfabulacji – oznajmiła, że Rosja nigdy nie produkuje nowiczoka, więc oskarżenia Zachodu są gołosłowne.

Wypowiedzi obojga pomniejszych harcówników zbłądły jednak wobec tego, co mówił w sprawie otrucia oponenta sam Putin. Francuski dziennik „Le Monde” cytował fragment rozmowy telefonicznej na linii Kreml-Pałac Elizejski (tej, o której mowa była powyżej). Oto zadzwonił Macron i spytał wprost o Nawalnego. Władimir Władimirowicz wyrzął przypuszczenie, że Nawalny sam się otruił nowi-

czokiem. Bo nowiczok ma mniej skomplikowaną formułę niż wcześniej przypuszczano, w domyśle: można go wyprodukować bez mała domowym sposobem.

Poza tym – miał ciągnąć Putin – nie ma się co roztkliwiać nad Nawalnym, bo to człowiek niepoważny, internetowy bałamut, do tego symulant (w ubiegłym roku Nawalny został już najprawdopodobniej otruty podczas pobytu w areszcie, wtedy tajemniczą opuchliznę zdiagnozowano jako alergię), a jego Fundacja Walki z Korupcją to narzędzie do szantażowania polityków.

Tyle przeciek w „Le Monde”. Szok? Szok. Mimo wszystko szok. Chociaż przecież nie od dziś znamy geniusz zła Władimira Władimirowicza, może szokować jego firmowy styl wykręcania kota ogonem, zaprzeczania rzeczywistości tam, gdzie wygląda ona niekorzystnie dla Kremla. Linia Moskwy jest czytelna: wrzucać do przestrzeni medialnej dziesiątki wersji wziętych z sufitu, gmatwać, wypierać się, oczerniać źródła mówiące inaczej niż Kreml, zaprzeczać oczywistości. A za kulisami pętać inicjatywy mające na celu wyjaśnienie sprawy oraz – w konsekwencji – wprowadzenie sankcji za popełnione czyny zabronione.

Tak było wcześniej w przypadku otrucia Skripalów, tak było po zestrzeleniu samolotu pasażerskiego MH17 nad Donbasem w 2014 r.

Zrób sobie broń chemiczną

Słowa Putina o „samootruceniu” z wisielczym humorem skomentował sam Nawalny (gdy po 18 dniach został wybudzony ze śpiączki): „W kuchni wypichciłem porcję nowiczoka. A w samolocie po cichu sobie gołnałem. Wpadłem w śpiączkę. (...) Celem mojego chytrego planu było umrzeć w omskim szpitalu i wylądować w omskiej kostnicy. Ale Putin mnie ograł. W rezultacie jak ten idiota przeleżałem w śpiączce szmat czasu, a celu nie osiągnąłem. Moja prowokacja się nie udała!”.

Wezwanie Macrona, a także Merkel do wyjaśnienia okoliczności otrucia opozycjonisty nowiczokiem odbiły się od murów Kremla jak groch. Do tej pory rosyjska prokuratura nie wszczęła śledztwa. Według rzecznika Kremla, kiedy Nawalny przebywał na terytorium Rosji, w jego organizmie nie stwierdzono śladów toksyn, więc nie ma podstaw do śledztwa.

Zdaniem znawców
kremlowskich kulis
Putin jest ezoterykiem,
wierzy w zaklęcia.
Dlatego unika i swoim
ludziom każe unikać
wypowiadania
**nazwiska Nawalnego,
aby nie kusić licha.**

Żywiolową reakcję władz Rosji wywołały natomiast słowa Nawalnego z wywiadu dla „Der Spiegel”: „Za moim otruciem stoi Putin. Innych wersji nie mam (...) Rozkaz o użyciu nowiczoka mogą wydać wyłącznie szefowie FSB lub Służby Wywiadu Zagranicznego (...) i może jeszcze wywiadu wojskowego GRU. Ale żaden z szefów służb nie wyda takiego polecenia bez zgody Putina”. Dobitniej powtórzył tę myśl w rozmowie z niezależnym rosyjskim dziennikarzem-bloggerem Jurijem Dudiem: „Putinowi bardzo się podoba, że osobiście dowodzi armią asasinów, którzy sięją grozę”.

Po wywiadzie w Moskwie rozpoczął się festiwal, kto dosadniej dokopie Nawalnemu. Rzecznik Kremla oskarżył go o obrazę prezydenta. Sformułował także tezę, kolportowaną przez kremlowskie media, że Nawalny współpracuje z agentami CIA, którzy go instruuja. Rzecznik zapowiedział też, że po tym wywiadzie władze Rosji nie będą dyskutować o Nawalnym ani komentować jego wypowiedzi.

Najciekawszą chyba reakcją odznaczył się szef rosyjskiego sztabu ds. zwalczania koronawirusa, doktor Aleksandr Miasnikow: „Posłuchaj, gdybyśmy chcieli, to zdechłbyś już pierwszego dnia”. Mocno.

Kucharz Putina miesza w kotle

Po odzyskaniu przytomności Nawalny zadeklarował, że po zakończeniu rehabilitacji wraca do Rosji i działalności politycznej. Rosyjskie agencje prasowe zaraz usłużnie podały, że 27 sierpnia, jeszcze gdy opozycjonista znajdował się w stanie śpiączki, komornicy zajęli jego mieszkanie i konta bankowe. Było to związane z roszczeniem Jewgienija Prigożyna, który wykupił długi Funda-

cji i Nawalnego od firmy Moskowskij Szkolnik (88 mln rubli, tj. równowartość ok. 4,3 mln zł).

Prigożyn, nazywany kucharzem Putina, jest osobą z bliskiego otoczenia prezydenta do specjalnych poruczeń. Firmuje nieformalne wysyłanie najemników poza granice Rosji (Syria, Ukraina, Republika Środkowoafrykańska, Libia), fabryki trolli i inne nieoficjalne aktywności Kremla. Oficjalnie zarabia na żywieniu armii i uczniów klas początkowych. Jakiś czas temu zapowiedział, że puści Nawalnego w skarpetkach.

Zablokowanie kont opozycjonisty to wyraźny sygnał: nie myśl o powrocie do kraju. To, czym zajmował się Nawalny i jego fundacja – śledztwa dziennikarskie i opowiadanie, jak działa imperium korupcyjne Putina i jego dworu – nie podoba się Kremlowi.

Ale nie tylko z tego płynie zagrożenie: Nawalny jako jedyny polityk w Rosji nie poprzestaje na krytyce Putina i domaganiu się wolności obywatelskich (czym nieodmiennie zajmują się opozycjoniści starego liberalnego zaciągu), ale mówi wprost, że chce odsunąć go – wraz z obsługą – od władzy. Kreml nie miał też skutecznego pomysłu, jak przeciwstawić się np. „mądrym głosowaniom” (Nawalny zaproponował schemat udziału w wyborach, zakładający oddanie głosu nie na przedstawiciela partii władzy – w ostatnich wyborach lokalnych ten schemat przyniósł kilka mandatów opozycji).

Nawalny mówi wprost: nie będę grał wedle waszych fałszywych reguł, moje reguły są czyste. Swoją deklaracją chęci powrotu komunikuje też Putinowi: nie boję się was, choć jesteście zbrodniarzami.

Czynnik Nawalnego

Jest jeszcze jeden ważny aspekt: czy Kreml tego chce, czy nie, „czynnik Nawalnego” wkroczył na arenę międzynarodową. Tak ostrego tonu w wypowiedziach niemieckich polityków wobec Rosji nie było słychać od dawna. Czy to doprowadzi do przełomu w łagodnym kursie Berlina wobec łamiącej permanentnie prawo międzynarodowe Rosji? W grze jest mocna karta: budowa gazuociągu Nord Stream 2. No i sankcje. Ta rozgrywka trwa – w chwili, gdy piszę te słowa, decyzji w obu kluczowych sprawach jeszcze nie podjęto.

„Odpowiedź Zachodu [na otrucie Nawalnego] może być dotkliwa, gdy będzie →

→ wspólna i uderzy we wrażliwe miejsca. Na razie poza ostrą retoryką politycy nie mają nic do zaoferowania. Do tej pory zachodnie reakcje okazywały się bańką mydlaną, Moskwa więc się tylko z przekąsem uśmiecha. Sprawa Nawalnego osłabiła pozycję zachodnich zwolenników współpracy z Moskwą. Inicjatywa Macrona o zbliżeniu z Rosją wywołuje wątpliwości i na razie wyhamowała” – pisze politolożka Lilia Szewcowa. Występując w ONZ, Macron mówił: „W celu zapewnienia naszego wspólnego bezpieczeństwa jeszcze raz wzywam Rosję, aby wyjaśniła w najdrobniejszych szczegółach próbę zabicia opozycjonisty przy pomocy substancji paralityczno-drgawkowej z grupy nowiczek (...) Francja nie zamierza akceptować obecności broni chemicznej w Europie”. Na razie tyle i aż tyle.

Niemniej odnotujemy, że wieść o tym, iż kanclerz Merkel odwiedziła „berlińskiego pacjenta” w szpitalu, wywołała na Kremlu większy popłoch niż wszystkie inne aspekty sprawy otrucia Nawalnego. Bo to ważny sygnał: wspieramy tego, którego Kreml chciał otruć, rozmawiamy z nim.

Problemy się mnożą

Nie ma wątpliwości, że w tej sytuacji Moskwa uruchomi wszystkie dostępne hybrydowe mieszadła, aby zdjąć z siebie odium truciela. Oraz aby udaremnić prawne rozstrzygnięcia, w tym zastopować procedury technicznego sekretariatu Organizacji ds. Zakazu Broni Chemicznej.

Putin ze swego antycovidowego bunkra w Nowo-Ogariowie do upadłego będzie mącił wodę i zaprzeczał oczywistości. Świeżo wyzerowany prezydent na samoizolacji ma wielowarstwowy „materiał do przemysłienia”: nowa wysoka fala zachorowań na koronawirusa w Rosji, powybiorcza sytuacja na Białorusi, płonący Karabach, przedłużające się protesty w Chabarowsku na Dalekim Wschodzie, wybory w USA, niespokojny Kirgistan. No i ten Nawalny: bo już widać, że choć jego droga do odzrowienia jeszcze długa, to on tak łatwo nie odpuści. © ANNA ŁABUSZEWSKA

Piętnaście lat batalii o dwa tygodnie urlopu

AGNIESZKA KAMIŃSKA Z ZURYCHU

Szwajcaria, jako jeden z ostatnich krajów Europy, wprowadzi gwarantowane świadczenie dla ojców. Ale nadzieje, że „tacierzyńskie” zmieni tu model rodziny, są marne.

JA! OUI! SI! TO KAMIEŃ MIŁOWY W SZWAJCARSKIEJ polityce rodzinnej – Adrian Wütrich nie kryje emocji. Cieszy się jako ojciec dwóch synów i parlamentarzysta partii socjaldemokratycznej, a zwłaszcza jako inicjator referendum, w którym w ostatnią niedzielę września większość Szwajcarów i Szwajcarek dała zielone światło dla Papi Zeit, czyli płatnego urlopu dla ojców.

Dzień przeszedł do historii jako ten, w którym długoletnie starania o uznanie opiekuńczej roli ojca w rodzinie zakończyły się jeśli nie sukcesem, to przynajmniej wypracowanym w pocie czoła kompromisem. A może to dopiero początek?

Wielojęzyczny entuzjazm jest uzasadniony: w Szwajcarii, kraju praktykującym demokrację bezpośrednią, tym razem wyjątkowo ważne były głosy mieszkańców tzw. Szwajcarii łacińskiej: francusko- i włoskojęzycznej, zwykle bardziej przychylnych rozwiązaniom socjalnym.

To duże zaskoczenie, że większość opowiedziała się – i to w kryzysowym dla gospodarki czasie pandemii – za dodatkowym świadczeniem rodzinnym, którego roczny koszt szacuje się na 220 mln franków (równowartość ok. 840 mln zł). Oznacza to bowiem podniesienie składki na świadczenia uzupełniające, którą płacą po połowie pracownik i pracodawca.

Przeciwnicy urlopu ojcowskiego – jest ich sporo wśród liberalnych polityków i pracodawców – zwykli nazywać go niepotrzebnym „państwowym gorsetem”, który dusi wolność rynku. Przed głosowaniem ostrzegali, że skorzystają nieliczni, a zapłacą wszyscy.

W pogoni za Europą

Włączając mężczyzn do systemu świadczeń rodzinnych Szwajcarzy gonią Europę. Choć robią to w swoim, bardzo wolnym tempie.

Wystarczy spojrzeć na sąsiadów. Francja wprowadziła 14-dniowy urlop ojcowski już w 2002 r., a teraz idzie o krok dalej i wydłuża go o kolejne dwa tygodnie. W Niemczech istnieje dzielony między rodziców urlop o długości do 24 miesięcy, a Austria wprowadziła niedawno Papa Monat (miesiąc dla taty). Najmniej hojni są Włosi, którzy z okazji narodzin dziecka dają ojcom tylko siedem pełnopłatnych wolnych dni.

W Szwajcarii Papi Zeit ma od przyszłego roku wynosić dwa tygodnie. To duża zmiana w porównaniu z tym, na co dziś może liczyć większość pracowników: narodziny dziecka są przez pracodawców traktowane jak przeprowadzka i zwyczajowo przysługuje do dwóch dni wolnego.

Dlaczego Szwajcarzy tak długo zwlekali z wprowadzeniem rozwiązania, które od dawna jest w Europie standardem?

Choć ogólnokrajowe referendum doszło do skutku dopiero teraz, temat był obecny w debacie publicznej od lat. Właściwie od chwili, gdy – też późno, bo dopiero w 2005 r. – uznano prawo kobiet do urlopu macierzyńskiego. Objęcie matek systemem zabezpieczeń społecznych było priorytetowe, zanim zaczęto w ogóle zastanawiać się nad włączeniem do tego systemu ojców. Dwa lata później pojawił się więc pierwszy projekt 4-tygodniowego urlopu ojcowskiego, który został jednak odrzucony przez Radę Federalną (tutejszy odpowiednik rządu). Później jej los podzieliła wersja skrócona do dwóch tygodni: parlament uznał ją za zbyt kosztowną.



BRITTA PEDERSEN / DPA / EAST NEWS

Droga do konsensusu

Ponieważ szwajcarski system polityczny opiera się na konsensusie – który ma pogodzić interesy nie tylko różnych partii, ale znaleźć też balans między dobrem pracodawców i pracowników – mijają długie lata, zanim jakieś rozwiązanie, wypracowane z mozołem, trafi pod osąd ogółu obywateli.

Na mobilizację przyszedł więc czas dopiero w 2016 r. Wtedy to dwieście organizacji społecznych skrzyknęło się we wspólnej inicjatywie: cztery tygodnie urlopu dla ojców. Tym razem grunt był podatny, gdyż w ostatnich latach dyskusja na temat „tacierzyńskiego” nabrała tempa. W czerwcu 2019 r. kobiety w Szwajcarii wyszły masowo na ulice, żądając poprawy warunków pracy, zrównania zarobków oraz uznania wartości pracy opiekuńczej i domowej. Przy tej okazji na aktualności zyskała też debata o zaangażowaniu mężczyzn w życie rodzinne.

W tym samym roku Komisja Europejska zobowiązała kraje Unii do wprowadzenia minimum 10 dni urlopu ojcowskiego, płatnego w identycznym wymiarze jak urlop macierzyński, a także prawa do czterech miesięcy urlopu rodzicielskiego (z czego dwa miesiące niezbywalne) dla rodzica. Cel: poprawa równowagi między pracą a życiem rodzinnym dla obojga opiekunów. Wprawdzie Szwajcaria nie należy do Unii, ale liczne

powiązania gospodarcze sprawiają, że Berno – chcąc nie chcąc – musi się liczyć ze zdaniem Brukseli.

W czasie, gdy losy gwarantowanego „tacierzyńskiego” ważyły się w Bernie (finalnie pod głosowanie trafiła wersja kompromisowa: dwa tygodnie), część pracodawców – nie czekając na koniec politycznych przepychanek – zaczęła ustalać własne reguły. Zwłaszcza międzynarodowe korporacje, zatrudniające obcokrajowców, uznały za konieczne dorównanie do standardów europejskich.

Narodziny i co dalej

Kasia i Artur są w Szwajcarii od 2012 r. Artur pracuje w firmie farmaceutycznej, która zatrudnia wielu cudzoziemców.

– Gdy urodziła się nasza druga córka, umówiłem się z szefem, że wezmę pięć tygodni urlopu, w czasie których będę doglądał swoich obowiązków przez 3-4 godziny dziennie, a resztę czasu spędzał z rodziną. To funkcjonowało bardzo dobrze. Wiem natomiast, że w korporacji, w międzynarodowym środowisku, można liczyć na większą elastyczność ze strony pracodawcy – mówi Artur.

– Jeśli nie istnieje gwarantowane świadczenie dla ojców, państwo uznaje, że obecność mężczyzny w domu po narodzinach dziecka jest jego indywidualną decyzją – uważa Isabel Valerino, badaczka z Departamentu Analiz Spo-

łecznych i Edukacji kantonu Genewa. – Takie podejście nie bierze pod uwagę faktu, że nie każdy ma możliwości finansowe i wpływy u pracodawcy, aby skorzystać z niepłatnego urlopu. Przerzuca się w ten sposób na pracownika odpowiedzialność za negocjacje z pracodawcą, wiedząc, że urlop ojcowski jest wciąż niedoceniany w naszym społeczeństwie i nie zawsze spotyka się z akceptacją na rynku pracy.

Valerino prowadziła badania wśród urzędników z Lozanny. To szwajcarskie miasto zapewnia swoim pracownikom 21 dni urlopu po narodzinach dziecka. Obserwacja rodzin wykazała, że obecność ojca w domu w okresie tuż po urodzeniu dziecka nie ma aż tak dużego wpływu na równiejszy podział obowiązków w rodzinie. Ważniejsze jest długotrwałe zaangażowanie ojca i wymienianie się rodziców w pełnieniu obowiązków wychowawczych.

„Dla budowy partnerstwa w rodzinie ważne jest to, jak rodzice dzielą między sobą czas wychowawczy po powrocie kobiety do pracy. Dlatego wiele krajów wprowadziło – niezależnie od urlopu macierzyńskiego i ojcowskiego – także urlop rodzicielski, do dyspozycji obojga rodziców” – tłumaczy Valerino w wywiadzie dla portalu swissinfo.ch.

Szwedzko-szwajcarskie porównania

Taki model obowiązuje już od 1974 r. na drugim biegunie Europy: w Szwecji. Tam obojgu rodzicom przysługuje w sumie 480 dni płatnego urlopu (w tym 90 dni dla każdego obowiązkowo, reszta do podziału). W 2019 r. pojawiła się dodatkowo możliwość skorzystania z urlopu rodzicielskiego już na 60 dni przed porodem, aby rodzice mogli wspólnie uczestniczyć w wizytach lekarskich i przygotować się na powiększenie rodziny. W Szwecji osoba, która wraca do pracy po urlopie rodzicielskim, ma też opcję zredukowania czasu pracy o 25 proc. Pracodawca ma obowiązek wyrazić na to zgodę, ale nie musi rekompensować ubytku etatu.

Szwecja podawana jest często jako przykład państwa prorodzinnego, które dba nie tylko o rozwój dziecka, ale promuje równość kobiety i mężczyzny oraz balans między życiem zawodowym a prywatnym. Czy tak jest w rzeczywistości? ➔

⇒ Adrian (nie mylić z posłem Wütrichem) spędził w Szwecji pięć lat, tam urodziło się jego dwóch synów.

– Teoretycznie osobie będącej na urlopie rodzicielskim przysługuje świadczenie w wysokości 90 proc. pensji. Są jednak limity dzienne, co w praktyce oznacza, że jeśli zarabiasz dużo, to dostajesz mało. W moim przypadku było to ok. 30 proc. wynagrodzenia. Efekt był taki, że wróciłem do pracy, a resztę przysługujących mi wolnych dni oddałem żonie – opowiada.

Szwedzkie doświadczenia sprawiły, że Adrian reaguje alergicznie na wszelkie próby ingerencji państwa w rodzinę. Dlatego w Szwajcarii, swoim kraju, głosował przeciw wprowadzeniu urlopu ojcowskiego. – Każda rodzina jest inna. Dlaczego rząd ma ustalać, ile czasu mam spędzać z moimi dziećmi? Wolę płacić niższe podatki i mieć więcej pieniędzy do dyspozycji, aby np. móc wziąć bezpłatny urlop. Zresztą w mojej firmie właśnie tak to działa: ojciec ma prawo do miesiąca bezpłatnego urlopu i to rozwiązanie funkcjonuje bardzo dobrze. Nie słyszałem, żeby któryś z moich kolegów się skarżył – mówi Adrian.

Oprócz wysokich podatków i długiego urlopu rodzicielskiego, Szwecja ma jeszcze coś, czego nie ma Szwajcaria: tanie żłobki. To dlatego kobieta po urodzeniu dziecka może, jeśli chce, szybko wrócić do pracy na pełen etat. W Szwajcarii wygląda to inaczej.

Choć aktywność zawodowa kobiet w obu krajach jest podobna, diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach. Szwajcaria „podwyższa” statystyki zatrudnienia kobiet. Według danych Eurostatu ponad 60 proc. zawodowo aktywnych pracuje na część etatu (w Szwecji tylko 30 proc.), pozostały czas przeznaczając na obowiązki domowe i wychowawcze. Ten model pracy kobiet upowszechnił się w Szwajcarii na tyle, że dla wielu rodzin stał się czymś naturalnym. Alternatywą dla matek, które po urodzeniu dziecka chcą wrócić do pracy na pełen etat, jest posłanie dzieci do płatnej placówki opieki dziennej albo zatrudnienie niani. Jedna i druga opcja jest niezwykle kosztowna.

Nigdzie indziej w Europie

Nadzieje, że dwutygodniowy urlop ojcowski zmieni coś w szwajcarskim mo-

delu rodziny – w którym na co dzień ojciec pracuje na sto procent, a matka dorabia, jednocześnie zajmując się domem – są marne. Bo problem najwyraźniej leży gdzie indziej.

Artur i Kasia „przepracowali” rodzicielstwo w trzech krajach: Polsce, Słowacji i Szwajcarii. – Czego najbardziej brakuje nam jako rodzicom w Szwajcarii, to dostępny finansowo system opieki poza domem – twierdzą zgodnie.

Kasia: – Z dzieckiem poniżej piętego roku życia [w tym wieku pojawia się obowiązek szkolny – red.] w zasadzie nie za bardzo jest co zrobić. Na Słowacji prywatne przedszkole kosztowało 600 euro miesięcznie, co przy naszych zarobkach nie było dużym obciążeniem. W Szwajcarii, gdy zaczęłam studia dzienne, aby zwiększyć moje szanse na rynku pracy, zatrudniłszy nianię. Przychodziła do dzieci trzy razy w tygodniu, a miesięczny koszt takiej opieki wynosił 3,6 tys. franków.

– Nigdzie indziej w Europie rodziny nie ponoszą tak wysokich kosztów pozadomowej opieki nad dziećmi – przyznaje Adrian Wütrich w rozmowie z „Tygodnikiem”. Zapowiada, że batalia o partnerstwo w szwajcarskich domach nie zakończyła się na tym małym sukcesie, jakim są dwa tygodnie urlopu ojcowskiego. – Zaczęliśmy już działania na rzecz wprowadzenia urlopu rodzicielskiego. To będzie nasza kolejna inicjatywa. Ale to tylko jeden z elementów polityki społecznej. Większa równowaga między pracą a rodziną wymaga poprawienia dostępności systemowej opieki nad dziećmi – mówi polityk.

W niedzielę 27 września, nieco w cieniu przełomowego dla ojców referendum, w Szwajcarii odbyło się inne głosowanie, też związane z rodziną. Chodziło o ulgi podatkowe dla korzystających ze żłobków i innych miejsc opieki pozadomowej. Propozycja zakładała podwyższenie kwoty odpisów, co miało uszczuplić budżet państwa o 330 mln franków rocznie. Jej przeciwnicy argumentowali, że z odpisów skorzysta tylko najlepiej zarabiająca mniejszość.

Poza jednym kantonem (włoskojęzycznym), wszyscy propozycję odrzucili.

© AGNIESZKA KAMIŃSKA

Tricolore nad Oceanią

KAROLINA KANIA

Nowa Kaledonia zostaje przy Francji: tak zdecydowała większość mieszkańców tego archipelagu wysp na Południowym Pacyfiku.

W PIERWSZĄ NIEDZIELĘ PAŹDZIERNIKA ponad 85 proc. spośród uprawnionych do głosowania mieszkańców Nowej Kaledonii po raz kolejny wypowiedziało się w referendum niepodległościowym. I podobnie jak w poprzednim głosowaniu, w 2018 r., nieznaczna, ale jednak większość – trochę ponad 53 proc. – wybrała zachowanie statusu terytorium zamorskiego Francji (dwa lata temu chciało tego 3 pkt. proc. więcej). Co to oznacza dla Nowej Kaledonii? Czy to koniec niepodległościowych dążeń znaczącej – jak widać – części wyspiarzy?

Kwestia tożsamościowa

Nową Kaledonię Francuzi skolonizowali w 1853 r. Wykorzystując zdobyte od rdzennej ludności tereny, stworzyli na wyspach archipelagu kolonię karną i zaczęli budowę „Francji południa”. Aż do roku 1946 autochtoni byli pozbawieni praw cywilnych, żyli na terenie rezerwatów i podlegali „kodeksowi tubylczemu”, w ramach którego musieli odprowadzać podatki na rzecz kolonizatora. Francuski projekt kolonizacji zakładał, że Kanakowie (rdzenna ludność) staną się mniejszością. Częściowo to się udało: dziś stanowią 39 proc. z 280 tys. mieszkańców.

Po II wojnie światowej Nowa Kaledonia zyskała status terytorium zamorskiego Francji. Choć oficjalnie przyznano wtedy Kanakom pełnię praw, wielu Europejczyków wciąż traktuje ich jak obywateli gorszej kategorii. Dążenia niepodległościowe mają więc dla wielu Kanaków znaczenie symboliczne, tożsamościowe.



MATHURIN DEREL / AP / EAST NEWS

Zwolenniczki niepodległości przed lokalem referendalnym w mieście Numea, stolicy Nowej Kaledonii. 4 października 2020 r.

Po wojnie domowej, która miała miejsce w latach 80. XX w., zwolennicy i przeciwnicy niepodległości podpisali porozumienia w Matignon (1988 r.) i w Numei (1998 r.), dotyczące dekolonizacji terytorium i budowania wieloetnicznej „wspólnoty przeznaczenia” (fr. *communauté de destin*). Ostatnie głosowanie, choć z takim wynikiem, było więc istotnym krokiem w postępującym procesie dekolonizacji i uniezależniania się tego melanezyjskiego archipelagu od Francji.

W cieniu wirusa

Gdy we Francji wskaźniki epidemiologiczne wciąż się pogarszają, mieszkańcy Nowej Kaledonii, położonej 17 tys. kilometrów od Paryża, mają inne zmartwienie.

Referendum niepodległościowe planowano tu pierwotnie na 6 września, ale ówczesny premier Francji Édouard Philippe zaproponował przesunięcie go o miesiąc ze względu na pandemię. Tę pandemię, która Nową Kaledonię dotknęła (pod względem sanitarnym) w minimalnym stopniu: do dziś zidentyfikowano tylko 27 przypadków zarażenia ko-

ronawirusem. Archipelag był pierwszym francuskim terytorium, które już w połowie kwietnia zaczęło znosić restrykcje sanitarne.

Dziś życie na wyspach toczy się z pozorami normalnie, ale mieszkańcy mają świadomość, jakie zagrożenie niesie wirus. Pandemia przypominała Kanakom o chorobach przywiezionych przez Europejczyków w drugiej połowie XVIII w., na które nie byli uodpornieni.

Organizacja referendum podzieliła Kaledończyków. Decyzja o jego terminie zapadła w Paryżu, jak zresztą wiele innych postanowień dotyczących przyszłości wysp. Zwolennicy niepodległości oskarżali prawicową opozycję o instrumentalizowanie kryzysu zdrowotnego i promowanie interwencjonizmu państwa francuskiego, które zagwarantowało Nowej Kaledonii pożyczkę – ponad 200 mln euro – na złagodzenie skutków pandemii.

A one są poważne: niska liczba zakażeń nie odzwierciedla kryzysu ekonomicznego, z którym mierzą się wyspy. Najbardziej dotknięte sektory to transport i turystyka. Zawieszono loty międzynarodowe i przyjmowanie turystycz-

nych statków wycieczkowych, które były ważnym źródłem dochodu zwłaszcza dla mieszkańców Wysp Lojalności i Wyspy Sosen. Sytuacja szybko się nie polepszy, bo kaledońskie granice będą zamknięte do marca 2021 r.

Inne sektory lepiej opierają się kryzysowi. Tak jest w przypadku niklu: złoża tego minerału na Nowej Kaledonii są jednymi z największych na świecie. Mimo spowolnienia wydobycia, eksport niklu nadal jest możliwy.

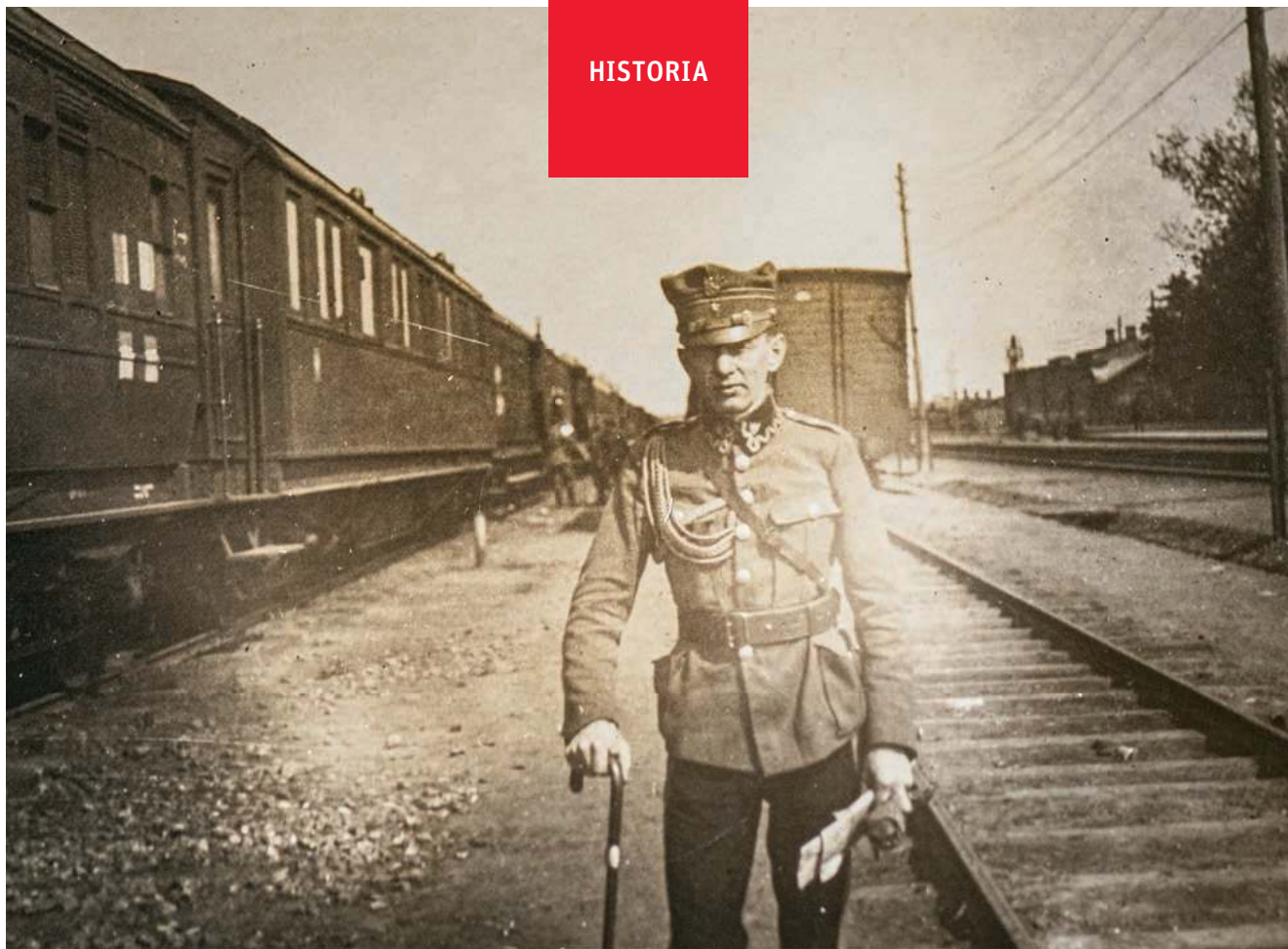
Do trzech razy sztuka

Porozumienia z Numei zakładają organizację trzech referendów niepodległościowych. Wynik pierwszego, z listopada 2018 r., był zaskoczeniem. Za niepodległością opowiedziało się wtedy 43,3 proc. głosujących (przy frekwencji prawie 81 proc.), co dało dużą nadzieję zwolennikom pełnej suwerenności. W tym roku ich celem było zmobilizowanie do głosowania 33 tys. osób, które nie wzięły udziału w pierwszym referendum. To się udało.

Choć wygrana przeciwników niepodległości jest wyraźna (to dokładnie 53,26 proc.), ich rywale nie tracą nadziei. „Będziemy dalej walczyć o niepodległość naszego kraju. Ten proces trwa od 30 lat” – mówił Roch Wamytan, lider niepodległościowej partii UC-FLNKS. Prezydent Francji Emmanuel Macron w poroferendalnym wystąpieniu transmitowanym z Pałacu Elizejskiego uznał, że wynik jest znakiem zaufania do Republiki. Podkreślił też, że nadchodzi czas, by rozważyć wszystkie scenariusze, a państwo francuskie jest gotowe zaangażować się w dyskusję nad instytucjonalną przyszłością kaledońskiego terytorium.

Przemiany zachodzące na wyspach od 30 lat, zwłaszcza te dotyczące zmniejszenia nierówności społeczno-ekonomicznych, wymagają czasu i zrozumienia. Wyzwanie, przed którym stoją Kaledończycy, polega na zdekonstruowaniu modelu narzuconego w czasach kolonialnych i zbudowaniu nowego kraju, odpowiadającego ich aspiracjom. Jednak czy droga do niepodległości nie prowadzi też do impasu politycznego, ekonomicznego i społecznego? Jak rozwiązać problem przynależności w kolonii, gdzie autochtoni są mniejszością?

W każdym razie kolejną szansę, aby za decydować o swym losie, Kaledończycy będą mieć za dwa lata. ©



Stanisław Starzewski jako major Wojska Polskiego, około roku 1920.

ARCHIWUM RODZINNE PAŃSTWA STARZEWSKICH / REPRODUKCJA JACEK TARAN

KUZYN DZIENNIKARZA Z „WESELA”

Stanisław Starzewski obiadował z cesarzem Franciszkiem Józefem i Piłsudskim.

Na unikalnych zdjęciach uwiecznił świat,
który skończył się wraz z upadkiem c.k. monarchii.

WALDEMAR ŁAZUGA

OKILKU GALICYJSKICH RODZINACH MÓWIONO, że dzieci jest u nich w bród, a każde z nich to istny cud. Ponadnormalnie zdolni byli niewątpliwie Morawscy czy Bocheńscy. O Starzewskich raczej tak nie mówiono, całą sławę wziął bowiem Rudolf Starzewski: „jedna z najświetniejszych polskich inteligencji współcze-

snych”, genialny redaktor krakowskiego „Czasu”, omnibus i dziennikarz z „Wesela” Wyspiańskiego. Pierwszy też, który „Wesele” głębiej odczytał i „podał ton” jego rozumienia.

O Rudolfie się więc pamięta. O jego starszym bracie Tadeuszu, „pierwszym kanclerzu polskiego skarbu” (podczas

I wojny światowej związanym z Nacelnym Komitetem Narodowym), kolekcjonerze sztuki i finansjście – już mniej. O pozostałych pamięta garstka. Tymczasem *genialer Knabe*, genialny chłopiec, nie był w tej rodzinie wyjątkiem (dziewczyna zresztą też nie). Na świat przychodzili artyści, dziennikarze, lekarze, znawcy

sztuki, inżynierowie, poligloci, mistrzowie fechtunku i przedsiębiorcy. Na dodatek każdy miał kilka mniej lub bardziej oryginalnych pasji. Na początku XX w. było o nich głośno:

*Wszak przyznacie mi panowie
Że Starzewskich wszędzie w bród
Wielka moc ich jest na świecie
Ale czterech w kabarecie!!!*

Tyłu (a nawet więcej) było w krakowskim Zielonym Baloniku, pierwszym polskim kabarecie literackim, i pokazywało się w rozmaitym charakterze w cukierni u Michalika na Floriańskiej lub nieopodal w hotelu Pod Różą, należącym zresztą do Starzewskich.

Jest jednak wiele powodów, aby pamiętać zwłaszcza o jednym: Stanisławie.

Kim był? Oficer armii austriackiej, saper, inżynier, wiersze pisał po polsku i niemiecku. Boy w przekładach Montaigne'a nazywał go swoim „prawdziwym i niezmordowanym współpracownikiem”. Aktor Zielonego Balonika, projektował umocnienia c.k. armii, a także stroje krakowskie. Wcielał się w rolę austriackiego szpiega, był zawołanym tancerzem, wodzirejem, wioślarzem, narciarzem i szermierzem. Przyjaciół Józefa Mehoffera, wzięty sekundant w pojedynkach na broń białą. Pasjonat fotografii, zdjęć stereoskopowych i eksperymentów z fotografią barwną na kliszach oraz właściciel bogato wyposażonego studia. A także ostatni techniczny szef austriackiej Twierdzy Kraków. Prywatnie i służbowo obfotografował świat, który skończył się wraz z upadkiem monarchii habsburskiej. Świat, do którego należał.

Takich zdjęć zrobił ponad tysiąc. Większość byłaby ozdobą niejednego albumu.

Na obiedzie u cesarza

Urodził się w Krakowie w 1875 r. W archiwum Starzewskich są skarby: świadectwo chrztu z podpisem kardynała Albina Dunajewskiego (wraz z opłatą skarbową w wysokości 100 koron), świadectwa szkolne wystawione przez „c.k. gimnazjum trzecie w Krakowie” (św. Anny), pismo ojca do Wydziału Krajowego w sprawie „przyjęcia syna do Wojskowej Akademii Technicznej”. I odpowiedź nań marszałka Sanguszkii, że „Najjaśniejszy

Pan raczył przyznać jedno miejsce funduszowe (stypendialne) w rzeczzonej uczelni”. Dalej: piękny dyplom z 1896 r., z nominacją na podporucznika (*Leutnant*) batalionu pionierów (saperów) w Linzu. A także materiały dokumentujące służbę w wojsku.

Stąd dwie historie. Pierwsza: we wrześniu 1899 r. w Austrii Górnej po ulewach rzeki występują z brzegów. Najtrudniejsza sytuacja panuje w miejscowości Steyr, leżącej u ujścia rzeki o tej samej nazwie. Woda zalewa domy.

Na ratunek przybywa oddział saperów pod dowództwem podporucznika Stanisława Starzewskiego, który nakazuje wzmacniać wały, buduje prowizoryczne kładki i przeprowadza ewakuację ludności. Miejscowa gazeta pisze o „dowodach bohaterskiej odwagi” dowódcy (przekraczając trudne dla Niemców nazwisko).

Historia druga: w maju 1902 r. podczas ćwiczeń z mostu pontonowego do Dunaju wpada żołnierz. Starzewski rzuca się za nim w pełnym umundurowaniu, z regulaminową szablą u boku i na odcinku



Stanisław Starzewski
jako kapitan c.k. armii,
około roku 1917.

4 km, walcząc z prądem, utrzymuje tonącego na powierzchni, aż obu zabierze łódka. Za czyn ten otrzymuje medal Zasługi Wojskowej (zwany *Signum Laudis*), kaligrafowany dyplom, a także – zaproszenie na obiad galowy od samego cesarza. O obiedzie opowiada później, że cesarz jadł tak szybko, iż trudno było mu dotrzymać kroku, a gdy skończył, służba natychmiast sprzątnęła pozostały talerz sprzed nosa.

Cesarski obiad za uratowanie nieostrożnego żołnierza... Do tego honory, dyplomy, medale, wyrazy uznania. Obrazek z pięknej epoki.

Misje i zabawy

W 1904 r. Stanisław kończy kurs inżynierii w Wiedniu i przez dwa następne lata pełni służbę w twierdzach na południu monarchii. W 1907 r. w przebraniu turysty przekracza granicę włoską, dociera do ukończonej niedawno nowej twierdzy, robi pomiary, sporządza rysunki (zachowane do dziś) i po powrocie odbiera list →

Hilda i Stanisław Starzewscy na nartach w Zakopanem, około roku 1920.



ARCHIWUM RODZINNE PAŃSTWA STARZEWSKICH / REPRODUKCJA JACEK TARAN



STANISŁAW STARZEWSKI x4

Most polowy na Wiśle zbudowany przez c.k. armię, w tle ruiny opactwa benedyktynów w Tyńcu. Rok 1917.



Powitanie cesarzowej Zyty przed dworcem kolejowym w Krakowie, 5 maja 1917 r.

→ gratulacyjny od szefa Sztabu Generalnego, Franza Conrada von Hötzendorf. Przeżywa żołnierską przygodę. Szpiegiem zostaje na ochotnika.

Na dolę c.k. oficera nie narzeka. Nosi starannie wyfasowany mundur, szablę i lśniące buty. Manewry, odbywane niezbyt często, nie są wyczerpujące. Gdy wizytuje je cesarz, wychodzą kolorowe widokówki z podobizną Franciszka Józefa i ewentualnie wysokich rangą oficerów. W Akademii Wojskowej kadeci otrzymują zaproszenia do teatru, na rauty i bale. Wydają gazetki, piszą podniosłe lub frywolne teksty. Są atrakcją spotkań towarzyskich. Romansują na potęgę.

Fotografie z albumów Starzewskich mówią wiele. Oto Stanisław, jako jedyny w oficerskim mundurze, pośród artystycznej cyganerii. Damy w wytwornych balowych strojach. Bal przebierańców w Jamie Michalikowej lub hotelu Pod Różą. Oryginalne stroje krakowskie zaprojektowane przez Starzewskiego, w których wraz z żoną wystąpił w tańcu przed Franciszkiem Józefem. Oto Lajkonik w otoczeniu przebierańców w strojach historycznych. Dużo kolorów. Weśłości. Zabawy.

Jest też w archiwum świadectwo pojedynku Mehoffera z Leonem Wyczółkowskim. Mniejsza, czy poszło o „honor sztuki”, czy o honor kobiety. Sekundantem Mehoffera był Starzewski, a wszystko rozegrało się w pracowni „Wyczółła”, gdzie obaj – obnażeni do pasa, a Wyczółkowski jeszcze z ryngrafem Matki Boskiej na szyi – ostro na sie-

bie natarli. Kto zwyciężył? Zdania były podzielone. Wyczółkowski utrzymywał, że „wypłazował” Mehoffera wedle wszelkich reguł sztuki, a Mehoffer, może przypadkiem, lekko tylko ciął go przez pierś.

Rzecz skończyła się namalowaniem przez Mehoffera portretu swego sekundanta w niebanalnym stroju. Sekundant zaś, mistrz fotografii, odwodził się portretującemu zdjęciem artysty przy pracy.

Następne pojedynki – i to z udziałem prezydenta miasta – wisiały w powietrzu, gdy wybuchł spór, czy filmować uroczystości pogrzebowe Stanisława Wyspiańskiego. Przeciw „kinematografowi na pogrzebie” i prezydentowi Juliuszowi Leo najostrzej występowali bohaterowie „Wesela”, z Rudolfem „Dolciem” Starzewskim na czele. Boy był za, Stanisław Starzewski także. Oburzonym tłumaczono, że chodzi o dokument dla przyszłości, który wyświełi się dopiero po „zakłauzowaniu go na sto lat”. Wyświełono go już kilka miesięcy po pogrzebie. Premierowe kino nosiło nazwę Cyrk Edison, a publiczność stanowił głównie niezbyt jeszcze liczny w Krakowie proletariatus.

Krakowski dualizm

Stanisław żyje szeroko. I ma rzadki urok. Oto jeszcze jako młody oficer wita na manewrach w Alpach generała z inspekcji. Ów niespodziewanie zaczyna wypytywać go o nazwy okolicznych szczytów. Ku zdumieniu miejscowych, pytany bez zająknięcia wymienia jakieś naprędce

wymyślone nazwy, a nawet podaje ich wysokość. Gdy inspekcja odjeżdża, spokojnie wyjaśnia, że nie ma zielonego pojęcia o tych szczytach, ale wizytujący generał też przecież nie ma i z pewnością nic z tego, co usłyszał, nie zapamiętał.

Przyszłą żonę poznaje na balu w środowisku wojskowych. Jest wodziirejem: ma przegląd tańczących piękności. Jednej od razu wpada w oko. Nazywa się Hilda Triesch, jest austriacką Niemką o francuskich korzeniach. Ojciec należy do zamężnego mieszczaństwa, ojczym jest pułkownikiem c.k. armii. Ślub biorą w Wiedniu. Hilda, poliglotka, łatwo opanuje nasz język. Bez trudu też odnajdzie się w krakowskim „mondzie” – niezbyt różnym od tego w Linzu czy Klagenfurcie.

Stanisław pracuje w krakowskiej dyrekcji inżynierii (komendzie technicznej twierdzy), buduje fortyfikacje od wodociągów nad Wisłą aż po Rudawę na Błoniach. W 1909 r., mając piękne widoki kariery w wojsku i teścia pułkownika, niespodziewanie zwalnia się z wojska i wstępuje do służby cywilnej. Trafia do generalnej dyrekcji kolei austriackich w Wiedniu. W 1910 r. małżonkom rodzi się pierwsze dziecko, które wkrótce umiera. W 1913 r. Stanisław otrzymuje bawarski Order Zasługi św. Michała, nadawany przez panujących tam Witelbachów.

Ma czterdziestkę na karku, dystyngowaną żonę, dobrą posadę i wygodne życie. Na co dzień nosi czarny urzędniczy mundur, ale na bal maskowy prasy do Jamy Michalikowej udaje się „w cudacz-



Bateria moździerzy Škoda 305 mm na froncie koło Chelma nad Bugiem, lato roku 1915. Występujące w roli najcięższej artylerii, moździerze te służyły m.in. do niszczenia rosyjskich umocnień polowych.

Poniżej: żołnierze c.k. armii w artyleryjskiej kopule pancernej fortu „Skala”, należącego do systemu umocnień Twierdzy Kraków. Fort zachował się i mieści dziś Obserwatorium Astronomiczne UJ.



nym ubraniu”, płsa tam na scenie, pisuje wierszyki, robi zdjęcia i jest jednym z tych Starzewskich, którzy „według wszej sprawiedliwości senatorskiej być godności” w całym młodopolskim Krakowie. A jego kuzyn Rudolf, redaktor naczelny szacownego „Czasu”, wszystko, co się tam wyprawia, reklamuje w konserwatywnej gazecie.

Ten alians nowego ze starym – pelearniarzy (cyganerii artystycznej) z hofratami (radcami habsburskiego dworu) – Boy tłumaczy „na wskroś krakowskim dualizmem”.

Austriackość i polskość

Gdy w 1914 r. wybuchła wojna, Stanisław na powrót zakłada mundur porucznika. Walczy pod Kraśnikiem i Dę-

blinem, otrzymuje medal zasługi z mieczami. Awansuje na kapitana, szkoli na Morawach saperów i otrzymuje list pochwalny. W kwietniu 1915 r. wraca do Krakowa, aby do końca wojny służyć w dyrekcji inżynierii forticy, od 1917 r. jako jej szef.

Z 1916 r. pochodzi zdjęcie matki Franciszki Starzewskiej w otoczeniu synów. Stoją: Stefan, Józef, Stanisław i Leopold – każdy w innym mundurze. Stefan jest plutonowym w 2. pułku ułanów Legionów, Józef wiceprezesem Czerwonego Krzyża, Stanisław kapitanem inżynierii, a Leopold wicedyrektorem kolei w Krakowie.

Czy Stanisław chciał służyć w Legionach? Starął się o to przynajmniej dwukrotnie, ale bez skutku. Pozostanie

w c.k. armii i z dumą odnotuje, że „w roku 1917 i 1918 pełnił funkcję dyrektora inżynierii w Krakowie, mając pod swą komendą kilkudziesięciu oficerów, w tym kilku majorów i kilka tysięcy żołnierzy”. Nadmieni też, że w ostatnim roku wojny otrzymał Order Franciszka Józefa „z dekoracją wojenną” i Krzyż Wojskowy Karola (nadawany przez ostatniego cesarza Austrii, Karola I). Austriackość i polskość nie prowadziły w nim ze sobą walki, c.k. order i dyplomy nie parzyły.

To właśnie z ostatnich dwóch lat wojny pochodzi większość zdjęć z olbrzymiej kolekcji Stanisława. Robionych osobiście i z udziałem pomocników, z użyciem najnowocześniejszych aparatów umieszczonych na statywie, o zaskakującej ostrości obrazu i wysokiej technice kadru.

Niektóre wykonywał w ramach służbowych obowiązków, inne z potrzeby artystycznej duszy, choć jednych od drugich nie sposób nieraz odróżnić. Galicyjskie krajobrazy, przyroda, rzeki, przeprawy, góry, miasta i miasteczka, ludność cywilna, żołnierze w czasie wojny, scenki rodzajowe, cztery pory roku: „Kronland cały”, utrwalany z urzędu i *ganz privat*.

W Przemysłu uwiecznił skutki ostrzału artyleryjskiego, dokumentując ogromniszczeń tamtejszej twierdzy. W Krakowie m.in. wizytę pary cesarskiej. Z wizyty tej pochodzi unikatowy portret cesarzowej Zyty – dziesięciorga imion – Burbon-Parmeńskiej.

Chłuba armii polskiej

Jesienią 1918 r. c.k. monarchia przestaje istnieć. Między jednym a drugim przedstawieniem „Wyzwolenia” Wyspiańskiego – jak pisał Boy – narodziła się „Polska żywa”. Wybuchła nagle, niespodzianie, „niby za rozsunięciem kurtyny”. Czy ktoś ją rozsunał, czy rozsunała się sama? Sprawili to Bóg, sami Polacy czy historia? Spór o to trwa do dziś.

O przełomie roku 1918 Stanisław pisze głównie w kontekście własnych zasług: ➔



Od lewej: portret Stanisława Starzewskiego autorstwa Józefa Mehoffera.

Józef Mehoffer – malarz i przyjaciel Stanisława Starzewskiego – w swojej krakowskiej pracowni, na sztaludze niedokończony jeszcze portret Stanisława. Rok 1907.

→ uchronił mienie państwowe fortecy krakowskiej przed rozgrabieniem, zorganizował „oddział ochronny pod dowództwem porucznika Abłamowicza (adwokata) oraz uzbrajał i wysyłał do Lwowa pojedyncze partie żołnierzy” (trwały tam już walki z Ukraińcami). Powołał „Kompanię Asystencyjną Dyrekcji Inżynierii Wojsk w Krakowie” i powierzył jej pociąg pancerny „Paderewski”, który brał udział w walkach między Lwowem, Stryjem i Stanisławowem.

Czy i dla niego niepodległość wybuchła „niby za rozsunieniem kurtyny”?

Od października był już oficerem sztabowym tworzącego się Wojska Polskiego. W listopadzie, przeniesiony do Warszawy i awansowany na majora, zostaje szefem IV Oddziału Sztabu Generalnego; zajmuje się zaopatrzeniem wojska w broń i amunicję. Nikt jeszcze nie wytyka mu c.k. przeszłości ani austriackiej żony.

W styczniu 1920 r. jako delegat uczestniczy w konferencji z Niemcami i jest pierwszym po stuleciach oficerem w polskim mundurze na berlińskiej ulicy. Niedawny sekundant Mehoffera zostaje też prezesem sądu honorowego dla naczelnego dowództwa. We wniosku awansowym z kwietnia 1920 r. czytamy o jego „wybitnych zdolnościach”, „nieposzlakowanym charakterze”, „najszczytniej pojętym patriotyzmie”, „gorącej miłości ojczyzny”, „wielkich zaletach nie tylko żołnierskich, ale i obywatelskich”, „dużej wiedzy fachowej” i „olbrzymim doświadczeniu wojennym”. A także o tym, że jeśli chodzi o „zorganizowanie etapów [zaplecza frontu – red.] i zaopatrzenie materialne”, położył „zasługi historyczne” i „będzie zawsze chlubą i prawdziwą podporą armii polskiej”.

Podczas wojny z bolszewikami uczestniczy w wielu najważniejszych naradach, prowadzi z ramienia Piłsudskiego rozmowy z Petlurą, Niemcami oraz Francuzami z misji wojskowej (jeden z Francuzów zostanie ojcem chrzestnym jego syna Witolda). Awansuje na „głównego kwatremistrza Frontu Północno-Wschodniego. We wrześniu 1920 r. zostaje pierwszym zastępcą szefa Sztabu Generalnego i osiąga chyba wszystko, co saper może w wojsku osiągnąć.

Dopełnieniem jest Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Virtuti Militari, którego niebiesko-czarna baretkę będzie nosił do końca życia.

W listopadzie 1920 r. na życzenie Piłsudskiego „jest mianowany rzeczoznawcą wojskowym przy Delegacji Polskiej na konferencję polsko-niemiecką w sprawie tranzytu przez korytarz polski”; konferencja odbywa się w Paryżu. Miesiąc później pracuje już w komisjach i występuje na posiedzeniach plenarnych. Chwali go marszałek Foch – układ tranzytowy z Niemcami jest dla Polski korzystny.

W przededniu podpisania w 1921 r. układu sojuszniczego z Francją uczestniczy w obiedzie z Piłsudskim (*Crème de Volaille* etc., godzina 20, Hôtel de Crillon).

Potem wszystko się załamuje. Zaczyna się jego na kilka lat rozłożone odchodzenie z wojska. Saperów z austriackim dyplomem Polska nie potrzebuje. Środowiska legionowe za nim nie przepadają. Aura staje się nieznośna. W 1925 r. przechodzi w stan spoczynku.

Później

Ma trójkę dzieci (syna i dwie córki) i przywykł do pewnego poziomu życia. Zatrudnia się we Lwowie na stanowisku dyrek-

tora Związku Przedsiębiorców Gorzelni. W 1932 r., gdy we znaki daje się Wielki Kryzys, wraca do Krakowa. Stopniowo biednieje, ale nie posępnije. W bieżącej polityce nie ma swoich faworytów. Sanacja nie wchodzi w rachubę, endecja – z gwałtowną narodową frazeologią – odpada.

Syn Witold zapisze, że matka „boleśnie tęskniła” wówczas do dawnych czasów, do kosmopolitycznego Wiednia i otwartego świata. Oraz że ojciec o tęsknocie nie mówił, poza fotografią odkrył natomiast nową pasję: zbierał transformatory i składał radioodbiorniki.

We wrześniu 1939 r. zgłosił się do wojska, ale przydziału nie dostał (miał już 64 lata). Pod okupacją zajął się nasłuchem różnorodnych stacji i – po raz pierwszy oraz ostatni – powołał się na swoją austriacką przeszłość. Udał się mianowicie na gestapo z wizytówką „c.k. oficera sztabowego byłej armii austriackiej” i dwa razy to wystarczyło, żeby uratować braci.

Po wojnie z Krakowa prawie się nie rusza. Na pogrzeby też nie chodzi, bo – jak mówi – nieboszczyk „i tak nie przyjdzie na mój pogrzeb, więc i nie muszę iść na jego”. W zdrowiu minie mu dziewięćdziesiąty rok życia. Mówi, że chciałby być pochowany w oficerskim mundurze. Umiera „ze starości” 6 lipca 1969 r.

Pochowają go w cywilnym ubraniu na cmentarzu Rakowickim. Nie udało się ustalić, czy z baretką Virtuti Militari w kłapie.

© WALDEMAR ŁAZUGA

PS. Tekst oparłem głównie na archiwum Witolda i Jadwigi Starzewskich, za co składam Im serdeczne podziękowania.

WOJCIECH

Bonowicz:

Dwie, trzy minuty



KIEDY MÓWIĘ: „NIE MAM CZASU”, JESTEM trupem. Najbardziej zajęтым trupem pod słońcem, trupem, który pędzi. Jeśli rzeczywiście nie mam czasu, to znaczy, że umarłem.

Taką myśl wypisałem sobie kilkanaście lat temu z „Tygodnika Powszechnego” felietonu Jacka Filka. Nie daje mi spokoju. Istotnie, jest tak, jak napisał Jacek: kiedy mówię, że nie mam czasu, to właściwie chcę powiedzieć coś zupełnie innego – że nie chcę czegoś zrobić, że wolę w tym czasie zająć się czymś innym. „Nie mam czasu” jest bezpieczne, zdejmując ze mnie odpowiedzialność – problem jest na zewnątrz, nie we mnie. Gdybym powiedział: „jestem zajęty”, „nie chcę się teraz z tobą widzieć”, „nie chce mi się tego czytać”, byłoby to jak przyznanie się do winy. Kiedy mówię: „nie mam czasu”, usprawiedliwiam się tym, że czasu obiektywnie jest za mało, że dzień, tydzień i życie są za krótkie i wszystkiego nie zdołam w nich pomieścić.

Ale, z drugiej strony, to przecież prawda: nie zdołam. Ciągle ktoś proponuje mi, żebym się czymś zajął, a ja nie znajduję na to ani siły, ani dostatecznej motywacji. Jeśli zajmę się czymś tekstem, nie będę pracował nad własnym. Jeśli pomogę komuś w przeprowadzce, nie posprzątam we własnym domu. Jeśli będę chciał odpowiedzieć na wszystkie listy, spędzę na siedząco kilka godzin, a już teraz dokucza mi kręgosłup, powinienem więcej ćwiczyć, spacerować. „Przepraszam cię, ale muszę zadbać o siebie. Jak nie zadbam o siebie, będę za chwilę ciężarem dla innych”. Może tak powinno

się odpowiadać, szczerze, zamiast: „nie mam czasu”? Zresztą „nie mam czasu” zrobiło się niegrzeczne i właściwie nie wypada powiedzieć tego na głos. Ewentualnie nieco osłabiając: „Nie mam teraz czasu”, „Przepraszam, naprawdę nie mam czasu”. „Masz chwilę?”, pyta przez telefon ktoś, kto szykuje się do dłuższej rozmowy. „Ale tak dwie, trzy minuty”. „Znajdziesz czas, żeby się spotkać?”. „Owszem, ale najprędzej w listopadzie, bo teraz czekają mnie wyjazdy”. „Rzucisz na to okiem?”. „Ale nie obiecuję ci, że zrobię to szybko”. I tak dalej.

Tyle spraw wciska się do naszego życia drzwiami i oknami. Tyle ludzkich nadziei liczy na naszą zgodę, życzliwość, zainteresowanie. Jeśli rano nie wyłączę telefonu, jeśli zajrzę do poczty, cały plan dnia się wywraca. Nawet teraz, gdy ludzie jakby trochę się w sobie skurczyli, nie ubywa próśb, dopytywań, ponagleń. Ktoś prosi o radę, ale jeśli będę nad nią myślał, odbiegne myślami od tego, co zobowiązałem się przemyśleć już wcześniej. Na stole leżą kartki, na których zapisuję sprawy do załatwienia. Niektóre czekają miesiącami, choć wydawały się pilne. Codziennie kilka skreślam, ale dopisuję nowe. Czasem dokładam kolejną kartkę, i kolejną. W końcu sporządzam jedną nową listę, a stare drę i wyrzucam.

Ale Jacek Filek ma rację. Kiedy mówię: „nie mam czasu”, to tak jakbym mówił: „umarłem”. Nie jestem w stanie zająć się wszystkimi, nie w każdą sprawę mogę się zaangażować. Muszę odpoczywać, potrzebuję tego moje oczy, kręgosłup, głowa. Nie mogę jednak „nie mieć czasu” tak zupełnie, bo oznaczałoby to, że wypadłem z niego na zawsze. Jeśli ktoś „nie ma czasu”, nie żyje, choćby miał nie wiadomo ile zajęć. Musi być we mnie – tę myśl dodaje już od siebie – jakaś gotowość na to, że coś zburzy dotychczasowy porządek, że coś potrwa dłużej, niż miało. Są takie spotkania, gdy czas się zatrzymuje, nie płynie, choć ubywa wody w karmfale, za oknem robi się coraz ciemniej. Potem łapiemy się za głowę, trzeba się szybko zbierać. Ale ten moment zwolnienia, a nawet zatrzymania, był dobry. „Dziękuję, że poświęciłeś, poświęciłaś mi tyle czasu”.

Żeby żyć, muszę mieć czas.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze the best of – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@tygodnik.com.pl, my zajmiemy się resztą. **Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!**

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP”: „Do Betlejem!”, „Moc czytania”, „Polska żydowska”, „Smak wolności”, „Halo, tu Ziemia”, „Moc kobiet”.

TYGODNIK
POWSZECHNY



MNIEJSZOŚĆ NIEMIECKA MA WARTOŚĆ

Nie chcą się kamuflować

Są ich setki tysięcy, najczęściej mówią w trzech językach, a w każdym myślą dumnie: jesteśmy ludźmi, którzy tu zawsze mieszkali!

PAWEŁ FIGURSKI

– Nie lubię udawać kogoś, kim nie jestem, bo czuję się nieswojo, sztucznie. Ja się nie wstydzę, że jestem Ślązaczka i mam korzenie niemieckie – mówi z dumą **Elisabeth Kampa** z Raszowej na Opolszczyźnie (na zdjęciu poniżej). Od lat prowadzi tu zespół tańca ludowego „Wal-Nak”.



ADAM LISZKA / TSKN

Gdy się urodziła, rodzice chcieli jej nadać niemiecko brzmiące imię, na co jednak w 1992 r. nie zgodził się polski urząd. Gdy tylko stało się to możliwe, rodzina zmieniła pisownię imienia na niemiecką. Bo – jak tłumaczy – nie chcą się kamuflować.

Jeszcze w połowie lat 90. liczebność mniejszości niemieckiej w Polsce szacowano na ok. 300 tys. Dokładniejsze dane przyniósł Narodowy Spis Powszechny. Ten z 2002 r. wykazał dokładnie 152 897 osób deklarujących narodowość niemiecką. Dziewięć lat później odnotowano 147 816 takich deklaracji. Ponad połowa Niemców żyjących w Polsce mieszka w województwie opolskim.

Członkowie mniejszości z dystansem podchodzą jednak do tych liczb. Wskazują, że nie wszyscy przyznają się do swoich korzeni. Dlaczego? Może to

być strach ze względu na doświadczenia historyczne, jak i naturalny efekt procesów globalizacyjnych.

Jaka jest mniejszość niemiecka? Niezwykle różnorodna. Najwięcej osób mówi po śląsku i właśnie ten etnolekt wskazuje jako mowę ojczystą. Poza nim, co charakterystyczne dla regionu opolskiego, rozmawia w domach w językach polskim i niemieckim. Jak wynika z raportu Magdaleny Lemańczyk i Mariusza Baranowskiego „Mniejszość niemiecka w województwie opolskim jako wartość dodana”, wśród członków mniejszości dominuje identyfikacja narodowościowa śląska, a dopiero po niej niemiecka. To oznacza, że większość wskazuje na identyfikację regionalną ponad narodową. To zmienia się jednak z wiekiem badanych. Wśród osób czujących się Niemcami największy odsetek stanowią osoby powyżej 65. roku życia, w przeciwieństwie do pokolenia najmłodszego (do 35. roku życia), wśród którego identyfikacja niemiecka jest najmniejsza.

Badacze odczytują te trendy jako niepokojące. „Niski odsetek autoidentyfikacji niemieckiej i niski odsetek osób wskazujących język niemiecki jako mowę ojczystą są niekorzystnym zjawiskiem dla spójności i ciągłości grupowej mniejszości niemieckiej w województwie opolskim oraz pielęgnowania niemieckiej tożsamości wśród jej członków” – czytamy w raporcie. Socjologowie przewidują dalszy proces regresu organizacyjnego i demograficznego grupy.

Tym bardziej ważne są takie kampanie jak „Mniejszość Niemiecka ma wartość”!



kierowane do samych jej członków, jak i polskiej większości. Jej celem jest pokazanie, że bycie częścią mniejszości narodowej jest czymś wyjątkowym. Dowody to konkretne historie.



ADAM LISZKA / TSKN

Obok wspomnianej Elisabeth Kamy poznajemy m.in. **Zuzannę Herud** (na zdjęciu powyżej), wokalistkę i animatorkę kultury z Dobrej w powiecie krapkowskim. Tożsamość niemiecką promuje dzięki piosenkom wykonywanym właśnie w języku swoich przodków. – Nikt ze mną nie mówił po niemiecku, jednak oglądałam dużo niemieckiej telewizji – odpowiada, pytana, jak nauczyła się języka. Za namową dziadka wstąpiła do zespołu Heimattreu, w którym większość stanowiły osoby po 80. roku życia. – Dzieci się śmiały, bo śpiewałam ze starymi babkami, a że po niemiecku, to już pośmiewisko

Realizacja kampanii „Mniejszość Niemiecka ma wartość” jest możliwa dzięki dotacji Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji, Federalnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Budownictwa i Ojczyzny oraz Urzędu Marszałkowskiego Województwa Opolskiego.



www.mnmawartosc.skgd.pl



Ministerstwo
Spraw Wewnętrznych
i Administracji



JOANNA HASSA / TSKN

Pielgrzymka Mniejszości Narodowych na Górę św. Anny, 2016 r.

totalne. Pomyślałam, że takim czymś nie można się przejmować – opowiada Zuzanna Herud.

Obecnie sporo koncertuje, choć nie kryje, że czasem bywa ciężko. – Były sytuacje, że występowałam i mówiłam po niemiecku, a ktoś przyszedł pod scenę i zaczął przeklinać, mówić językiem nienawiści – opowiada. – Są osoby, które wciąż myślą, że mniejszość niemiecka to zbrodniarze. Myślę w kategoriach przedwojennych, porównuję nas do złych Niemców, nazistów. A my jesteśmy ludźmi, którzy tu zawsze mieszkali, którzy byli Ślązakami i Niemcami ze względu na granice, wciąż przesuwające się bez wpływu mieszkających na tych ziemiach osób.

Niestety, przejawy dyskryminacji widać w statystykach. Choć 75 proc. badanych deklaruje, że nie byli gorzej traktowani z powodu niemieckiego pochodzenia, to jednak oznacza, że co czwarta osoba takich nieprzyjemności doświadczyła. Gorsze traktowanie najczęściej przejawia się w dyskryminacji słownej – wyzwiskach, wyśmiewaniu, a nawet groźbach – także w szkole i na studiach. 19 proc. badanych wskazało, że z powodu niemieckiego pochodzenia byli pomijani przy okazji awansów w miejscach pracy.

Z trudnościami członkowie mniejszości niemieckich niestety muszą mierzyć się nawet realizując kampanię promującą swoją działalność. Latem Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców na Śląsku Opolskim przygotowało w Muzeum Śląska Opolskiego wystawę z portretami działaczy mniejszości i planszami informacyjnymi o swojej aktywności. Działacze partii Solidarna Polska oskarżyli organizację, że w ten sposób prowadzi kampanię wyborczą za publiczne pieniądze w publicznej instytucji.

– Chcieliśmy pokazać, że obywatele polscy w swej codziennej działalności, z własnej woli dbają o kulturę, która stanowi dziedzictwo niemieckie i jest

Spotkanie przedstawicieli Mniejszości Niemieckiej z prezydentem Niemiec Frankiem-Walterem Steinmeierem, 2018 r.
Od lewej: Rafał Bartek, Damian Stefaniak, Marcin Lipka, Bernard Gaida i prezydent.

■ Materiał powstał we współpracy z Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym Niemców na Śląsku Opolskim



© BUNDESREGIERUNG/STEINS

bardzo cenna dla regionu – odpierał zarzuty Rafał Bartek, przewodniczący TSKN. – Gdyby ci ludzie nie dbali o swoją tożsamość, język i kulturę, nie byłoby tego atutu regionalnego w postaci kompetencji kulturowej i językowej. A co za tym idzie, nie byłoby też firm z niemieckim kapitałem, które tutaj postanowiły inwestować tylko dlatego, że poszukiwały pracowników niemieckojęzycznych. Warto spojrzeć na to w ten sposób, a nie szukać afery tam, gdzie jej nie ma. Tym bardziej że ta kampania jest od dwóch lat wspierana przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji.

Jeden z portretów przedstawiał Łukasza Jastrzebskiego, burmistrza gminy Leśnica. Dlaczego ma poparcie mieszkańców? – Bo ma odwagę przyznawać się do swoich korzeni i poglądów – ocenia Helmut Paisdzior, poseł na Sejm Mniejszości Niemieckiej w latach 1991–2005. Sam burmistrz Jastrzebski podkreśla, że choć jest członkiem mniejszości, to po wyborach reprezentuje wszystkich mieszkańców Leśnicy.

Leśnica jest jedną z 300 gmin w Polsce, które przyjezdnych witają dwujęzycznymi tablicami przy drodze. Choć czasem takie znaki są ofiarami aktów wandalizmu, to jednak burmistrz przyczyn upatruje bardziej w ogólnopolskiej polityce niż w lokalnych niesnaskach. W Leśnicy jest też miejsce szczególne. To na terenie gminy znajduje się Góra św. Anny, a na niej zakon franciszkanów. Łukasz Jastrzebski wskazuje to miejsce jako wyjątkowe w kontekście relacji polsko-niemieckich. – Góra św. Anny to symbol polityczny i narodowościowy. To takie miejsce, gdzie na przestrzeni ostatnich setek lat, obojętnie które państwo rządziło, chciało je wykorzystać jako symbol: My tutaj jesteśmy – podsumowuje Jastrzebski.

Gefördert durch:



URZĄD MARSZAŁKOWSKI
Województwa Opolskiego



Sozial-Kulturelle Gesellschaft der Deutschen im Oppelner Schlesien
Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców na Śląsku Opolskim

aufgrund eines Beschlusses
des Deutschen Bundestages

NOBLE 2020

Dowód na istnienie czarnych dziur, pokonanie groźnego wirusa i rewolucyjna metoda edycji genów.
Tegoroczne nagrody przypominają światu, że nauka ma wielką moc.

Zwycięska sztafeta

BARTOSZ KABAŁA

Harvey J. Alter, Charles Rice oraz Michael Houghton otrzymali Nagrodę w dziedzinie fizjologii i medycyny za odkrycie wirusa zapalenia wątroby typu C.

ZA MOŻLIWĄ PRZYCZYNĘ ZAPALENIA WĄTROBY UZNANO WIRUSA już w latach 40. ubiegłego wieku. Rozróżniono wówczas dwie formy transmisji patogenu – przez wodę i żywność oraz przez krew. Stąd wynikają nieco archaiczne nazwy, jak „żółtaczka pokarmowa” i „wszczepienna”. Wirus zapalenia wątroby typu B (czyli HBV), odkryty w 1965 r. przez Barucha Blumberga (nagrodzonego później Noblem), przenosi się przez krew i wywołuje zapalenie wątroby w postaci ostrej i (początkowo klinicznie niemej) przewlekłej, która, nierozpoznana, prowadzi do marskości wątroby, raka z komórek wątroby i śmierci. Wirus „pokarmowy” (HAV) odkryty został w 1973 r. Ten typ nie prowadzi do przewlekłego zapalenia, dlatego jest znacznie mniej niebezpieczny.

Ponieważ HBV przenosi się przez krew, wirusowe zapalenie wątroby było częstym powikłaniem przy transfuzjach. Po wyeliminowaniu z grona dawców osób zakażonych HBV liczba przypadków spadła, ale tylko o 20 proc. Musiała zatem istnieć jakaś inna przyczyna choroby, zwanej wówczas „zapaleniem wątroby nie-A, nie-B” (NANBH). Tym zagadnieniem zajął się Harvey Alter, były współpracownik Blumberga. To Alter w latach 70. dowiódł, że przyczyna tego powikłania musi być zakaźna i prawdopodobnie wirusowa, ponieważ wprowadzenie krwi pobranej od osób chorych na NANBH wywoływało identyczne objawy u szympanów.

POSZUKIWANIA W BIBLIOTECE Domniemany wirus nowego typu pozostawał nieuchwytny. Dostępne w latach 70. metody nie dawały szans na jego wykrycie. Przełomowe miały się okazać badania prowadzone przez Michaela Houghtona,

rozpoczęte prawie dekadę po odkryciach Altera. Houghton korzystał z nowocześniejszych metod molekularnych, z tzw. bibliotek komplementarnego DNA (cDNA). Tworzenie takiej biblioteki polega na wyizolowaniu z danego materiału (w tym przypadku krwi chorych na NANBH szympanów) cząsteczki RNA, przekształceniu jej w cDNA, a następnie stworzeniu wektora, czyli takiej cząsteczki, która może pomnażać się w innej komórce i tworzyć w niej białka.



Harvey J. Alter, Michael Houghton and Charles M. Rice

Krew szympanów była koktajlem ogromnej ilości różnego rodzaju cząsteczek RNA, dlatego praca nad wykryciem takiego materiału genetycznego, który nie należał do szympana, ale do domniemanego wirusa, była niezwykle czasochłonna. Wyizolowane cDNA wprowadzano do komórek bakterii, które produkowały zapisane w materiale genetycznym białka. Następnie kolonie bakteryjne zalewano surowicą pacjentów chorych na NANBH, licząc na to, że znajdują się tam przeciwciała przeciwko nieodkrytemu wciąż wirusowi. Houghton przebadł łącznie milion takich kolonii. W końcu znalazł wirusowe białka – a wraz z nimi przeciwciała.

Istnienie wirusa HCV stało się pewne. Houghton, jakby mimochodem, stworzył również test świadczący o infekcji wirusem HCV, co pozwoliło w prosty sposób połączyć no-

sicielstwo wirusa u dawców krwi z wystąpieniem choroby u biorców. Ostatecznych dowodów dostarczył trzeci z noblistów. Charles Rice przeprowadził szereg eksperymentów na szympanсах (tylko ludzie i te małpy mogą się zarażać HCV), którym podał genetycznie zmodyfikowanego wirusa. Wywołało to oczekiwaną chorobę, a z badania płynął wniosek, że za jej rozwój samodzielnie odpowiadał podany patogen.

KU POKRZEPIENIU Nagrody Nobla zawsze są okazją, by przypomnieć, że we współczesnej nauce jedno odkrycie prowadzi do następnego. Bez przełomowych badań trójki tegorocznych noblistów i ich zespołów nie byłoby kolejnych sukcesów światowej medycyny. Odkrycie wirusa i stworzenie testów serologicznych (opartych na obecności przeciwciał) pozwoliło dopracować do perfekcji transfuzjologię. Dziś ryzyko infekcji HCV związane z przetoczeniem krwi jest minimalne i stanowi mniej niż 0,0001 proc.

Osiągnięcia nagrodzonych naukowców uitorowały także drogę do stworzenia nowych terapii dla pacjentów zakażonych wirusem HCV. Od 2013 r. dostępne są tzw. leki bezpośrednio działające na wirusa, których skuteczność sięga blisko 100 proc. Jeden z takich leków – sofosbuvir, opracowany przez Michaela Sofię w 2007 r., uderza wprost w mechanizm namnażania się wirusa.

Do niedawna przewlekłe wirusowe zapalenie wątroby typu C było trudną do wyleczenia i opanowania chorobą, której postęp nieuchronnie prowadził do niewydolności tego organu i śmierci. Obecnie z zakażeniem HCV boryka się od 65 do 85 mln osób, a na wywołaną przez niego chorobę umiera tyle samo ludzi co na AIDS. Zatem problem wciąż jest palący, bo choć z wirusem umiemy już walczyć, nie zawsze udaje się go wykryć na czas.

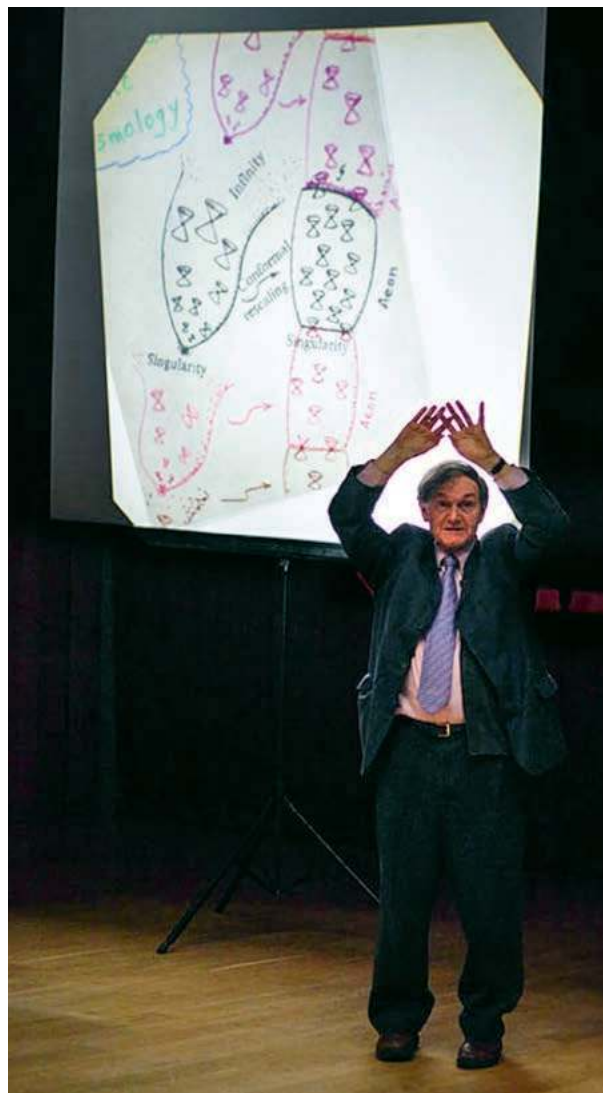
Najskuteczniejszym orężem w tej walce byłaby szczepionka, ale prace nad nią się przeciągają. HCV jest niezwykle zróżnicowany. Wirus chętnie mutuje, a w różnych rejonach świata ma różne genetyczne oblicza. Jeśli szczepionka powstanie, także i ona będzie pokłosiem badań naukowców nagrodzonych w tym roku medycznym Noblem. Bo nauka to sztafeta, czasem pokoleniowa. Warto o tym pamiętać, nawet gdy w obliczu pandemii chcemy i potrzebujemy tego, by była rekordy prędkości. ©

Kosmos pełen osobliwości

TOMASZ MILLER

W dziedzinie fizyki Nagrodę otrzymali Roger Penrose, Reinhard Genzel i Andrea Ghez, którzy przekonali świat o realności czarnych dziur.

WYOBRAŹMY SOBIE KULISTE CIAŁO NIEBIESKIE. MOŻE TO być gwiazda lub planeta. Ogólna teoria względności głosi (a precyzyjne pomiary to potwierdzają), że przestrzeń wokół takiego ciała ulega niewielkiemu odkształceniu, a upływ czasu nieznacznie spowalnia. Zaczniemy teraz



Roger Penrose opowiada o cyklach czasu w ramach Copernicus Center Lecture 2010. Auditorium Maximum UJ, Kraków.

zmniejszać promień tej kuli, zagęszczając jej masę w coraz mniejszym obszarze. Zgodnie z równaniami teorii Einsteina deformacja przestrzeni i czasu będzie stopniowo przybierać na sile. Gdy zejdziemy poniżej pewnej krytycznej wartości promienia, zwanej promieniem Schwarzschilda, kierunek upływu czasu wypaczy się tak bardzo, że nabierze on cech przestrzennych i zacznie płynąć ku środkowi naszej supergęstej kuli. Wreszcie, gdy promień spadnie do zera, otrzymamy obiekt zbudowany z czystej grawitacji, z wnętrza którego nic – nawet światło – nie może się wydostać. Co więcej, w jego centrum ziele tak zwana osobliwość, w której czas dosłownie się kończy, przestrzeń traci sens, a znane prawa fizyki kompletnie się załamują.

Czarne dziury wysnuto z równań ogólnej teorii względności już kilka tygodni po jej opublikowaniu przez Einsteina. W świetle powyższego opisu nietrudno jednak zrozumieć, że szybko uznano je tylko za matematyczny wybrzyk tych równań; za niezbyt znaczącą nadinterpretację teorii. Zmieniło się to dopiero dzięki pracy tegorocznych noblistów. ➔

➔ **NIE PYTAJ, WYKRYJ** W roku 1965 Roger Penrose opublikował artykuł pt. „Kolaps grawitacyjny i osobliwości czasoprzestrzenne”, który przez wielu fizyków uznawany jest za najważniejszy wkład do ogólnej teorii względności od czasów Einsteina. Brytyjski uczony wprowadził w nim cały arsenał potężnych narzędzi matematycznych, które pozwoliły analizować zawiłe równania pola grawitacyjnego na zupełnie nowe sposoby i rozwiązywać problemy, wobec których dotychczasowe metody były bezsilne.

Takim problemem była grawitacyjna zapaść starych, masywnych gwiazd, którym „wyczerpało się paliwo”. Astrofizycy od ponad 20 lat spierali się bowiem, czy kolaps rzeczywiście może doprowadzić do powstania osobliwości. Taki scenariusz zdawał się wynikać z modelu opracowanego jesz-

prędkości światła przez gigantyczne czarne dziury o masach rzędu milionów, a nawet miliardów mas Słońca. Obiekty te znajdowały się jednak zbyt daleko, aby można było im się lepiej przyjrzeć. Niemniej, skłaniały one do przypuszczenia, że nasza Galaktyka także kryje w swoim jądrze uśpiony kwazar. Podejrzenia padły na odkryte w 1974 r. silne radioźródło znane jako Sagittarius A* (Sgr A*), położone 25 tys. lat świetlnych od Ziemi w samym środku Drogi Mlecznej.

W latach 90. dwa zespoły astronomów – jeden kierowany przez Niemca Reinharda Genzela, a drugi przez Amerykankę Andreę Ghez – zaczęły niezależnie przyglądać się jądro naszej Galaktyki w bliskiej podczerwieni, po drodze przezwyciężając cały szereg problemów koncepcyjnych i technicznych. Prowadząc żmudne, kilkunastoletnie obserwacje otoczenia Sgr A*, dokładnie przeanalizowali ruch znajdujących się tam gwiazd i wykreślili ich orbity. Stwierdzili, że wszystkie te ciała niebieskie krążą wokół obiektu pokrywającego się z tajemniczym radioźródłem i że obiekt ten musi mieć masę, bagatela, 4 mln mas Słońca. Ponadto, niektóre orbity okazały się tak ciasne, że cała ta ogromna masa skupia się w obszarze o rozmiarach Układu Słonecznego. Udało się też jednoznacznie ustalić, że mamy do czynienia z pojedynczym, zwartym obiektem, a nie np. z gromadą mniejszych ciał.

Współczesna astrofizyka zna tylko jedno wyjaśnienie powyższych faktów – w centrum naszej Galaktyki (a najpewniej też wielu innych galaktyk) czai się supermasywna czarna dziura.

Czarne dziury są tak niewiarygodnymi tworam, że musiały być odkrywane wielokrotnie, poprzez stopniowe rozwiewanie wątpliwości, tak teoretycznych, jak i obserwacyjnych. Choć wiemy już, że istnieją, wciąż kryją przed nami wiele tajemnic. To pierwsza Nagroda Nobla przyznana za badania czarnych dziur, ale z pewnością nie ostatnia. ©

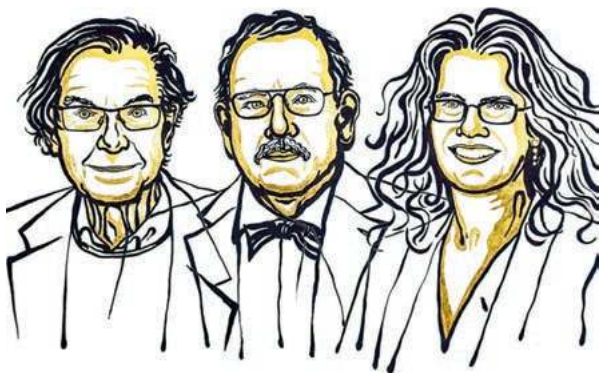
Bezcenne nożyczki

MIROSŁAW DWORNICZAK

Francuzka Emmanuelle Charpentier i Amerykanka Jennifer A. Doudna otrzymały Nagrodę w dziedzinie chemii za rozwój nowoczesnych i precyzyjnych metod edycji genomu.

MANIPULACJE GENAMI, CZYLI – NA POZIOMIE MOLEKULARNYM: zmiany w strukturze DNA lub RNA, nie są niczym nowym. Już kilkadziesiąt lat temu biochemicy i biotechnolodzy prowadzili takie działania, ale robili to nieco na ślepo. Dzięki badaniom tegorocznych noblistek, które opracowały metodę znaną jako CRISPR/Cas9, genetyczne manipulacje zyskały na precyzji – co otwiera drogę do mnóstwa medycznych, wręcz rewolucyjnych, zastosowań. O tej metodzie na tych łamach pisaliśmy wielokrotnie (np. kilka tygodni temu Anna Bartosik, „TP” 36/2020). Nobel za nią nie jest żadnym zaskoczeniem, choć można się zastanawiać, czemu przyznano go w dziedzinie chemii, a nie medycyny i fizjologii. Ale we współczesnej nauce często trudno wytyczyć granice między jej dziedzinami. Zresztą decyzja Komitetu No-

NIKLAS ELMHED / NOBEL MEDIA



Roger Penrose, Reinhard Genzel i Andrea Ghez

cze przed wojną przez Roberta Oppenheimera i jego studenta Hartlanda Snydera. Model ten jednak powszechnie krytykowany jako nazbyt wyidealizowany – aby uniknąć zawiłych równań, założono w nim, że wypalona gwiazda to idealnie symetryczny, nieobracaający się obłok gazu. Nie było żadnej gwarancji, że burzliwa agonia rzeczywistej gwiazdy nie kończy się zupełnie inaczej, a powstanie osobliwości nie jest równie nieprawdopodobne jak rzut monetą, która staje kantem.

Metody wypracowane przez Penrose’a pozwoliły mu zaatakować problem grawitacyjnej zapaści w pełnej ogólności, bez żadnych założeń na temat symetrii. Udowodnione przez niego tzw. twierdzenie o osobliwościach stanowi, iż formowanie się czarnych dziur jest ściśle, matematyczną konsekwencją równań ogólnej teorii względności. Jeśli uznajemy te ostatnie za poprawnie opisujące świat, to pojawianie się osobliwości wskutek kolapsu dostatecznie masywnych gwiazd jest logicznie nieuniknione. Kosmos powinien być pełen czarnych dziur.

Dzięki Penrose’owi praktycznie przestano pytać, czy czarne dziury istnieją. Odtąd zaczęto się zastanawiać, jak je wykryć.

JĄDRO CIEMNOŚCI Pierwsze poszlaki obserwacyjne pojawiły się już wtedy, gdy Penrose pracował nad swoim dowodem. Odkryto wówczas tzw. kwazary – potężne źródła promieniowania bijące w jądrach odległych galaktyk. Natura kwazarów przez lata pozostawała zagadką, ale z czasem ugruntowała się hipoteza, że są one efektem rozpędzania materii niemal do



Emmanuelle Charpentier i Jennifer A. Doudna

blowskiego jest całkiem sprytna: nic nie stoi na przeszkodzie, by w przyszłości autorom konkretnych terapii opartych na metodzie CRISPR/Cas9 przyznawać Nobla z medycyny.

ŻYCIE Z GENÓW Przypomnijmy: metoda CRISPR/Cas9 opiera się na mechanizmie immunologicznym występującym m.in. u niektórych bakterii. To ewolucyjnie bardzo stary system, ale jego naukowa historia zaczyna się w latach 80. XX w., gdy w łańcuchach DNA bakterii zaobserwowano pewne specyficzne powtarzające się sekwencje. Stwierdzono następnie, że te wielokrotnie powielone fragmenty genomu poprzedzają kawałki materiału genetycznego bliźniaczo podobne do tych, które spotykamy u rozmaitych wirusów. Podobieństwo nie było przypadkowe: okazało się, że bakterie kopiują i „wszywają” pomiędzy swoje własne geny materiał genetyczny wirusów. Po to, żeby organizm bakterii (a nawet jej potomstwo, które odziedziczy te same geny) mógł później łatwo wykryć kolejną infekcję i jej przeciwdziałać – roznosząc intruza na kawałki. Taka genetyczna „baza wirusów” to właśnie CRISPR, z kolei Cas9 to białkowy enzym działający jak nożyczki. Tegoroczne noblistki przyczyniły się do zrozumienia, jak cały system działa, a także jako pierwsze nauczyły się precyzyjnie go wykorzystywać.

Gdy Charpentier zaczynała badania nad mechanizmem immunologicznym niezwykle niebezpiecznej dla człowieka bakterii *Streptococcus pyogenes*, nie słyszała jeszcze o CRISPR, ani nie mogła przewidzieć, do jak uniwersalnego narzędzia doprowadzą ją kolejne odkrycia. Początkowo chodziło jej przede wszystkim o znalezienie antybiotyku zdolnego do zniszczenia patogenu. Z czasem jednak zainteresowała się genami CRISPR, a nawet zidentyfikowała nowy rodzaj materiału genetycznego, tzw. *tracrRNA*, który odgrywa ważną rolę w całym mechanizmie „wszywania” wirusowych genów.

Jennifer Doudna w tym czasie zajmowała się badaniami genów towarzyszących CRISPR – tzw. genów cas (skrót od *CRISPR-associated*). Zauważyła, że są one podobne do genów, które kodują białka wykorzystywane do prowadzenia rozmaitych reakcji z udziałem DNA. Zaświtała jej więc myśl, że to właśnie białka Cas – produkt ekspresji genów cas – odgrywają rolę molekularnych nożyczek, atakujących genom wirusów.

PONAD OCEANEM Tegoroczne laureatki po raz pierwszy spotkały się w 2011 r. w kawiarni w Puerto Rico, podczas konferencji naukowej. Nawiązały wówczas współpracę, w dużej mierze zdalną, ze względu na odległości, jakie dzieliły ich uczelnie (Doudna pracowała na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, Charpentier – na Uniwersytecie Umeå w Szwecji). Wkrótce zaczynają wspólnie lepiej rozumieć, a potem upraszczać i usprawniać podglądnięty u bakterii mechanizm: wykorzystując cząsteczkę „przewodnika” (*guide RNA* lub krócej: *gRNA*), która kieruje enzym *Cas* dokładnie tam, gdzie ma dojść do cięcia.

Kluczowa publikacja obu autorek ukazała się już w 2012 r. (jej współautorem jest Polak, biolog Krzysztof Chyliński). Od tego czasu nazwa CRISPR/Cas9 pojawia się w tysiącach artykułów naukowych. Dzięki nowej, taniej i stosunkowo łatwej w użyciu metodzie naukowcy zaczynają lepiej rozumieć funkcjonowanie poszczególnych genów i interakcje pomiędzy nimi, a także korzystają z niej w modyfikacjach genomu innych organizmów – w tym człowieka. ©

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska
pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PODOBNI TYLKO DO SIEBIE

IWAN KRASTEW, POLITOLOG:

Jeśli przyjmujesz, że cynizm i zła wola są fundamentem działania ludzi, to przestajesz rozumieć, co się dzieje, bo nie wierzysz absolutnie nikomu.

DARIUSZ ROSIAK: Po wyzwoleniu z komunizmu uznaliśmy, że nie ma przed nami innej drogi jak naśladownictwo Zachodu. Normalność była dla nas gdzie indziej, a tu nie zostało nic wartego zachowania. Dlaczego to jest dzisiaj takie ważne?

IWAN KRASTEW: Naśladownictwo jest obecne w społeczeństwach od zawsze. Każdy z nas naśladuje innych – w ten sposób przecież się uczymy. Specyfika 1989 roku polegała na tym, że to wtedy zakończył się konflikt między dwiema uniwersalistycznymi ideologiami, które postawiły sobie za cel przekształcenie świata według własnego modelu. I jedna z tych ideologii – sowiecki komunizm – upadła. Bo od początku zimnej wojny były do wyboru dwie drogi do nowoczesności: sowiecka i zachodnia. Po 1989 r. została jedna.

Demokratyczny liberalizm stał się więc synonimem nowoczesności. Nie chodziło o to, że za 10 czy 20 lat wszystkie kraje miały wyglądać jak Niemcy czy USA. Ale pokomunistyczne społeczeństwa posta-

wiły sobie za cel naśladowanie Zachodu – jego instytucji, rozwiązań prawnych, zwyczajów, stylu życia – bo to była jedyna droga do tego, żeby stać się nie tylko „nowoczesnym”, ale też „normalnym”.

W książce „Światło, które zgasło” nawiązuje Pan, razem ze Stephenem Holmesem, współautorem, do idei „Końca historii” Fukuyamy, z tym że nie wyśmiewacie go, jak to jest teraz w zwyczaju. Takie podejście jest bliskie wielu ludziom, którzy świadomie przeżyli rok 1989. Całe nasze życie fundamentalnie się zmieniło – dla mnie i moich rówieśników to naprawdę był koniec historii.

Dla nas – w 1989 r. miałem 24 lata – to był rzeczywiście nowy świat. I wydawało nam się, że wiemy, jak nasz świat będzie wyglądał za 20-30 lat. W gruncie rzeczy niewiele wiedzieliśmy o Zachodzie, bo przecież nie podróżowaliśmy. Obraz Zachodu był tylko w naszej wyobraźni. I jeszcze jedna ważna rzecz: naśladowa-

liśmy pewien model, ale ten model się zmieniał. W 1989 r. Zachód był zdominowany przez konserwatystów, jeszcze przyznawał się do chrześcijańskich korzeni, był znacznie mniej liberalny obyczajowo. Teraz Zachód jest zupełnie inny, rok 1989 zmienił przecież nie tylko Wschód, ale i Zachód.

Fukuyama nie twierdził, że kończy się historia jako taka. On po prostu zauważył, że liberalna demokracja staje się punktem odniesienia dla



TOMASZ KANIEWSKI / BEW



Jubileuszowe przedstawienie „Metra”, Teatr Dramatyczny w Warszawie, styczeń 2011 r.

większości społeczeństw na świecie. Niektórzy uważają, że Zachód po 1989 r. po prostu skolonizował po-komunistyczny Wschód. Panowie nie zgadzają się z tą opinią.

To nie była kolonizacja. Nikt na nas nie najeżdżał, nikt nas nie zmuszał. Sami zdecydowaliśmy, że chcemy być jak Zachód. Tylko nie zwróciliśmy uwagi, że w naśladownictwie – także podjętym z własnej woli – występuje relacja siły. Zachód był silniejszy od Wschodu i tej siły używał.

Panów zdaniem obecna popularność partii populistycznych wyrasta z poczucia upokorzenia, które zawsze wiąże się z byciem naśladowcą. I tu wchodzi na scenę Orbán czy Kaczyński i mówią: my Polacy, my Węgrzy mamy być podrzędni wobec Niemców czy Francuzów? Nigdy!

Wielu komentatorów szuka korzeni wzrostu populizmu w gospodarce. Transformacja stworzyła nową biedotę, do tego doszedł kryzys finansowy i na tym zerały partie populistyczne. No ale np.

w Polsce takie tezy nie mają sensu. Macie najszybciej rozwijającą się gospodarkę w Europie. Wszystkim – także najbardziej – dzisiaj żyje się znacząco lepiej niż w 1989 r. To jest krytycznie ważne, dzisiaj uważam nawet, że niewystarczająco podkreślamy ten argument w książce.

Jednym z kolosalnych błędów liberałów jest przekonanie, że rynek ukarze populistów. Jak widać nie karze. Nie tylko notując wzrost gospodarczy, ale też nie widać, żeby zachodnie firmy wycofywały →

→ się z Polski. PiS niszczy instytucje, zwłaszcza tak ważny dla przedsiębiorców wymiar sprawiedliwości, stosuje nacjonalistyczną retorykę i propagandę. Można by oczekiwać, że inwestorzy z Polski uciekną, ale tak się nie dzieje. Wielką iluzją liberałów okazało się przekonanie, że populiści pogrążą się własną polityką gospodarczą. Sondaże wskazują, że ponad 70 proc. Polaków jest zadowolonych z życia. Na PiS nie głosują ofiary systemu, nieudacznicy, ludzie bez perspektyw.

To może chodzi o kulturę? O tożsamość? O to, kim jesteśmy i kim mamy być?

Chodzi o tożsamość i o to, po której stronie barykady stoimy w wojnie kulturowej. Jednak to też nie jest takie proste. Niektórzy wskazują, że Polska wraca do swojej tradycji międzywojennej, albo jeszcze dawniejszej. Ale w Czechach, na Słowacji, na Węgrzech żyją zupełnie inne społeczeństwa. Czechy to najbardziej zeświecczony kraj w Europie. Co to ma wspólnego z Polską? Europa pokomunistyczna nie jest jednym organizmem, te kraje obecnie znacznie więcej dzieli, niż łączy. A jednak w wielu z nich populiści rządzą. Dlaczego?

Wracam do pojęcia naśladownictwa. Jeśli kogoś naśladowuję, nawet z własnej woli, to przyjmuję ciche założenie, że jestem gorszy niż ten, którego naśladowuję. Orbán czy Kaczyński powiedzieli: dosyć tego. Nie jesteśmy gorsi, a zwłaszcza: wy nie jesteście lepsi. Teraz to wy macie nas naśladować, my jesteśmy modelem i punktem odniesienia. Orbán i Kaczyński trafiają tutaj w oczekiwania ludzi, którzy czują się upokorzeni faktem, że od 1989 r. traktowani są przez Zachód jak Europejczycy drugiej kategorii. Przy najmniej tak postrzegają swoje doświadczenie. Czują, że Zachód ich nie szanował. I chcą go za to ukarać.

Do tego ich partie mają legitymizację w postaci wyborów.

I to kolejna kluczowa sprawa: uznają niczym nieskrępowane rządy większości. Każde ograniczenie tych rządów traktowane jest jako przeszkoda na drodze do autentycznej zmiany. Rozdział władzy, niezależność banku centralnego czy sądów – to wszystko może przeszkadzać woli większości, choćby minimalnej. I moim zdaniem główne przesłanie Jarosława Kaczyńskiego brzmi: „Chcesz, żeby

Zdecydowana większość Polaków ceni sobie rządy prawa.

W tym również wyborcy PiS.

Jednak nie przestaną oni głosować na PiS, bo wierzą, że największym zagrożeniem dla nich samych jest zwycięstwo opozycji.

w Polsce było lepiej? Oddaj nam całą władzę. Przez 30 lat żyłem w systemie, w którym można było zmieniać rządy, ale polityka pozostawała taka sama”.

On to nazwał „imposybilizmem prawnym”.

Inna ważna rzecz: populizmy lat 30. miały charakter pedagogiczny. Komuniści i faszyci chcieli stworzyć nowego człowieka. Obecnie partie populistyczne przeciwnie, mówią: „Nie chcemy cię zmieniać, pozostań sobą. To oni chcą cię zmienić – ci z Brukseli. My cię przed nimi obronimy. Im bardziej jesteś wsteczny, tym lepiej. Nie musisz być zwolennikiem aborcji, małżeństw jednopłciowych ani imigrantów. Możesz pozostać sobą – i tak cię akceptujemy. Wystarczy nam, że jesteś »prawdziwym Polakiem«”.

Wojna kulturowa jest najbardziej żywym polem rekrutacji partii populistycznych.

Bo żyjemy w świecie spolaryzowanym. Demokracja obywateli zmienia się w demokrację płotu. Ludzie traktują partie jak kibice piłkarscy swój klub. Kiedy twój klub wygrywa, nie zyskujesz na tym materialnie, kiedy przegrywa – nie tracisz pieniędzy. Tylko że w ogóle nie o to chodzi. Chodzi o twoje poczucie przynależności: życie jest piękniejsze, kiedy twój klub wygrywa, i brzydsze, kiedy przegrywa. Wolisz też przegrać i płakać ze swoją drużyną latami, niż świętować sukces innej, mimo że logicznie nie ma to sensu. I jeszcze jedno: jeśli twoja drużyna przegrywa, to ktoś inny jest winny. Sę-

dzia źle gwizdał albo sfaulowali twojego najlepszego gracza. Albo padał deszcz, kiedy miał nie padać. Tę kibicowską mentalność we współczesnej polityce uważam zresztą za niezwykle niebezpieczną. Cenne w demokracji jest to, że obywatel zmienia zdanie, kiedy rzeczywistość się zmienia.

W świecie spolaryzowanym należysz na stałe do pewnej wspólnoty politycznej i nie karzesz swoich liderów, nawet jeśli robią rzeczy, z którymi się zasadniczo nie zgadzasz. Na przykład jeśli poprzeć na sondażach, to zdecydowana większość Polaków ceni sobie rządy prawa. W tym również wyborcy PiS. Jednak nie przestaną oni głosować na PiS, bo wierzą, że największym zagrożeniem dla demokracji, jak również dla nich samych, jest zwycięstwo opozycji. Jeśli wygra opozycja, to będzie koniec demokracji. Moim zdaniem takie rozumowanie jest właśnie największym zagrożeniem dla demokracji.

Panów książka opisuje kilka modeli populizmu, ale pojęcie naśladownictwa jest w nich wspólne. W przypadku Putina jest to jednak naśladownictwo odwrócone, imitacja jest przez niego traktowana jako zemsta. Na czym to polega?

Sukces Putina polega na tym, że udało mu się zdelegitimizować porządek liberalny, nie przedstawiając w zamian żadnej alternatywy. Dokonał tego walcząc nie tyle z liberalizmem, co z hipokryzją liberalizmu. Jego główny argument głosi: „Niczym się od nas nie różnicie. Mówicie o wartościach, ale chodzi wam o interesy. Więc my będziemy zachowywać się w stosunku do was tak, jak wy zachowujecie się w stosunku do nas. W ten sposób zrozumiecie, jak puste i pretensjonalne jest wasze przekonanie o wyższości nad nami”. I oto Putin ogłasza aneksję Krymu, dosłownie niemal cytując amerykańską deklarację uznania suwerenności Kosowa. Wszystko da się uzasadnić potrzebą demokracji, samostanowienia, poszanowania praw człowieka. To jest tylko żonglerka przy pomocy słów, którym wcześniej odbiera się znaczenie.

Putin mówi: wszyscy są kłamcami, wszyscy są hipokrytami, wszyscy wykorzystują innych. My też jesteśmy tacy – ale pamiętajcie, że niczym nie różnimy się od was.

Pamięta pan, jak Putin zadeklarował, że na Krymie nie ma rosyjskich sił specjalnych? Politycy kłamią, ale zwykle robią to wtedy, kiedy mają szansę, że kłamstwo ujdzie im na sucho. Wywiady zachodnie znały nazwiska konkretnych Rosjan, którzy byli na Krymie, dziesięć dni później Putin wręczał im order. Więc po co kłamał, kiedy wszyscy wiedzieli, że kłamał? Po pierwsze po to, żeby powiedzieć: kłamię tak jak wy. Jak to było z bronią masowego rażenia w Iraku? Wywołałście wojnę opartą na kłamstwie, tysiące ludzi w niej zginęło. I teraz chcecie mnie pouczyć?

Po drugie kłamstwo służy także prowokacji. No dobra, kłamię. I co mi zrobicie? Wykazuję wam i światu, jak słabi jesteście. Nazywacie się potęgą, ale nie możecie mi nic zrobić.

Pewnie słyszał Pan o rzeczniku generała Jaruzelskiego w czasie stanu wojennego?

Jerzy Urban.

Urban robił dokładnie to samo 40 lat temu. On mówił: w Solidarności są awanturnicy, złodzieje, oportuniści, więc nie pouczajcie partii, na czym polega moralność. Wszyscy jesteśmy unurzani w szambie i niczym się od siebie nie różnimy. I jesteście większymi hipokrytami, bo nic nie mówicie o pieniądzach z CIA, które finansują Solidarność. W latach 80. wielu Polaków nienawidziło Urbana za takie podejście. Po 1989 r., stosując dokładnie te same argumenty, Urban założył pismo, które kupowały te same miliony Polaków.

W czasach komunizmu Urban mógł sobie mówić, że wszyscy są tacy sami, ale w tle było jednak powszechne założenie, że w przyszłości różnice wyjdą na jaw. Okaże się, że to my mieliśmy rację, nie on. Tymczasem Putin zabija oczekiwania ludzi. Demoralizacja jest częścią składową rządzenia, a cynizm fundamentalną wartością, na której to rządzenie się opiera. Problem z tym podejściem jest taki, że przestajesz rozumieć, co się naprawdę dzieje. Kiedyś rozmawiałem z rosyjskim wysokim urzędnikiem o Iraku. Powiedziałem mu: „No tak, oczywiście, że Amerykanie wszystko spieprzyli”. Na co on: „Nie no, skądże, nic nie spieprzyli. Im chodziło dokładnie o to, by zdestabilizować Bliski



MARCIN KALINSKI / PAP

IWAN KRASTEV (ur. 1965) jest bułgarskim politologiem, szefem Centrum Strategii Liberalnych w Sofii. Współzałożyciel think tanku European Council on Foreign Relations, związany z Instytutem Nauk o Człowieku w Wiedniu. Autor książek „Nadeszło jutro”, „Co po Europie”, „Demokracja nieufnych”.

Wschód. Amerykanie zawsze osiągają to, czego chcą, więc jeśli sprowadzili chaos i nędzę na miliony ludzi, widać o to im chodziło”.

Jeśli przyjmujesz, że cynizm i zła wola są fundamentem działania ludzi, to przestajesz rozumieć, co się dzieje, bo nie wierzysz absolutnie nikomu. Nie jesteś w stanie porozumieć się z nikim, bo zakładasz, że każdy chce cię oszukać. Putin tworzy świat, w którym brak zaufania stał się bronią polityczną. To na tym polega jego zemsta naśladowcy.

Wielu ludzi traktuje Donalda Trumpa jak troglodytę i prostaka, tylko to nie ma nic do rzeczy, kiedy patrzymy na skutki jego działań. Być może robi to przy pomocy czystej intuicji, ale zmiana jest fundamentalna. Jej podstawą jest zadeklarowanie, że Ameryka to największy przegrany globalizacji. Owszem, cały świat naśladował Amerykę przez ostatnie 30 lat, ale właśnie to dramatycznie osłabiło kraj. To głębokie i odważne spostrzeżenie.

Trump w wielu miejscach bardzo przypomina Putina. Po 1991 r. Zachód starał

się przekonać Rosjan, że wszyscy jesteśmy zwycięzcami. Rosjanom rozpadł się kraj, ale według Zachodu mieli oni się z tego cieszyć i budować u siebie liberalną demokrację. Na początku niektórzy nawet w to wierzyli, ale potem przyszła dekada Jelcyna, która okazała się nieszczęściem dla milionów Rosjan. Potem wybuchła wojna o Kosowo, przy okazji której zniknęły ostatki pozorów, że Zachód traktuje Rosję jak partnera. A potem przyszedł Putin i powiedział: wiecie co? Przez te wszystkie lata wasi liderzy was okłamywali. Nie należymy do obozu zwycięzców i nigdy nie należeliśmy. Przegraliśmy, ale mamy prawo do zemsty. Przekaz Trumpa jest podobny. On także poszedł do Amerykanów – nie liberalnych elit z Nowego Jorku, tylko zwykłych robotników, ludzi pracujących w usługach, bezrobotnych – i spytał: naprawdę czujecie się zwycięzcami? Wasze miejsca pracy poszły do Chin, wasze rodziny ledwo żyją, nikt was nie szanuje, mniejszości zaczynają dyktować białym, co mają robić. I co, będziecie głosować na ludzi, którzy wam mówią, że wygraliście na globalizacji? Powinnicie ich zniechęcić, bo to kłamcy.

Rozmawiamy w bardzo szczególnym momencie. Być może w styczniu ktoś inny będzie rządził Stanami Zjednoczonymi.

I właśnie to jest najważniejsze. Ewentualna przegrana Trumpa nie zmieni Ameryki. Wszyscy ci ludzie, którzy przyjęli jego przekaz, nie znikną. Siły i emocje, które wyzwolił Trump, zostaną. Dodajmy jeszcze jedno. Dla Trumpa naśladowca jest najgorszym konkurentem. Pyta: jeśli demokracja jest taka dobra, to dlaczego oddajemy ją za darmo? Jak to się stało, że oddaliśmy wszystkie swoje przewagi innym? Niemcy, których uratowaliśmy po wojnie, produkują lepsze samochody niż my, Chińczycy, których wpuściliśmy do wolnego świata, za chwilę wyprzedzą nas gospodarczo i militarnie. Jak mogliśmy być tacy głupi?

No to wróćmy do normalności i naśladownictwa. W Polsce popularna staje się teza, że w 1989 r. byli jacyś ekonomiści gotowi zrobić wszystko inaczej niż Leszek Balcerowicz, tylko „zostali zablokowani”. Mogliśmy wtedy zrobić wszystko tak, żeby nie było dziś u nas populistów.



→ Nie bardzo widzę sens tego typu rozważań. Okres po 1989 r. był wyjątkowym momentem i być może nie można było działać inaczej. A nawet jeśli by można, to skąd wiemy, jaka byłaby reakcja społeczna na odmienną politykę? Takie rozważania są jałowe. Błędem było natomiast to, że ideologia pod hasłem „nie ma alternatywy” przetrwała tak długo. Nawet kiedy było już jasne, że system jest ewidentnie wadliwy. W pewnym momencie w różnych miejscach na ziemi ludzie powiedzieli: trzeba to zmienić, *status quo* jest nie do utrzymania. Liberalowie prze-gapili ten moment. A przecież istotą liberalizmu jest pluralizm, przyjęcie, że możliwe są różne rozwiązania i niektóre są lepsze niż inne. Liberalizm nie polega na założeniu, że jest tylko jeden model, a każdy inny należy z góry odrzucać, bo „nie ma alternatywy”.

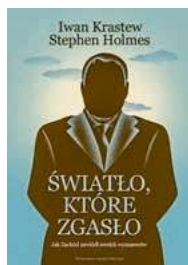
Nazywacie Panowie populizm „rewolucją korygującą”. Może liberałowie nie znoszą populistów dlatego, że ci czasem mają rację.

Absolutnie tak. Populizm może być ożywczy dla liberalizmu. Populizm zmusza liberałów do myślenia poważnie o przyszłości, która zawiera różne możliwości. Moim zdaniem to lepsze rozwiązanie niż tkwienie przez kolejne 10 lat w przekonaniu, że wszystko jest w porządku i tylko my mamy rację.

Czy spotkał się już Pan z zarzutami, że usprawiedliwiacie populizm?

Oczywiście, że niektórzy będą nas oskarżali o usprawiedliwianie Orbána, Kaczyńskiego, Trumpa i Putina, ale to nie jest takie ważne, trzeba z tym żyć. Zamykanie oczu albo ograniczanie się do emocjonalnych reakcji wobec populizmu szkodzi nam samym. Lepiej zrozumieć, niż tylko się oburzać.

© Rozmawiał DARIUSZ ROSIAK



**Iwan Krastew, Stephen Holmes
ŚWIATŁO, KTÓRE
ZGASŁO. JAK ZACHÓD
ZAWIÓDŁ SWOICH
WYZNAWCÓW,**
przeł. Aleksandra
Paszowska,
Krytyka Polityczna,
Warszawa 2020



Fire Festival 2019 – jeden z pierwszych festiwali muzycznych w grze „Minecraft”

Koncert, którego nie dało się wymarzyć

PAWEŁ PIENIAŻEK

Pandemia przyspieszyła przeniesienie wydarzeń muzycznych do świata gier. Wirtualne koncerty i festiwale zyskały nowych fanów, a show wygląda jak nigdy wcześniej.

PRZED WEJŚCIEM NA GOŚCI FESTIWALU czekała ubrana w dżinsowe ogrodniczki i białą bluzkę Tania, która wyjaśniała zagubionym uczestnikom, co to za miejsce i co można zobaczyć na imprezie. W pobliżu był kasjer, a przed bramą porządku pilnował policjant. Tania stała tuż obok XIV-wiecznej twierdzy w Kamieńcu Podolskim znajdującej się na liście UNESCO i uznawanej za jeden z siedmiu cudów Ukrainy.

Wewnątrz: atrakcje i kampanie informacyjne zorganizowane przez organizacje pozarządowe – o korupcji, ekologii, bezpiecznym seksie czy fake newsach. A także kawa, napoje i posiłki, które można było spożyć przy stolikach pod gołym niebem. Pod sceną żwawo wyginały się postaci, w tym wujek Jura, legendarny uczestnik festiwalu. Na estradzie występowały gwiazdy ukraińskiej muzyki, raperka alyona alyona czy Żadan i Sobaky.

A przed sceną stałem ja. Tak samo jak cały otaczający mnie świat, byłem zbudowany z sześcianów.

„Jesteśmy jedyną Republiką, w której COVID-19 nie przeszkodzi odczuwać

emocji i pełnowartościowego życia” – brzmiało hasło tegorocznej, 10. edycji ukraińskiego festiwalu RespublicaFest. I rzeczywiście, nie było tam śladu koronawirusa. W tym roku odbywał się w Kamieńcu Podolskim – odtworzonym w grze komputerowej.

Interakcja z fotela

Ukraina codziennie notuje kilka tysięcy przypadków zarażeń i w kraju obowiązują restrykcje. Z tego powodu organizatorzy RespublicaFest postawili na działania w internecie.

Dla Serhija Zajczenki i jego zespołu z organizacji pozarządowej Ogólnoukraiński Związek Wydarzeń Muzycznych było to nie lada wyzwanie. Zajmują się społeczną warstwą festiwali. Dbają, by można było na nich sortować śmieci, wydarzenia miały ekologiczny i inkluzywny charakter, a także byli na nich obecni przedstawiciele organizacji pozarządowych.

„Gdy rozpoczęła się pandemia i wszyscy przeszli do online’u, zrozumieliśmy, że realizować te społeczne aspekty w takiej formie będzie bardzo trudno – pisze

Zajczenko na jednym z komunikatorów internetowych. – Dlatego postanowiliśmy zrobić festiwal w grze. W końcu odbywa się w starodawnej i wielkiej fortecy, a to cudowna lokalizacja, którą można przenieść do internetu”.

Sukces świata sześciaków

Od razu zdecydowali się na „Minecrafta” ze względu na popularność tej gry, małe wymagania sprzętowe i ograniczony budżet. Została stworzona przez szwedzkie studio Mojang w 2009 r., a w 2014 r. za 2,5 mld dolarów nabył ją Microsoft. Mimo upływających lat „Minecraft” cieszy się ogromną popularnością. W maju bieżącego roku sprzedaż tej gry przekroczyła 200 mln kopii, tym samym zostawiając daleko w tyle takie tytuły jak „Grand Theft Auto V” czy „Tetris”. Co miesiąc gra w nią 126 mln osób. To najlepiej sprzedająca się gra komputerowa na świecie.

„Minecrafta” charakteryzuje bardzo prosta grafika, dzięki której obsługują ją nawet stare komputery, i otwarta forma rozgrywki. Gracz może budować z sześciaków dowolne konstrukcje od pojedynczych domów po całe miasta lub starać się przetrwać w automatycznie wygenerowanym świecie. W „Minecraftie” można też grać online, a tym samym spędzać czas razem ze znajomymi i przyjaciółmi. Stał się platformą, która zmienia pokolenie, a poza dobrą zabawą daje możliwości rozwoju wyobraźni, niezależnych i komercyjnych projektów z dziedzin tak różnych jak edukacja, sztuka nowoczesna czy dziennikarstwo.

„Minecraft” w pewnym sensie jest następcą klocków Lego, które stopniowo przestają być zabawą pełną wolnej ekspresji, a bardziej gotowymi zestawami ze znanych blockbustów. Tak, by złożyć je zgodnie z instrukcją i kupić kolejne. „Lego było kiedyś dużym pudłem klocków, brałeś je, rozsypywałeś na dywanie i składałeś z tego różne rzeczy. Właśnie tym jest »Minecraft«” – mówił w filmie dokumentalnym poświęconym tej grze z 2012 r. twórca gier Peter Molyneux.

Jak znaleźć profesjonalnego mincraftera?

Praca nad przeniesieniem festiwalu do „Minecrafta” trwała miesiąc. Zajmował się tym pięciorosowy zespół – trzy osoby odtwarzały twierdzę i jej okolice ze zdjęć i map 3D; jedna zajmowała się



Zapowiedź koncertu Travisa Scotta w grze „Fortnite”



Koncert w „Minecraftie” – twierdza w Kamieńcu Podolskim

stroną, serwerem i całym technicznym procesem; a ostatnia, czyli Zajczenko, tworzyła boty takie jak Tania, przygody i pozostałe elementy interaktywne. Robili taki projekt pierwszy raz, więc też nie obyło się bez problemów.

„Trudno było ocenić rozmiary. Pierwsza wersja fortecy okazała się być bardzo duża i gracze czuli się malutcy” – wspomina.

Musieli zbudować ją od nowa. Dużo czasu zajęło im też znalezienie odpowiednich nakładek na grę, które umożliwiłyby sprawne zorganizowanie zakładanych celów podczas festiwalu. Zajczenko przyznaje jednak, że najtrudniejsze było wyszukanie odpowiednich pracowników, bo to nietypowy sektor. Jak żartuje, na stronach internetowych z ofertami pracy nie ma kategorii „profesjonalny mincrafter”. „Nie wiedzieliśmy nawet, jak szukać takich osób w Google’u” – pisze Zajczenko.

Szukali wśród tych, którzy tworzyli własne serwery, nakładki, ale wiele z nich było dziećmi (w „Minecrafta” grają tak kilkulatkowie, jak i ludzie w średnim wieku). Wreszcie dyrektor festiwalu

przedstawił im chłopaka, który odtwarzał swoją ulicę w grze, dobrze znał jej mechanikę i ustawienia serwerów. To on pomógł znaleźć pozostałe osoby.

Artyści przyjechali do Kamieńca Podolskiego, gdzie czekała na nich roztawiona scena i obsługa festiwalu. Występowali na scenie, ale bez publiczności. Widzowie mogli oglądać ich na YouTube, wraz z zaproszonymi gośćmi kręcić się po festiwalu, a także samemu penetrować wirtualną scenerię. Ostatecznie do serwera RepublicaFest podłączano się 500 razy. Jak na pierwszy taki festiwal na Ukrainie, to niezły wynik.

„To są nowatorskie projekty, które po omacku szukają gruntu pod tego typu interaktywne masowe wydarzenia – przyznaje Zajczenko. – Myślę, że będziemy powtarzać to działanie w ramach RepublicaFest, nie zamykamy serwera i może stworzymy tam kilka nowych opcji”.

Rok przełomu

Jak zauważa dr Mateusz Felczak, groźnawca z Uniwersytetu SWPS, do uczestnictwa w takich wydarzeniach zachęca poczucie więzi emocjonalnej →

→ z innymi graczami; element zaskoczenia, który często wykracza poza klasyczne mechanizmy rozgrywki; a także nagrywanie relacji i dzielenie się nimi w mediach społecznościowych.

Pandemia to impuls rozwoju koncertów i festiwali w grach komputerowych, ale trend można było obserwować przynajmniej od zeszłego roku. W lutym 2019 r. odbył się koncert didżeja i producenta muzyki elektronicznej Marshmella. Wzięło w nim udział 10,7 mln użytkowników – był to rekord w historii „Fortnite’a”. To obok „Minecrafta” druga najpopularniejsza gra, w której organizowane są wydarzenia muzyczne.

– W 2019 r. nastąpił przełom, bo duzi gracze na rynku muzycznym zdecydowali się na takie inicjatywy i one szybko zyskały rozgłos – twierdzi Felczak.

Powstały w 2017 r. „Fortnite” jest jedną z najpopularniejszych gier typu *battle royale*. Gatunek zainspirowany jest japońską powieścią z lat 90. i jej filmową adaptacją o tym samym tytule. W trakcie rozgrywki do stu graczy zrzuconych jest z samolotu na wyspę pełną broni i ekwipunku. Teren rozgrywki stopniowo się zmniejsza – wygrywa ten, kto pokona wszystkich przeciwników. Z czasem „Fortnite” został rozbudowany o tryb piaskownicy, dzięki niemu użytkownik może zaprojektować wyspę samemu.

Jest dużo bardziej rozbudowaną grą niż „Minecraft”, więc daje też znacznie więcej możliwości interakcji i ekspresji na poziomie postaci. „Fortnite” jest bezpłatny – zarabia na tym, że użytkownicy dokupują dodatkowe stroje, ruchy, skórki na broń czy pojazdy po to, by wyglądać fajniej. Są gotowi wydać na nie sporo pieniędzy. Stąd koncerty wypełniają ubrane w najróżniejsze stroje i kostiumy tańczące postaci.

Impreza na orbicie

Jak do tej pory w najbardziej spektakularny sposób potencjał gier komputerowych do swojego *show* wykorzystał amerykański raper Travis Scott, który pod koniec kwietnia z koncertem na żywo pojawił się w grze „Fortnite”. Zrobił wrażenie. Nad wirtualną scenę przyleciała planeta z jądrem w postaci głośnika. Z niej wyleciał gigantyczny awatar Travisa Scotta i zaczął rapować. Scott chodził po wodzie, okrążył wyspę, zmienił kreację, teleportował się i przenosił uczestników z ziemi w powietrze i na orbitę. Następnie usiadł

**Raper Travis Scott
chodził po wodzie,
teleportował się i przenosił
uczestników z ziemi
w powietrze i na orbitę.
Następnie usiadł
na pobliskiej planecie.**

na pobliskiej planecie. Wszystko to odbywało się w akompaniamencie światła, awatarów, deszczu meteorytów, błyskawic, rollercoasterów wijących się jak węże czy wielkich meduz. Trwało to raptem dziewięć minut. I zmieniło świat wirtualnych koncertów.

Był to ogromny sukces wizerunkowy dla muzyka i gry. Pierwszy „Astronomical” obejrzało 12,7 mln osób. Łącznie pięć koncertów Travisa Scotta zobaczyło 28 mln graczy tylko na tej platformie. Do tego trzeba dodać YouTube, gdzie oficjalny zapis koncertu na kanale rapera ma 100 mln wyświetleń, i serwisy do relacjonowania zapisów z gier takie jak Twitch.

„Fortnite” idzie za ciosem i wciąż organizuje kolejne wydarzenia muzyczne. Pod koniec września jeden z najpopularniejszych zespołów na świecie, koreański BTS, prezentował w grze nowy singiel, a wraz z nim dwa ruchy choreograficzne, które mogą kupić użytkownicy.

Jak na tym zarobić?

Gdy zaczęła się pandemia, a ludzie mieli więcej czasu na gry, ścieżki dla artystów takich jak Travis Scott były już lekko przetarte. Choć branża muzyczna wciąż raczkuje w tej rzeczywistości. Zabawnym przykładem była YouTube’owa relacja amerykańskiego didżeja Eliminate z festiwalu muzyki elektronicznej, który odbywał się w „Minecraftie”. Eliminate biegał zagubiony po mapie, szukając wejścia na scenę, nie do końca wiedział, co ma na niej robić, a podczas jego występu padł serwer. Z kolei festiwal Rave Family Block Fest, również w „Minecraftie”, okazał się klapą z powodów technicznych i przełożono go na późniejszy termin. Jednak od marca 2020 r. liczba wydarzeń muzycznych w grach komputerowych gwałtownie wzrosła.

– Pandemia przyciąga artystów, którzy szukają możliwości dotarcia do nowych, szczególnie młodszych odbiorców – mówi Felczak. – To się łączy z coraz mocniejszą popularnością mediów strumieniowych, platform typu TikTok, całego potencjału memicznego, który jednocześnie aktywizuje do samodzielnego tworzenia choreografii czy działań wirtualowych, które napędzają później konsumpcję. To są naczynia połączone.

Wciąż nie udało się wypracować modelu, dzięki któremu artyści mogliby zarabiać bezpośrednio na takich wydarzeniach, choć niektóre są biletowane, a na innych sprzedawano rzeczywiste akcesoria dla fanów. Jeśli brak monetyzacji nie jest problemem dla gwiazd z ogromnymi budżetami, takich jak Travis Scott, dla którego rozgłos szybko przekłada się na zyski, to w dużo trudniejszej sytuacji są mniej popularni i bardziej niszowi artyści czy festiwale.

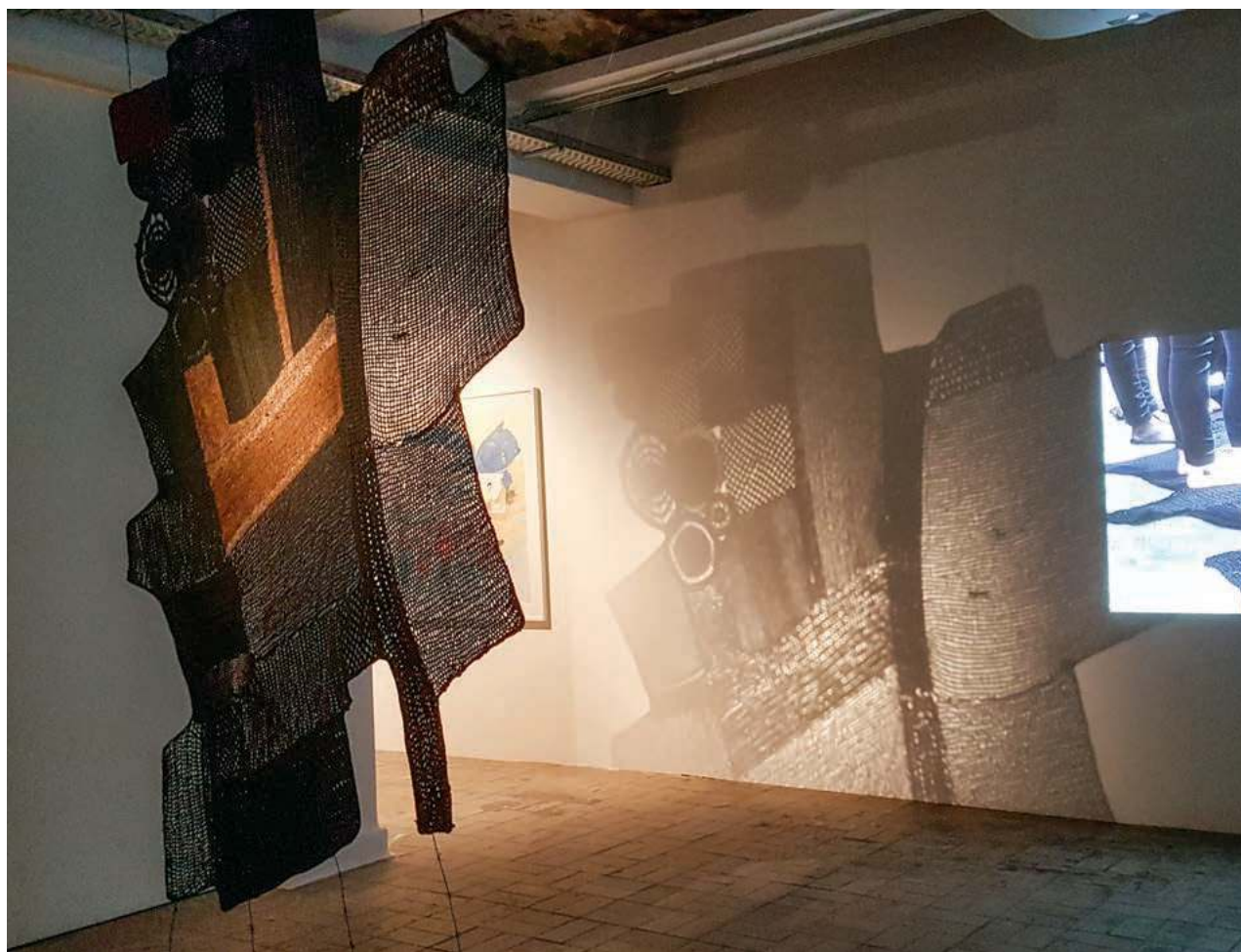
Zajcenko nie wierzy, by w najbliższych latach na Ukrainie komuś udało się zarobić na festiwalu w grze komputerowej. „Trudno sprzedawać produkt, który jest dla ludzi czymś niezwykłym i sam w sobie surowy” – pisze. Przyznaje jednak, że wydarzenia w grach komputerowych zostaną już z nami na dobre, ale jeszcze nie zostały oswojone przez ich organizatorów.

Integracja światów

Mateusz Felczak uważa, że mamy do czynienia z końcem paradygmatu, który dzieli życie na prawdziwe i cyfrowe. Te światy się coraz bardziej splatają i pewnie w takim kierunku będą zmierzały tak wydarzenia w grach komputerowych, jak i te w *offline*. Jako przykład podaje tegoroczną trasę koncertową hologramu Whitney Houston. Choć piosenkarka zmarła osiem lat temu, to widzowie mogli zobaczyć ją na scenie i bawić się przy jej występach. Także w grach wkrótce mogą pojawić się nieżyjący już artyści, którzy wystąpią z tego typu koncertami.

Prawdopodobnie największym mankamentem wydarzeń muzycznych w grach pozostaje obecnie sama muzyka, która zazwyczaj jest odtwarzana z playbacku. Dlatego – jak mówi Felczak – dla melomanów nie jest to wydarzenie, które może rywalizować z koncertem w świecie *offline*. Ale wkrótce pewnie i to się zmieni.

© PAWEŁ PIENIAŻEK



ROBERT ZAKRZEWSKI

Paula Baeza Pailamilla „Kurü Mapu [Black Land]”, tkanina, wideo, 2018

Inna postać świata

PIOTR KOSIEWSKI

Twórcy Biennale w Berlinie przypominają, że muzea żyją obsesją posiadania i nadal przechowują dzieła pochodzące z rabunku.

ORGANIZOWANE OD 1998 R. BERLIŃSKIE Biennale Sztuki Współczesnej otwarto z trzymiesięcznym opóźnieniem spowodowanym pandemią. Zawsze było barometrem stanu świata sztuki. A jednak i ono ostatecznie stanęło przed pytaniami, z którymi mierzą się podobne wielkie imprezy.

Jak pokazać sztukę w jej coraz większym zróżnicowaniu? Jak nie powiełać hierarchii artystycznych, zwłaszcza ustalanych przez rynek sztuki? Jak nie być jedynie medialnym i turystycznym eventem, tylko wpisywać się w tkankę miasta i angażować jego mieszkańców?

Tegoroczne Biennale przygotowała czwórka kuratorów: María Berríos (ur. 1978), Renata Cervetto (ur. 1985), Lisette Lagnado (ur. 1961) i Agustín Pérez Rubio (ur. 1972). Reprezentują różne pokolenia – i tylko Pérez Rubio urodził się w Europie. W Berlinie sztukę można zobaczyć więc z podwójnej, wielopokoleniowej i zróżnicowanej geograficznie, perspektywy. Co ważne, na tegorocznym Biennale dominuje spojrzenie kobiet.

Po co dziś muzeum?

Słowa egipskiej poetki Iman Mersali: „Pęknięcie zaczyna się w środku” – stały

się hasłem tegorocznej imprezy. Jej twórcy nie pokazują sztuki, która przygląda się z boku, z dystansem. Szukali takiej, która patrzy od wewnątrz, krytycznie, która mówi wprost o wyzysku, kolonializmie, wielowiekowej męskiej dominacji, wspieranej przez religię. Ale też o nierównościach ekonomicznych, podziałach klasowych, jeszcze wyraźniej widocznych w ostatnich miesiącach. COVID-19 bowiem – jak podkreślają kuratorzy Biennale – ujawnił okrucieństwo życia codziennego i nierówności, z jakimi boryka się ogromna większość ludzi. Tym istotniejsze staje się pytanie o funkcje sztuki i instytucji jej służących.

Ekspozycję Biennale rozpisano na cztery różne, ale przenikające się opowieści. W ExRotaprint, dawnych pomieszczeniach fabrycznych, pokazano twórczość jako przestrzeń dialogu i wymiany. Natomiast w Martin-Gropius-Bau, miejscu prestiżowych wystaw, tematem stała się rola muzeów jako kluczowych instytucji nowożytnego świata, chroniących przeszłość, ale też konstruujących →



Cansu Çakar, z serii „Labyrinth to Kybele” [fragment], akwarela, gwasz, 2020
 Powyżej: Delaine Le Bas „St Sara Kali George”, instalacja, 2020

→ wyobrażenia o niej i przykrawających jej do współczesnych potrzeb. Żyjących obsesją posiadania i nadal przechowujących dzieła pochodzące z rabunku.

W Berlinie przypomniano o innych sposobach ich funkcjonowania. O muzeach tworzących przestrzeń dla mniejszości, osób wykluczonych, chorych, jak placówki założone przez brazylijskich psychiatrów w Rio de Janeiro i Franco da Rocha. Także o przypadku Museo de la Solidaridad Salvador Allende. Jego powołanie w 1971 r. było gestem solidarności artystów z ówczesnym rządem chilijskim; równocześnie chciano stworzyć instytucję otwartą i przełamującą monopol wielkich zachodnich muzeów, wyznaczących hierarchie w świecie sztuki. Zbiory – ponad 700 dzieł – zostały skonfiskowane po przewrocie wojsko-

wym 11 września 1973 r. Muzeum jednak – jako wędrowne – zostało odtworzone przez uchodźców politycznych na emigracji. W 1992 r. w Santiago znów powstała instytucja gromadząca dzieła zaginione i rozproszone za granicą. I pokazuje twórczość poza Ameryką Południową nadal słabo obecną.

Ekspozycja w Martin-Gropius-Bau przede wszystkim jednak stawia pytanie, na ile muzea mogą stać się przestrzenią otwartej rozmowy o przeszłości i teraźniejszości. Pokazywać to, co dziś z dawnej twórczości jest żywe i być gotowym na ponoszenie ryzyka związanego z mówieniem o kwestiach trudnych, niejednoznacznych czy kontrowersyjnych.

Tę część wystawy otwierają obrazy Peruwianki Sandry Gamarry Heshiki, przedstawiające fragmenty ekspozycji an-

tropologicznych muzeów w Europie. Za każdym razem są to obiekty pochodzące spoza naszego kontynentu. Wystawione w eleganckich gablotach, uwodzą swym pięknem. Na marginesach tych płócien artystka namalowała sceny zaczerpnięte z prasowych fotografii: próby nielegalnego przedarcia się do Europy, aresztowania emigrantów czy zatrzymania osób zajmujących się handlem ludźmi. Przedmioty budzą podziw, ale mieszkańcy ziem, na których one powstały, są odrzucani.

W samym centrum ekspozycji znalazły się prace wybitnej niemieckiej rzeźbiarki i graficzki Käthe Kollwitz, zmarłej w 1945 r. Mimo upływu lat jej prace pokazujące przemoc, walkę i bunt przeciwko nierównościom, a jednocześnie wnikliwie opisujące los kobiet, nie tracą nic na aktualności. A dla współczesnych artystów ważna okazuje się nie tylko jej twórczość, ale też postawa Kollwitz jako artystki nieograniczającej się wyłącznie do kwestii estetycznych, zaangażowanej społecznie i politycznie.

Nie jest to jedyne przypomnienie na Biennale artystów już nieżyjących, w większości w Europie słabo znanych. Jak Chilijczyk Francisco Copello (1938–2006), który w swej twórczości ostro występował przeciwko konserwatywnemu społeczeństwu, czy Urugwajczyk Mauricio Gatti (1941–1991), uwięziony w 1971 r. Pisane przez niego z więzienia listy do córki złożyły się na ilustrowaną książkę dla dzieci „En la selva hay mucho por hacer” („W dżungli jest wiele do zrobienia”). I dość szybko ta opowieść o dzikich zwierzętach uwięzionych w zoo, tłumaczona na inne języki, stała się jedną z kluczowych lektur południowoamerykańskich społeczności uchodźców politycznych.

Witryna ciał

Twórcy wystawy pokazują, że instytucje sztuki mogą stać się swoistymi witrynami, przedstawiającymi opowieści tych, którzy dotąd takich możliwości byli pozbawieni. Co ważniejsze – pozwalają na mówienie własnym głosem i na własnych warunkach, bez różnicowania czy dzielenia na „słuszny” i „niesłuszny” protest.

Na tak zdefiniowanym Biennale jest miejsce na sprzeciw, rebelię czy bunt, jak akcje podejmowane przez duńską grupę teatralną Solvognen. Przed Bożym Naro-

dzeniem w 1974 r. około stu mężczyzn, kobiet i dzieci przebranych za Świętego Mikołaja „napadło” na Kopenhagę. Odwiedzali szpitale, śpiewali kolędy, bawili się z dziećmi w szkołach, rozdawali gorącą czekoladę. Potem jednak zaczęli rozdawać towary w jednym z domów towarowych, co okazało się już zbyt radykalne. Skończyło się atakiem ochrony i obsługi sklepu: zakuwaniem w kajdanki Mikołajów, zamykaniem ich w radiowozach i krzykami dzieci, przerażonych działaniami służb porządkowych.

Przestrzenie w daadgalerie, a przede wszystkim KW Institute for Contemporary Art (główniej siedzibie Biennale) wypełnił wielogłos wreszcie wysłuchanych. Chilijka Paula Baeza Pailamilla zaprosiła kobiety z indiańskiego plemienia Mapuche do wspólnego utknięcia mapy terytorium ich przodków. Razem rewindykowały własną przeszłość i historię plemienia, które aż do XIX wieku zachowywało niezależność. Zehra Doğan, kurdyjska artystka, aktywistka i dziennikarka, w tureckim więzieniu zaczęła pracować nad niezwykle przejmującą opowieścią graficzną o własnych przeżyciach i o losach innych więźniów politycznych, przesładowanych, torturowanych, poniżanych. Natomiast Małgorzata Mirga-Tas przypominała o zniszczonym przez nieznaną sprawców pomniku Romów zamordowanych w 1942 r. w Borzęcinie Dolnym. Woskowe odlewy fragmentów rzeźby, niezłomnym szczytki ludzkich ciał, leżą na starym drewnianym stole.

Berlińska impreza pokazuje zmianę geografii artystycznej – coraz wyraźniej widoczne jest odchodzenie od wyłącznie europocentrycznego (czy też zachodnio-

Pacita Abad, z serii „Marcos and His Cronies”, tkanina, 1985–1995

Poniżej: Sandra Gamarra Heshiki „The Museum of Ostracism”, 2018

11. BERLIŃSKIE BIENNALE SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ,
„The Crack Begins Within – the epilogue”, Berlin, wystawy czynne do 1 listopada br.



centrycznego) patrzenia na sztukę, ale też dostrzeżenie twórczości – obecnej czy dawnej – która przez lata była marginalizowana. Nie mieściła się bowiem w dominujących dotąd hierarchiach. Coraz wy-

raźniej widać, że przemija postać świata, który nie tylko znaliśmy, ale często uważaliśmy za jedyny możliwy.

© PIOTR KOSIEWSKI
współpraca ROBERT ZAKRZEWSKI





MATEUSZ WŁODARCZYK / FORUM

Wojciech Ziemilski podczas próby medialnej spektaklu „Polacy wyjaśniają przyszłość”, Nowy Teatr. Warszawa, 14 września 2018 r.

Na linii frontu

DARIUSZ KOSIŃSKI

Nadchodzi najważniejszy moment spektaklu – gdy już nadejdzie, wie się, że to dla niego zrobiono całe to przedstawienie. Mamy włączyć swoje kamery na Zoomie. Na ekranie pojawiają się kolejne twarze. Coś łapie za gardło.

WIELU WIDZÓW, NAWET REGULARNIE zasiadających w teatralnych fotelach, niekoniecznie zna twórczość Wojtki Ziemilskiego. Są jednak takie kręgi (może wręcz – bańki?), w których jest on postacią wyjątkowo ważną, obdarzoną szczególnym autorytetem, obserwowaną z niesłabnącą uwagą. Od debiutanckiej „Małej narracji” (Teatr Studio w Warszawie, 20 marca 2010) przyglądam się twórczości tego niezwyklego artysty. Pod wieloma względami jawi mi się ona jako niemal wzorcowy przykład tego, jak chciałbym, by sztuka współczesna wyglądała i do czego powinna być używana.

Sokrates na domówce

Mówi się o niektórych ludziach, że mają „filozoficzny” stosunek do świata, przez

co rozumie się zazwyczaj, że potrafią zachować pewien spokojny dystans – sprawiają wrażenie, że nigdy nie dają się ponieść emocjom. Robiąc coś, jednocześnie uważnie i przenikliwie obserwują siebie i innych. Ziemilski jawi mi się jako ktoś taki, wcale nie dlatego, że studiował filozofię. Na dodatek przenikliwość obecna w jego pracach ma jeszcze coś szczególnie mi odpowiadającego – ciepło, serdeczność, humor.

Choć tworzy sztukę co się zowie filozoficzną, jego kreacje są na swój sposób zabawne, urocze i lekkie. Taki współczesny Sokrates tańczący, ale bez żadnych tam Nietzscheańskich nadpląsów i Niżyńskich szarów Dionizosa z europejskiej prowincji. Raczej ktoś poruszający się pozornie nieefektywnie i sam z siebie śmiejący się na domówce, która niespodziewa-

nie dla wszystkich kończy się nad ranem olśnieniem zobaczonego po raz pierwszy naprawdę wschodu słońca.

Charakterystyczny dla siebie proces pozornie nieefektywnej analizy wchodzącej coraz głębiej w prezentowaną sytuację, by przebić się ku jej nieoczywistym wymiarom, przeprowadził już Ziemilski w debiutanckiej „Małej narracji”. W prowadzoną przez niego jako autora, reżysera i wykonawcę biograficzną opowieść o ujawnieniu współpracy Wojciecha Dzieduszyckiego (dziadka artysty) ze Służbą Bezpieczeństwa wplecione były cytaty z Ludwiga Wittgensteina sprawiające, że cały spektakl – nie tracąc osobistej i politycznej dotkliwości – stawał się dramatycznym procesem namysłu nad tym, co zwykliśmy nazywać rzeczywistością.

Bardzo szybko, bo już w kolejnych pracach, do procesu tego zaproszeni zostali także widzowie. „Mapa” (Komuna Warszawa, 2010) była rodzajem spaceru podejmowanego przez wchodzących do przygotowanej przestrzeni i akceptujących wyjściowe warunki i założenia, a „Prolog” (Teatr Ochoty, 2011) przyjmował określony kształt i przebieg w zależności od odpowiedzi, jakich członkowie publiczności udzielali na pytania zadane przez twórców.

Po latach te działania zostały przez Ziemilskiego poddane krytycznej weryfikacji w głośnym „Come together” (Studio,

2017). Jego wyjściowa sytuacja polegała na tym, że grupa wykonawców serdecznie i na różne sposoby zapraszała widzów na scenę, nad którą widniał rozświetlony zakaz „nie wchodzić”...

Mapa i terytorium

W odniesieniu do działań Ziemilskiego i stale współpracujących z nim twórców tradycyjnie teatralny termin „przedstawienie” nabiera szczególnej wieloznaczności. Jest nie tylko czymś danym do oglądania, ale także sytuacją postawioną przed przychodzącymi jako zestaw okoliczności, na które trzeba zareagować. Takie przedstawienie jest organizowanym według określonych założeń wydarzeniem rozwijającym się każdorazowo w sposób nieco inny.

Ziemilski przyznaje się do inspiracji tymi nurtami myśli współczesnej, które nie negując istnienia rzeczywistości, zarazem jednoznacznie wskazują na to, że jest ona nam dostępna wyłącznie za pośrednictwem narzędzi uniemożliwiających jej bezpośrednie doświadczenie, bo zawsze w jakiejś mierze ją zniekształcających. Dla teatru jest to wyjątkowo fascynujący (choć i niebezpieczny) trop – wszak on też jest takim narzędziem, o tyle niezwykłym, że wystawiającym i poddającym refleksji własną fikcyjność. Teatr to mapa, która nam pokazuje, że... jest mapą. I właśnie dlatego pozwala odkryć nieusuwalną nieprzystawalność do terytorium.

Dla twórcy zainteresowanego takimi zagadnieniami sytuacja pandemii była szczególnym wyzwaniem. Ziemilski odpowiedział na nie z właściwą sobie głęboką lekkością performansem pokazanym w ramach zaprogramowanego przez Tomasza Platę dla warszawskiego Studio „Projektu kwarantanna” (kolejne odcinki do obejrzenia na stronie teatru). Jego reguły zakładały stworzenie i nagranie przedstawienia, którego „sceną” jest domowy stół, a twórcami wyłącznie osoby mieszkające wspólnie w czasie lockdownu.

Ziemilski wystąpił z kilkuletnim synem Andrzejem. Bawiące się w pokoju dziecko interweniuje w wypowiedzane przez artystę bardzo serio refleksje o teatrze i tęsknocie za obecnością innych żywych ciał, by w końcu dokonać przejścia sceny dla zabawy, polegającej na rozwalaniu „muru” z rolek papieru toaletowego, budowanego w trakcie przemowy. Akcja jest więc prosta, codzienna, niemal ba-

nalna w swej powszedniości, ale jej dramaturgia pozostawia niepokojący osad odnoszący się do zasadniczych kwestii, jak obecność i prawda.

W trakcie swojego początkowego wystąpienia Ziemilski wypowiada też coś w rodzaju definicji teatru, który „jest jednak byciem razem, jest tym, że odczuwamy swoją obecność i że mamy świadomość, że coś się wydarza, I że to się wydarza tu naprawdę, choćby było tylko konwencją, tylko jakąś taką zabawą, która później zniknie”. Cytuję te słowa, bo paradoksalnie wydają mi się one znamienne w kontekście najnowszej pracy Wojtka Ziemilskiego „Enter Full Screen” – przedstawienia online zrealizowanego z międzynarodowym zespołem pod auspicjami warszawskiego Nowego Teatru (premiera 29 września).

Strefa

Przedstawienie wygląda jak typowy *European pudding*: powstało w ramach projektu European Ensemble i jest koprodukcją teatrów w Warszawie, Stuttgarcie i Zagrzebiu. Jego podstawowym narzędziem i poniekąd sceną jest znana nam wszystkim od kilku miesięcy platforma Zoom. Aktorzy znajdują się w swoich i nie swoich, ale przyjaznych mieszkaniach w Warszawie (Ewelina Pankowska), Zagrzebiu (Adrian Pezdirc, Andjela Ramljak), Berlinie (Claudia Korneev) i Stuttgarcie (Tenzin Kolsch). Wyjątkiem jest Jan Sobolewski, który wyrusza do przestrzeni zdecydowanie nieprzyjaznej. To Kobylka – leżąca najbliżej Warszawy „strefa bez LGBT”, jak nazywa się w demaskacyjnym skrócie gminy i powiaty, które przyjęły Samorządową Kartę Praw Rodzin, rezolucję przeciwko „ideologii LGBT” lub inną jawnie homofobiczną uchwałę.

Dzięki transmisji na Zoomie widzimy, jak homoseksualny aktor wysiada z pociągu i chodzi po typowym prowincjonalnym polskim mieście, jednym z tych, które stanowią „sól tej ziemi”. Sam jestem mieszkańcem takiego miasta (a poniekąd i strefy wolnej od LGBT, bo rada powiatu nowotarskiego, na którego terenie mieszkam, przyjęła Samorządową Kartę Praw Rodziny), więc dobrze znam te nowobogackie, dostatnie a brzydkie domy i wyremontowane za europejskie pieniądze ronda. Założę się, że w Kobylce też mają „tańczącą fontannę” – ten podstawowy, znamienne migotliwy i nietrwały znak polskiej europejskości. Na pewno

zaś mają sieciowy dyskont, klub fitness, szkołę sztuk walki i odnowiony kościół – czyli wszystko to, co tworzy normalność takich miasteczek, zagrożoną przez ludzi o nienormalnej seksualności.

Napisałem najpierw „pozornie zagrożonej”, ale zaraz skreśliłem przymiotnik. Zagrożenie bowiem jest realne, a wynikająca z niego nienawiść i agresja – autentyczne. Oczywiście ataki na LGBT+ są cynicznie wykorzystywane przez polityków, ale dla tych konserwatystów, którzy kurczowo trzymają się pojęć „naturalny” i „normalny”, sam fakt, że można myśleć o „tożsamości” jako projekcie tworzącym się i tworzonemu, a nie danym raz na zawsze, stanowi założenie nie do przyjęcia, bo oznacza koniec jedyne go świata, w jakim potrafią się poruszać. I nie chodzi tylko o polityków, ale o wielu „zwykłych ludzi” potrzebujących „normalności” jako fundamentu bezpieczeństwa.

Osoby LGBT+ rzucają im o wiele poważniejsze wyzwanie niż akceptacja jednopłciowej pary mieszkającej w sąsiedztwie. Do pary można nic nie mieć, zwłaszcza gdy – jak prezydentowi Dudzie – grzecznie mówi „dzień dobry”. Ale filarów swojego świata przed ideologią będą bronić z całą siłą, nie bacząc na ofiary, czy raczej – wypierając oczywisty fakt, że broniąc swojego bezpieczeństwa niszczą czyjeś życie.

Strefa, do której jedzie Janek, to nie trochę nawet w swej prowincjonalności śmieszna „strefa bez LGBT”. To strefa wojny. Nie ma więc nic przesadnego w strachu, gniewie, ale i poczuciu bezradności i bycia wykorzystywanym, które Sobolewski wypowiada. Znalazł się sam na wrogim terytorium, choć przecież nikt go nie atakuje, nie wyzywa. Jest wieczór, pogoda jesienna, ulice są puste, przejeżdżają tylko samochody. Ale nawet przez Zooma przebija się autentyczne poczucie zagrożenia, wściekłość i rozpacz wrażliwego człowieka, który żyje w kraju akceptującym bez wahania i żenady, że słabsi muszą zniknąć, a w górę pną się byczki o „wyrzistych poglądach”.

A przecież Janek nie jest sam. W spacerze przez Strefę towarzyszą mu europejscy partnerzy, raz pojawiający się jako aktorki i aktorzy przebywający w określonym miejscu, to znów przyjmujący baśniowe postacie różnych „duchów”: pytania, ostrzeżenia, prawdy. Jest wśród nich także Special Friend – Europa, ukazana jako groteskowa ciotka. Tak naprawdę →

→ jednak – jak mówi w końcowym monologu Janek – Europa to „ta wielka, wspaniała publiczność, która jak zawsze jest daleko”. I oczywiście wiemy, że to my – widocznym na ekranie w postaci kwadracików o różnojęzycznych imionach – jesteśmy tą Europą. Zgodnie z zoomowymi zasadami poproszono nas wcześniej, byśmy wyłączyli kamery i wyciszyli mikrofony, więc ukryci i milczący obserwujemy coraz bardziej zdesperowanego Janka.

Nadchodzi moment najważniejszy – taki, o którym, gdy już nadejdzie, wie się, że to dla niego zrobiono całe to przedstawienie. Sobolewski prosi, byśmy – jeśli czujemy podobny lęk i rozpacz, co on – włączyli swoje kamery. By mógł nas zobaczyć. To strasznie proste, wręcz oczywiste, ale gdy na ekranie pojawiają się kolejne twarze, coś mimo wszystko łapie za gardło...

Moment włączenia ekranów jest w przebiegu tego zoomowego wydarzenia paradoksalnym aktem potwierdzenia swojego istnienia, odzyskania podmiotowości i sprawczości, który natychmiast staje się też aktem politycznym. Tak, jasne – z perspektywy zewnętrznej może nie wydawać się mniej złudny niż lajk na Facebooku, ale w relacji do całego przebiegu przedstawienia doświadcza się go jako chwilowego może, jednak mocnego i skutecznego aktu odzyskania siebie jako części realnej Europy.

W każdym razie ja tak to odczułem, siedząc przy kawiarnianym stoliku w warszawskiej galerii (takie okoliczności oglądania mi się wytworzyły). Czy zmieniło coś w tym doświadczeniu to, że na skutek błędu sprzętu kamera w moim laptopie się włączyła, ale nic nie pokazała? Że pozostali uczestnicy w kwadraciku z moim imieniem i nazwiskiem nie zobaczyli mojej twarzy? Chciałbym powiedzieć, że nie, ale przecież wiem, że to nieprawda.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Czek bez pokrycia

ANITA PIOTROWSKA

W myśl zasady, że dobrymi chęciami piekło wybrukowane, „Gniazdo” dekonstruuje wizerunek mężczyzny dbającego o to, by jego dzieci miały w życiu lepiej niż on, nawet za cenę emocjonalnych więzi.

KINO, GŁÓWNIEM NA FALI KRYZYSU 2008 roku i w ramach wymierzania sprawiedliwości społecznej, lubi epatować nas wyczynami różnej maści „wilków z Wall Street” czy banksterskich „tłustych kotów”. I nigdy tak do końca nie wiadomo, gdzie kończy się krytyka, a zaczyna skrywana fascynacja zepsuciem.

Rzadziej też zagląda się w przestrzeń prywatną owych „wilków” i „kotów” – z punktu widzenia rodzinnego stadła, od strony jadalni, sypialni czy choćby i stajni. A tak właśnie dzieje się w filmie „Gniazdo”, gdzie ponadczasowe zdanie „chciwość jest dobra” (patrz: „Wall Street”, reżyseria Oliver Stone, rok 1987) staje się maksymą troskliwego męża i ojca, zagranego przez Jude’a Lawa. Który i tym razem potrafi nas zwięźś swoimi młodopapieskim wdziękiem.

Scenarzystę i reżysera Seana Durkina najbardziej interesuje ludzki i międzyludzki wymiar bogacenia się oraz związany z nim podział życiowych ról. „Wilczek” o imieniu Rory w połowie lat 80. postanawia zamienić nowojorskie Wall Street na londyńskie City, które „wkrótce wystrzeli” i potrzebuje „amerykańskiej” energii. Gwoli ścisłości: bohater jest z pochodzenia Anglikiem – wraz z żoną i dwójką dzieci wraca więc po latach do ojczyzny.

Rory nabywa wiekową posiadłość w hrabstwie Surrey. Co z tego, że mocno podupadła, ważne, że z elzbietańskim stołem i duchami grupy Led Zeppelin, która ponoć tu kiedyś rezydowała. Allison, żona Rory’ego, odtworzy tutaj swoją stadninę koni, luksusowym futrem otrze ły z bardziej wyluzowaną Ameryką, dzieciaki trafią do prywatnych szkół. A bohater w tym czasie zrobi interes życia. Łatwo się domyślić, iż ów

czas przyszły dokonany oznacza w filmie tryb raczej życzeniowy.

Durkin pokazuje, jak ambitny *yuppie* próbuje pójść na skróty na fali deregulacji i prywatyzacji. I zrazu wszystko toczy się gładko, normalnie, w rytm płynących zza kadru smakowicie jazzujących fraz. On jest pracusiem, ona lubi sobie dłużej pospać i oboje nie dostrzegają, że ich dzieci znacznie gorzej aklimatyzują się w nowym miejscu.

Pewnego dnia robotnicy zajmujący się renowacją domu przestają przychodzić do pracy – okazuje się, że Rory wystawił im czek bez pokrycia. Kiedy Allison odkrywa ten fakt, jeszcze skrzętniej chomikuje przed mężem topniejącą gotówkę. W domu zbudowanym na wątłych fundamentach materialnego sukcesu z każdym dniem rośnie napięcie. Wychodzą na jaw stare grzechy i założycielskie kompleksy. Pogłębia się wyobcowanie, w głowach budzą się demony, muzyka coraz bardziej wije się w arabeskach.

Familijsny thriller opowiadany jest z różnych perspektyw, w tym również dziecięcej i kobiecej. Żona Rory’ego, w wyborowej interpretacji Carrie Coon, okazuje się tutaj zarówno beneficjentką, jak i ofiarą. Oraz tą, która trochę za późno rozpoznaje pokretną grę, jaką prowadzi ze światem jej małżonek. Bunt Allison, aczkolwiek chwilami szczeniacko-pijacki, ma w sobie coś z pokoleniowej zmiany, o której mówi nieodwiedzana przez lata matka bohatera: kobiety, które zadają pytania, stają się niewygodne.

To przekonanie Durkin z pewnością podzielił, tworząc film chłodny, specjalnie wypreparowany z wszelkiej „mięsności”, oparty na niedomówieniach, domysłach i zmierzających bardziej w stronę przypowieści niż obyczajowego dramatu. Choć mimo wszystko psycho-



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Gniazdo”

logicznie gesty i dojmujący, opowiedziany głównie kamerą i światłem. W myśl zasady, że dobrymi chęciami piekło wybrukowane, „Gniazdo” dekonstruuje wizerunek mężczyzny providera (dostawcy), dbającego o to, by jego dzieci miały w życiu lepiej niż on, nawet za cenę emocjonalnych więzi. A że scenerią jest napakowana historia angielska rezydencja, rzecz dotyczy także kosztów mobilności społecznej w świecie zbudowanym na odziedziczonych aktywach.

Sam Durkin przeszedł drogę podobną do swoich bohaterów, przynajmniej w sensie geograficznym. Urodził się co prawda w Kanadzie (rocznik 1982), ale jako dziecko zaliczył przeprowadzkę i do Londynu, i do Nowego Jorku, gdzie jego ojciec robił grube interesy, ponoć nie zawsze uczciwe. Zapewne mały Sean zdążył już wtedy zauważyć, że wokół niego zmienia się nie tylko akcent i położenie kierownicy w samochodzie. Punktowanie różnic między obiema kulturami nie jest jednak dlań najważniejsze.

W jego znakomitym amerykańskim debiucie „Martha Marcy May Marlene” (2011) tytułowa bohaterka popadała w obłęd, próbując uciec przed przemocową sektą, a zarazem nie znajdując schronienia w tak zwanym normalnym świecie, opartym na karierze i posiadaniu. „Gniazdo” idzie pod tym względem jeszcze dalej w mrok, wskazując na skutki czegoś, co Thomas Picketty, twórca „Kapitału w XXI wieku”, nazywał „sakralizacją własności prywatnej”. I nie ma większego znaczenia,

że akcja toczy się dawno temu, w epoce Thatcher i Reagana.

Tytułowa posiadłość, mocno nadgryziona zębem czasu i usytuowana na odludziu, w obiektywie kamery Mátyása Erdélya („Syn Szawła”) przypomina nawiedzony dom z horroru. Staje się nieomal żywym organizmem, zasysającym swoich mieszkańców. Miała być dla nich symbolem statusu, ale przeistoczyła się w zimną pułapkę. W jednej z końcowych scen nastoletnia córka Allison organizuje po kryjomu ostrą imprezę i zaprasza na nią okoliczną kawalerkę – raczej nienawykłą do pałacowych progów. To jedyny moment, kiedy w szacowne mury zostaje wpuszczone jakieś życie. Bo przecież „nikt tu nie jest sobą” – co wykrzyczała w pewnym momencie zrozpaczona żona Rory’ego. Bo przecież „tu jesteś tym, kim się urodziłeś” – jak słyszeliśmy wcześniej z jego ust, kiedy zamierzał zaprowadzić w City „amerykański” model biznesowy.

„Gniazdo” bardziej zatem niż o chciwości traktuje o rozchwianej tożsamości, o sztucznym ukorzeniu i nadwątłonym zaufaniu. Dlatego scena finałowa, następująca tuż po sądnej nocy, wydaje się najbardziej ze wszystkich przesiąknięta grozą. Stawia pytania o to, kim tak naprawdę byli dla siebie nawzajem Rory, Allison i ich dzieci, co z tego pozostało i czy coś wreszcie udało im się zrozumieć. ©

GNIAZDO (*The Nest*) – reż. Sean Durkin. Prod. Wielka Brytania 2020. Dystryb. M2 Films.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Acasa, mój dom



Dokumentalny, reż. Radu Ciorniciuc, Rumunia/Niemcy 2020, HBO, 15 X, 20.10, HBO Go, od 15 X
Przez cztery lata reżyser

towarzyszył z kamerą wielodzietnej rodzinie romskiej zamieszkującej mokradała parku Văcărești w Bukareszcie. Obserwował ich życie pośród natury, był także świadkiem dramatycznej przeprowadzki, kiedy miasto postanowiło zagospodarować teren. Efektem jest pasjonujący dokument, który otrzymał nagrody m.in. na festiwalu Sundance i w Krakowie.

2. Proces Siódemki z Chicago



Dramat, reż. Aaron Sorkin, USA 2020, Netflix, od 16 X
Scenarzysta „Wojny Charliego Wilsona” i „The Social Network” ponow-

nie stanął za kamerą. Przywołuje słynną sprawę sądową z 1969 r., kiedy to na ławie oskarżonych zasiedli organizatorzy pokojowych protestów przeciwko wojnie w Wietnamie. Wybuchłe wówczas zamieszki zostały brutalnie spacyfikowane przez policję.

3. Igielnik



Dramat, reż. Deborah Haywood, Wielka Brytania 2017, nc+ Go, vod.pl, Vectra, Multimedia Go

Matka i córka przyjeżdżają do nowego miasta z nadzieją na lepsze życie. Ale te cudacznie ubrane istoty nie pasują do żadnego miejsca. W konwencji baśni dla dorosłych debiutująca za kamerą reżyserka opowiada o traktowaniu odmienności i brutalnej stronie dorastania. Aktorki Joanna Scanlan i Lily Newmark pozwalają uwierzyć w tę surrealistyczną historię.

4. Dziwne ptaki



Dramat, reż. Élise Girard, Francja 2017, Arte TV, za darmo do końca października

Coś dla wielbicieli samotnych spacerów po Paryżu, zakurzonych księgarni i historii, w których nie wydarza się nic, choć mogło zdarzyć się wiele. Bohaterką filmu jest dziewczyna z prowincji, która znajduje kąt u starego, tajemniczego księgarza. A może to wszystko dzieje się na kartach pisanej przez nią książki? W roli głównej Lolita Chammah, córka Isabelle Huppert.

JAN

Klata: Wylana maskotka



LIGA ANGIELSKA DZIAŁA, MECZE SĄ ROZGRYWANE, odbywają się, ale na smutno, bez udziału publiczności, na trybunach pustki. Pandemia. Przychody spadają, miliarderzy posiadający kluby zaciskają pasa pracownikom. Tną koszty. Amery-

kańscy krezusi – władze Arsenalu Londyn – przyjrzeni się wydatkom i zobaczyli na liście płac pozycję: Gunnersaurus. Popatrzyli na zdjęcie w kartotece pracowniczej: duże, zielone, pluszowe, z zaniedbanym *manicure*. „Tniemy – pomyśleli – nie będzie się futerko kurzyć, wywalamy na zbity pysk, przecież nie ma kibiców, nikt nie zauważy”. I tak, po 27 latach wiernej służby klubowym barwom, pracę stracił niejaki Jerry Quy, wcielający się w klubową maskotkę dinozaura. Za każdą maskotką człowiek, jak Anglia długa i szeroka: w Leicester

mają Liska Filberta, w Watford: Szerszenia Harry’ego... i tak dalej, pszczołki, orły, koguty, kanarki i misie, aż po Czerwonego Freda z Manchesteru United.

Wydało się, że wolność Tomku w swoim domku, że po zawodach. Aż tu nagle – z cienia z hukiem wychodzi sam Mesut Özil, wygasa gwiazda światowego futbolu, ze szczególnym uwzględnieniem reprezentacji Niemiec. Özil pobiera z klubowej kasy Arsenalu ni mniej, ni więcej 350 tys. funtów tygodniowo. Za co? Otóż tak się szczęśliwie dla niego składa, że od długiego czasu za nic, w sumie. Za gotowość. Nie przejmuję się zbyt, że trener go nie wystawia, pociesza się rzucając okiem na regularne przelewy, co to mu wpływają dobrze na nastrój. I teraz ktoś mu odpowiedział, żeby spłatał pracodawcom psikusa. Özilowi nie trzeba było dwa razy powtarzać, więc uroczyście ogłosił całemu światu, że się pochyła nad losem skrzywdzonego Gunnersaurusa, że bierze los maskotki w swoje ręce, że osobiście będzie dinozaurowi płacił pensję... aż do wygaśnięcia swego kontraktu z Arsenalem. Co za asysta! Czyż kapitalizm nie jest zajmujący? ©

PS. Nie, rozwiązanie, że Mesut Özil zakłada kostium dinozaura i zagrzewa kolegów z Arsenalu do walki, nie wchodzi w rachubę. To byłoby zbyt proste, tego nie ma w kontrakcie.

Lektor: Lipska – wypisy



■ Ewa Lipska
NOWY WYBÓR WIERSZY
Wydawnictwo a5,
Kraków 2020, ss. 234.
Biblioteka Poetycka, tom 110.

„KIEDY PRÓBOWALIŚMY
ze sobą rozmawiać / okazało
się / że mamy różne języki. /
Kiedy zaczynaliśmy mówić /
wspólnym językiem /
odebrano nam mowę. /
Kiedy schodziliśmy ze
wzgórz / łączyły nas już
tylko / cienie umarłych”.
To wiersz wczoraj napisany?
Nie, ukazał się w 1985 roku
w wydanym poza cenzurą
tomie „Przechowalnia
ciemności”. Szukajmy dalej:
„Historia znowu kiedyś / nie
wyłączy żelazka / mówi z na-

dzieją ogień / zapatrzony
w drewno”. To „Pogłos”, rok
2010. I jeszcze taki fragment:
„W wypożyczalni buntu /
czynna jest stołówka. // Czer-
wone wino jeziora / płynie
pod oknami. // Z naraże-
niem historii / można po
nim pływać. // Nie wszystkie
okrzyki hurra / znaczą tu
zwycięstwo. // Najbardziej
popularny / jest narodowy
gambit” – to z kolei „Dom
Spokojnej Młodości”
z „Piątego zbioru wierszy”,
rok 1978.

„Wiersze wybrane”,
opublikowane przed
pięciu laty, liczyły 462
strony. „Nowy wybór...”
jest o połowę szczuplejszy,
choć uwzględnia cztery
kolejne zbiory Lipskiej
z lat 2012-17 („Droga Pani
Schubert...”, „Miłość, droga
Pani Schubert...”, „Czytnik
linii papilarnych”, „Pamięć
operacyjna”). Po prostu
autorka dokonała bardzo
surowej selekcji utworów
wcześniejszych. Z jednej
strony żal, z drugiej – siła
uderzeniowa (już sobie
wyobrażam, co Ewa Lipska
zrobiłaby z tą metaforą)
nowej książki jest tym
większa. Ukazuje się ona
na urodziny autorki,
a przypadek zrzucił, że
w tym roku akurat w tym
samym dniu ogłoszono
werdykt sztokholmskiego
jury i wszyscy zaczęli
nerwowo szukać informacji
o niemal zupełnie nieznanym
w Polsce Louise Glück. Nie
zamierzam udawać, że sam

tęgo nie robiłem – zresztą
niespodzianki mnie
cieszą, a przypominanie
o roli poezji tym bardziej.
Pamiętajcie jednak,
drodzy czytelnicy, że
wśród nas mamy wielką
poetkę, która jak niewielu
umie z dystansem
diagnozować nasz świat,
a zarazem nazywać nasze
najintymniejsze przeżycia.
I którą czytać można bez
końca, jak to czyni niżej
podpisany.
Na koniec zaś tych wypisów
jeszcze jeden krótki wielki
wiersz – „Przesłanie”,
zamykające „Czwarty zbiór
wierszy” (1974). „Tak pisać
/ aby nędzarz myślał że pie-
niądze. // A ci co umierają /
że to urodziny”. I komentarz
do niego autorstwa Jerzego
Kwiatkowskiego, zapewne
najwybitniejszego i najwraź-
liwszego krytyka poezji
w powojennej Polsce: „Taki
właśnie ideał sztuki wydaje
mi się szczególnie cenny
i piękny. Daj Boże...”. ©&

PAWEŁ

Bravo:

Porządek w kuchni



TRZY MILIARDY. TYLE MNIEJ WIĘCEJ WYNIKÓW wynajduje Google, gdy się zapytać o „porządek w kuchni”. Żeby znaleźć układ odniesienia dla tej liczby, zmusiłem swój sentymentalny mózg, aby wytworzył i nakazał palcom wklepać roz-

maite permutacje fraz związanych z mechaniką i hydrauliką płodnego aspektu naszej cielesności. Otóż ten odważny skok w bagno przyniósł mi wyniki z rzadka przekraczające miliard odpowiedzi. Ta sama fraza po polsku występuje 21 milionów razy, czyli nie tylko rzadziej niż rozmaite plugastwa, ale nawet siedmiokrotnie rzadziej od „jak schudnąć” lub „dieta bez wysiłku”.

Tak, ład, porządek, harmonia i układ – to jest to, co najbardziej nas boli w swojej niedostępności. Przez kuchnię prze-wija się najwięcej materii organicznej poddawanej obróbce oraz procesom rozkładu. Te kwintale ziemniaków rocznie, zostawiające za sobą smugę obierek i zaschniętej skrobi, te hałdy chleba generujące zwały życiodajnych dla mrówek okruszków, te krople odpłyniętego tłuszczu, które zsumowane po roku dałyby oślizgłą kulę wielkości arbuza. Z racji swojego szczególnego statusu i zachodzących w związku z tym zjawisk kuchnia jest spleciona z ideą porządku w szczególnej dialektycznej relacji.

A może tylko się tak pocieszam i dorabiam ideologię, zmuszony do ogarnięcia czerwonych śladów po trzecim w tym sezonie i raczej ostatnim odcinku krakowskiej masakry przecierakiem do pomidorów. Filozofowałem, pobudzony czytana rano rozmową ze specjalistą z centrum modeli matematycznych Uniwersytetu Warszawskiego. O modelowaniu przebiegu epidemii, oczywiście. Jak to rzetelny naukowiec, mówił ostrożnie i nawet liczb, jakie padały w rozmowie, nie ma sensu cytować bez kontekstu, więc je pomiję. Ale mówił też o kuchni, pardon, za-pleczu badawczym: „W modelu mamy ok. 38 mln »agentów«, odpowiadających 38 mln ludzi w Polsce, rozmieszczonych na mapie kraju na podstawie danych o gęstości zaludnienia. Przedział ich wieku dopasowany jest do zachowań mniej więcej tak jak w społeczeństwie, tzn. osoby starsze idą do kościoła, osoby w wieku szkolnym – do szkoły, itd.”.

Pierwsze, co Wielkiemu Modelarzowi przychodzi, ot tak, spod palca, jako skojarzenie z polskim staruszkim, to że skoro słonko wstaje, drepcze sobie na mszę. Ale ufam, że owi agenci, czyli wirtualne ludziki z brzucha komputera, są wyrzeźbione z większą nieco uwagą do szczegółów.

W końcu z tego samego centrum modeli biorę co rano prognozę pogody, jedyną, jakiej potrafię choć częściowo zawie-rzyć. Rzadko chybi totalnie, ale miewa liczne rozminięcia, czasem bolesne dla kogoś, kogo burza złapała po drodze ze sklepu, chociaż miała nadejść dopiero po kolacji. Ale nie gniewam się, raczej podziwiam, że te komputery są w stanie i tak konfrontować gigantyczną górę danych wejściowych z zapisami procesów z przeszłości. Ciekawie byłoby się dowiedzieć, co jest trudniej wymodelować? Świat od strony ludzi czy od strony nieba?

Obstawiam, że ludzi. Nie dlatego, jakoby z racji posiadania wolnej woli byli nie całkiem przewidywalni. Otóż są i wiemy to jeszcze lepiej od pokolenia naszych rodziców dzięki internetowi. Sęk raczej w tym, że liczbowo ujęty „wsad” takiego modelu musiałby uwzględnić znacznie, ale to znacznie więcej parametrów niż i tak skomplikowane kategorie opisu klimatu. Jak kwantyfikować zbiorowe emocje? Niektóre dość łatwo. Jeśli byście się spytali, czy od zeszłego tygodnia wzrósł strach w społeczeństwie, to odpowiem, że tak i to bardzo, niepotrzebny mi model. Ale nie wszystko da się zmierzyć, patrząc na sprzedaż wrażliwych dóbr. Poza tym jeszcze ten czysto ludzki chaos, brak konsekwencji i niezdolność trzymania się szeregu. „Tęsknota do porządku jest szlachetnym pretekstem, którym usprawiedliwia swe poczynania nienawiść do człowieka” – bohater „Walca pożegnalnego” Kundera wypowiedział te słowa co prawda 50 lat temu na widok oddziały ormowców pilnujących, czy każdy potulnie słucha poleceń partii w prowincjonalnej dziurze, ale jego słowa zachowują ważność. Szczególnie teraz, kiedy ze skądinąd oczywistych powodów będziemy słyszeć pomstowanie, że ludzie wystają z modelu i trudno się nimi zarządza.

Dostępny ludziom porządek jest stanem przejściowym. Czymże są te 3 miliardy porad w internecie, jak nie próba jego utrwalenia, tak jak wiersz i list próbuje zachować na dłużej miłość albo radość, która musiała stać się wspomnieniem. Pisać wierszy nie umiem, ale kocham swoją kuchnię czynem, zdrapując czule z jej kafelków czerwone pomidorowe piegi.

© P

Zalóżmy, że akurat w kuchni ład jak na renesansowych obrazach idealnego miasta (też budzą u was ciarki przerażenia?).

Co zrobić, żeby zjeść na ciepło i mało nabrudzić? Może to, co zrobiłem, aby zużyć rozmaryn, który obciąłem po przeniesieniu doniczki z balkonu na zimę. Bez świeżego rozmarynu nie zbliżajcie się do tego przepisu. Topimy na patelni ok. 30 g masła, dodajemy rozmaryn (3-4 gałązki) i ząbek czosnku, dusimy razem na bardzo małym ogniu,

inaczej rozmaryn z przegrzania nabierze goryczy. Wyjmujemy rozmaryn i czosnek, rozprowadzamy sos 200 ml śmietanki, mieszamy jeszcze pół minuty. Wrzucamy na patelnię świeżo ugotowane jajeczne tagliatelle, mieszamy intensywnie, aby uzyskać kremową konsystencję sosu, w razie konieczności rozcieńczając go odrobiną wody po makaronie. Na koniec posypujemy obficie pieprzem i parmezanem.



ŚWIĄTEK MOMENTS

Przeciwniczki poruszały się, odbijały, czasem coś wspaniałego nawet im się udało wykonać, lecz tkwiły w krainie rozpadu.

Jakby z drugiej strony kortu
spojrzał bazyliszek.

MAREK BIEŃCZYK

IWTEDEY WYKONAŁA TO JESZCZE JEDNO ZAGRANIE. LEWĄ REKĄ, odpowiedzialną za prowadzenie dwuręcznego uderzenia z backhandu. Uniosła nieco dłoń, obróciła w swoją stronę i lekko nią zakręciła. Jakby miała w ręku kukielkę-sobowtóra, z którą rozmawia. Było parę sekund po ostatniej piłce; Iga Świątek opadła na kolana, najpierw zakryła twarz, i zaraz ten gest. Niewidzialna kukielka mówiła: „Niezły numer wykręciłaś, co? Chyba to zrobiłaś. No powiedz, chyba tak?!”.

Wola mocy

Piękny końcowy strzał, zostanie w pamięci. Na jedną, drobną chwilę, zanim się zacznie wielka feta i święto dziękczynienia, pojawiła się jeszcze odrobina dystansu, niemal autoironii, spojrzenie na siebie z zewnątrz. Cudny błysk inteligencji.

Tak, wykręciła niezły numer. Chyba to zrobiła. Zaskrzy-piały najstarsze fotele: kumpel, z którym po raz pierwszy w życiu wyszedłem na kort w 1974 r., ruszył się i po ćwierćwieczu głuchego milczenia przysłał esemesa: „No to doczekaliśmy się”. Miał rację. Czy w ogóle na coś innego czekaliśmy, grając wtedy całymi dniami i znając na pamięć nazwiska pierwszej setki graczy? Tenis pozostaje bez wątpienia królewskim sportem, sportem najbardziej nietzscheańskim, w którym, jak w żadnej innej dyscyplinie, wola mocy czyni cuda, i który od każdego naszego ruchu, każdej reakcji wymaga maksymalnego naprężenia, napięcia i energii, który żąda myśli od razu wcielonej w działanie, bo życie ma być takie, a nie inne. Jak dobrze jest mieć w końcu swoją królową, naszą *Überfrau*.

Dziwny był ten sobotni finał Roland Garros, najpierw obustronnie rozedrgany, później, za sprawą Sofii Kenin, niedokrzwisty. Oglądany na stojąco, jak końcówki najbardziej dramatycznych występów polskiej jedenastki; nie dało się z nerwów (wreszcie! wreszcie jakieś wrzenie!) usiąść, choć od trzeciego



gema drugiego seta rozsądek podpowiadał, że Kenin już ten mecz mentalnie odpuściła. Być może z powodu kontuzji, lecz raczej trzeba dostrzec destabilizacyjną grę mistrzyni.

Każda kolejna przeciwniczka, od pierwszej rundy po mecz ostatni, zdawała się długimi okresami czy wręcz, jak Simona Halep, od piłki pierwszej do ostatniej, tracić rezon. Powiada się w takich przypadkach, że ktoś „ma słabszy dzień”, lecz to oczywiście nieprawda. Kiedy się komuś wyrwie centralną śrubkę, nie ma co stopniować: nie najlepszy, gorszy, słabszy. Bez śrubki dzień nie mógł być po prostu dobry, wszystko bolało, to noga, to nadgarstek, to całe istnienie.

W grze Igi Świątek było coś, co odsuwało rywalki od nich samych. Jakby z drugiej strony kortu wstrzyknięto im truciznę, która powoli, niezauważenie rozkłada organizm, albo jakby spojrzął na nie bazyliszek. Ktoś z zewnątrz sterował ich graniem, skazywał na niezdarność. Poruszały się, odbijały, czasem



JULIEN DE ROSA / EPA / PAP

Iga Świątek po wygranej z Nadią Podoroską w półfinałowym meczu turnieju French Open Roland Garros, Paryż, 8 października 2020 r.

coś wspaniałego nawet im się udało wykonać, lecz tkwiły w kranie rozpadu. Halep miała oczy osaczonego zwierza, agresja Kenin zwróciła się przeciw niej samej, Włoszka Trevisan szybko zrozumiała, coraz szerzej się uśmiechając, że ona gra tu co najwyżej w grę zwaną odbijaniem, nieco podobną do tenisa.

Lecz co tak rozsadzało przeciwne światy? Spodziewaliśmy się, że w finale będzie to *forehand*, którym Świątek osaczyła Halep, a był *backhand*, podczas gdy *forehand* tylko naprowadzał lub przedłużał wymiany; spodziewaliśmy się prącego co sił huraganu, długimi chwilami była bryza, z której wylatywały pojedyncze pioruny, więcej pozornie defensywy (stąd nawet chwile rozczarowania) niż ofensywy. Trudno ostatecznie powiedzieć.

Każdy amator, który schodząc z kortu, podpatruje grę choćby piętnastoletnich juniorów (a co dopiero zawodowców), nie może się nadziwić szybkości wymian. Piłki lecą jak szalone. Tego pędu na ekranie nie widać; również rotacji można się co

najwyżej domyślać. Lepiej widać geometrię kortu, lecz tak zwana gra kątowna, względnie krótkie piłki posyłane na boki – mocna strona Świątek – wszystkiego nie wyjaśnia. Nie wyjaśnia serwis, nie wyjaśnia *return* ani *drop shot*, nie wyjaśnia sposób poruszania się. Zawieśmy więc odpowiedź do końca pandemii, gdy będzie można królową obejrzeć na żywo i spróbować pojąć sedno jej paralizującego działania, albo czytamy teorie dezintegracji.

Ale przyjemnie!

Ten Roland Garros był jak teatr grecki na wspak. Nieliczni dopuszczeni widzowie obsiadali trybuny w maskach (sztaby trenerskie wyglądały niczym zamaskowane gangi), podczas gdy aktorzy tworzyli wydarzenia z obnażonym licem. Tylko jedno pozostawało tam w dole częściowo zakryte.

Po pierwszym meczu uzmysłowiłem sobie, że właściwie nie wiem, jak wygląda Iga Świątek; na ulicy trudno byłoby mi ją →

→ rozpoznać. *Larvato prodeo*, przez całą swą tenisową karierę, tak krótką, a dziś, wydawałoby się, wieczną (czy w tej chwili, w sobotę o godzinie 17, gdy wokół szaleje wirus zatruwający wszelkie myśli, istnieje dla nas życie poza Igą Świątek?), idzie zasłonięta. Dla kogoś, kto jak piszący te słowa nie śledził wcześniej jej internetowych wizerunków i oglądał ją wyłącznie na korcie, jej twarz, skryta w głębokim cieniu rzucanym przez rozległy daszek czapki, pozostawała sekretna. Jedynie w chwili serwu odslaniają się oczy, brama do duszy. Podnosi wzrok wysoko i dopiero wtedy wyrzuca w górę piłkę. Rafael Nadal przed serwem rytualnie dotyka w trzech miejscach twarzy, jakby upewniał się, że jest, kim jest, domykał się w sobie. Świątek patrzy ponad siebie, tam, gdzie ma wlecieć piłka, w przestworza. Stąd wrażenie, że nawiązuje kontakt z siłą zewnętrzną, która za chwilę zsunie się na dół i natchnie sobą uniesioną już i gotową do uderzenia rękę. Wrażenia to opium dla kibica, który mniej śledzi tabele niż gesty i skłonny jest raczej krzyczeć, niż liczyć błędy niewymuszone i wymuszone. David Wallace swój wiekopomny tekst poświęcony tenisowi zatytułował „Roger Federer as Religious Experience”. Nie żałował mocnych słów, „religijny”, „metafizyczny”, choć w swym opisie gry Rogera Federera był też fantastycznie konkretny. Po jednym z niemożliwych zagrań („Federer Moment”, jak nazywał jego nieziemskie uderzenia) żona ujrzała go na kłęczkach, wrzeszczącego jak szalony wśród porzucanych chipsów. Pozwolę sobie dodać nieskromnie, że mój domownik w trakcie meczu Świątek z Halep dostrzegł po raz pierwszy od marcowego lockdownu wypieki na mojej głowie i spocone oczy.

Wallace, doskonale zorientowany w tenisowej technice, zarazem widział wyraźnie granice, które przekraczał Federer, gdy jego gra przestawała być tylko tenisem i stawała się „tajemnicą i metafizyką”. Metafizyka miałaby polegać na nadnaturalnej u Federera zdolności wymykania się spod niektórych fizycznych praw. Piłka, która się do niego zbliża, zdaje się zawisnąć w powietrzu ułamek sekundy dłużej niż dla innych graczy; ma on zatem jakby więcej czasu przed uderzeniem. Co sprawia, pisze Wallace, że Federer wydaje się bardziej i jednocześnie mniej substancjalny niż jego przeciwnicy: „W szczególności na białym Wimbledonie (...) wygląda tak, czym chyba (tak myślę) istotnie jest: stworzeniem, którego ciało jest pełne, a przecież w jakiś sposób leciutkie”.

Mój entuzjazm jest zbyt racjonalny i ostrożny, by ruszyć od razu na Kowno, to znaczy stosować jakąkolwiek komparatystykę z wielkimi mistrzami, od których dzieli legenda oraz kilkadziesiąt tytułów wielkoszlemowych, czy nawet piękna talia nietytułowych osiągnięć, jak te Agnieszki Radwańskiej. Szkoda, co właściwie mam w tym pandemicznym *reductio ad nihilum* do stracenia.

Przecież nawet francuscy wielbiciele tenisa, co mówię na podstawie pierwszych komentarzy, są wyjątkowo szczodrzy w swych opiniach o grze Igi Świątek, której polubili także styl zachowania, uśmiech i wdzięki. Tylko niewielu przypomina o losie Ostapenko, litewskiej mistrzyni Roland Garros w roku 2017, tej, co później nie odniosła znaczących sukcesów. Większość – podobnie jak sam Mats Wilander czy John McEnroe – przywołuje inne nazwiska: Steffi Graf, Martina Hingis, Justine Henin. *A star is born*. Lubią w jej grze lekkość, nieprzewidywalność, brak brutalnej, nagiej siłowości tłamszącej inteligencję; jak pisze jeden z nich: „wreszcie mamy zawodniczkę, która nie

wysłała po przekątnej płaskich cegieł, wyjąc przy tym wniebołosy. Dobry Boże, ale przyjemnie!”.

Niech będzie, żadnych przesadnych porównań z legendami, jednak mecz Świątek z Halep, czwarta runda tego turnieju, zanurzy w mistyczne doznanie każdego racjonalistę. Zostanie w pamięci tak, jak dwa finały siatkarki w ostatnich mistrzostwach świata czy może spotkanie Polska-Portugalia jeszcze za Beenhakera, chwila najlepszego naszego futbolu od czasów Górskiego po dziś dzień.

Właściwie nie jeden mecz, a dwa. Realny, gdy piłka za piłką omijały raketę Halep i z gema na gem rośla przewaga Polki. Oraz symboliczny, gdy postać Halep przybierała wygląd Świątek sprzed roku w tym samym miejscu i w tych samych okolicznościach. Forehandy waliły w kort Rumunki, lecz niszczyły była Iga. Trzeba było zabić w sobie tamtą dawną Świątek 0:6 1:6, zagrać własne przeobrażenie. Stąd, można przypuszczać, brała się ta inwazja, to agresywne przypieranie do muru, bezlitosna precyzja uderzeń, soczystość forehandowych crossów.

Hymn do mączki

Świątek by powiedziała, że „przepracowała kompleks tamtego meczu”; mówiąc o tenisie, używa często profesjonalnego języka psychologicznego. Dzięki temu przepracowaniu zyskaliśmy widoki niezwykle. Z tenisowego punktu widzenia spektakl przerósł wszystko, co na kobiecym Roland Garros widzieliśmy. Lecz nie tylko tenisowego; chwilami, przy niektórych uderzeniach, przy niektórych pozach, ustawianiu się do piłki, rodziło się, by raz jeszcze sięgnąć do Wallace’a, „kinetyczne piękno”; takie, które nie ma nic wspólnego z kulturowymi normami czy z erotycznością, a ma „raczej coś wspólnego z ludzkim pogodzeniem się z faktem, że ma się ciało”. Chciałoby się tego więcej, na zawsze, w kolejnych spotkaniach, lecz naiwnością byłoby sądzić, że Świątek, pokazując, jak to się powiada, „swoją najlepszą grę”, wyznaczała trwałe model swojej gry. Kort ziemny wymaga wielu sposobów postępowania. I o wiele większej niż inne nawierzchnie plastyczności: umiejętności przechodzenia od jednego sposobu do drugiego.

Frankofil we mnie ze wszystkich czterech szlemów najbardziej lubi Roland Garros; to naturalne. Obok Tour de France drugie największe wydarzenie sportowe we Francji; oba – podobnie jak u nas kiedyś Wyścig Pokoju – przeniknęły w życie codzienne, wyznaczając nie tylko dla kibiców rytm roku. Tour de France w pełni lata wiąże się ze skwarem, zawieszonym, nieruchomym powietrzem, które przecinają męczennicy kolarze, podczas gdy widzowie leniwie osuwają się już w kanikule. Wiosenny Roland Garros jest świętem ożywienia, przygotowaniem do lata, na trybunach wrze, tyle jeszcze dobra przed nami. Nie tyle nawet kibiców brakowało najwięcej na tegorocznym turnieju, ile tego właśnie wiosennego pobudzenia, ekscytacji cza-sem, który nadchodzi.

Ale Roland Garros pozostaje ulubieńcem całej tenisowej Europy kontynentalnej, która wychowała się, jak my to określamy, na „mączce” lub „cegle”. Francuzi nazywają tę nawierzchnię „ubitą ziemią”, Amerykanie jakby nieco pogardliwie – „gliną”. Mączka daje tenisowi to, czego inne nawierzchnie nie zdołają oferować. Wimbledonśka trawa, druga nawierzchnia pod względem ważności, stawia na refleks; piłki lecą tak szybko (choć w ostatnich latach kładzie się trawę mniej śliską, co wydłuża wymiany), że są odbijane *in extremis*, w ostatniej możliwej chwili,

i ilość błędów wyraźnie rośnie. Jest nadal pięknie, subtelnie (pomyślny o grze Radwańskiej), lecz nie rozwija się tu w pełni cała możliwa epickość, jaką daje mączka. Nawierzchnie sztuczne w dwóch pozostałych Wielkich Szlemach, US Open na Flushing Meadow oraz Australian Open w Melbourne, generują grę mniej nacechowaną i w większym stopniu faworyzującą nagą siłę.

Piękno kortu ziemnego obejmuje sam kolor bijący w oczy; to ziemia wysublimowana, przemalowana przez artystę cudnie naiwnego. Grającym daje poczucie nieograniczonej swobody, gdyż umożliwia nawet dwumetrowy ślizg, baletowy szpagat. Noga, puszczona swobodnie, posuwa się jak po lodzie; całe ciało przy tym tańczy, a rozpryskujące się wokół drobiny, mała fontanna, zdają się podkreślać naturalny charakter widowiska, rozgrywającego się tu, na tej wzniosłej brudnej glebie. Lecz to przede wszystkim na mączce trudniej wywalczyć punkt i dlatego gra wymaga jeszcze więcej taktyki, inteligencji, jeszcze większego wachlarza technicznych umiejętności, długodystansowej ruchliwości, a nie krótkotrwałych zrywów, gdyż mecz na cegle jest w większym stopniu procesem niż zderzeniem (w boksie odpowiednikiem byłoby piętnaście rund zamiast trzech).

Iga Świątek uznaje mączkę za swoją ulubioną powierzchnię. Wpisuje się w rosnący trend; coraz więcej zawodników pragnie odbyć gruntowną edukację właśnie na kortach ziemnych. Czas jakiś temu pytano Rafaela Nadala – w związku z sukcesami nowej fali rosyjskich tenisistów i tenisistek – o szkołę rosyjską. Odpowiedział krótko: „Nie ma szkoły rosyjskiej”. Bo też wszyscy niemal Rosjanie przechodzą przez szkołę hiszpańską, najważniejszą w świecie mączki. Niegdyś Hiszpanie zdominowali korty ziemne, teraz w ich tenisowych centrach kształcą obcokrajowców; mniej jest Hiszpanów w czołowej setce, lecz więcej graczy wzorujących się na Hiszpanach. Nawet w Stanach, gdzie korty ziemne były w pogardzie, brat Johna McEnroe, Patrick, wykoncypował projekt ich popularyzacji.

Ten kontekst ceglasto-hiszpański ważny jest dla Igi Świątek; w końcu jej idolem pozostaje Nadal, który możliwości gry na korcie ziemnym rozwinął do tego stopnia, że stworzył niejako oddzielną dyscyplinę, nadal-garros czy podobnie. Problemem jest to, że grę w nadala wygrywa zawsze Nadal – zrobił to też w minioną niedzielę.

Przy zachowaniu wszystkich proporcji tenisowy styl Igi Świątek ciąży w „hiszpańską” stronę. Pobawmy się na zmianę analogią muzyczną, jazzową; jazz jest w końcu najbardziej jazzowym gatunkiem muzycznym, tenis jest najbardziej jazzowym sportem. Jeden model gry – à la Charlie Parker – stawia na szybkie ujawnianie danych nam dźwięków, na od pierw-



Iga Świątek, zwyciężczyni turnieju French Open Roland Garros. Paryż, 10 października 2020 r.

Mój domownik w trakcie meczu Świątek z Halep dostrzegł po raz pierwszy od marcowego lockdownu
**wypieki na mojej gębie
i spocone oczy.**

szej chwili mocne, nawet brutalne wtargnięcie w nasze uszy, gwałtowne zawładnięcie ciszą. Drugi model – à la Coltrane – dźwięki dozuje powoli, oszczędnie, nie dociskając pedału, by z czasem powtarzać je równomiernie, lecz coraz mocniej, aż wreszcie nastąpi końcowy, zwycięski wybuch.

Wydaje się, że Świątek zaczynała od modelu pierwszego, grając mocno, bezpardonowo, z całych sił (co nie wykluczało pomysłowych improwizacji), i że wraz ze swoim trenerem przechodzi stopniową ewolucję w kierunku modelu „coltrane’owskiego”, który bardziej pasuje do kortu ziemnego: wywiera presję stopniowo, *crescendo*, lepiej panując nad różnymi tempami, raz grając ciszej, a raz głośniej, aż wreszcie ten narastający nacisk okaże się nie do powstrzymania.

Iga i Rafa

Czytelnicy „Tygodnika Powszechnego” wrażliwi na konteksty kulturowe z pewnością polubili niedawną, jeszcze sprzed turnieju,

wypowiedź Igi Świątek na temat jej przyszłości: może rzuciła dzień tenis i odda się czemuś innemu, prawdopodobnie nauce. Myśli się od razu o osiemnastoletnim Arturze Rimbaudzie, który rzucił poezję i pojechał do Afryki. Paradoksalnie to ta decyzja, a nie sama poezja, wyzwoliły rimbaudomanie, która trwa do dzisiaj. Patti Smith każe pielgrzymować do miejsca, w którym się urodził, a Jima Morrisona gnała na jego grób. Po Roland Garossie już wiemy, że Świątek nie będzie – dla nas szczęśliwie – Rimbaudem tenisa.

Igomania i tak się rozkręci, właściwie już wybuchła, już wszyscy chcą się z nią bratać (*pardon*, siostrzyć), mówić o niej „Iga”, tak jak się mówi o Federerze „Roger”, a o Nadalu „Rafa”.

Nie wiem, czy ze starego fotela wypada coś młodości, składając gratulacje i dziękując za te dwa tygodnie, życzyć. Jeśli tak, to przede wszystkim, żeby była jak najczęściej szczęśliwa bez względu na drogi i przypadki, jakie los dla niej wybierze. I żeby jak Holden Caulfield, buszujący w zbożu, zważała na świat bardzo dorosłych, bo jest to raczej świat okropny. I żeby kiedyś o jej zagraniach mówiono „Świątek Moments”. I żeby następnym razem – to życzenie dla nas wszystkich – gratulowało jej zwycięstwa nie tysięcy, a piętnaście tysięcy ludzi bez masetek na pełnym stadionie.

I oczywiście jeszcze jedno. Dawno temu Gustavo Kuertenowi puchar po zwycięstwie na Roland Garros miał wręczać Björn Borg. Na widok starego mistrza Kuerten zrobił wspaniały, gimnastyczny skłon do samej ziemi, a nawet chciał rzucić się na kolana. Więc życzę Idzie, żeby za parę lat kolejny puchar wielkoszlemowy na Roland Garros wręczał jej Rafa Nadal (już mocno łysiejący) i żeby jej ukłon był równie głęboki. Wtedy koło się domknie i wszystko się spełni. © MAREK BIEŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz:

Znowu o pięknie



MAMY ZNAKOMITY WYSYP PRZEWIDYWAŃ, gdzie oto będzie teraz urzędował Jarosław Kaczyński. Czy mianowicie będzie sobie siedział, jak zawsze, w siedzibie partii przy ulicy Nowogrodzkiej w Warszawie, czy raczej przeniesie się z całym majda-

nem do gabinetu służbowego, przysługującego mu z racji wicepremierowania.

Wróżbom tym jakże często towarzyszą ostatnio bardzo niepochlebne opinie na temat wyglądu warszawskich biur Prawa i Sprawiedliwości. Opinie o estetyce budynku, w którym się mieszczą, wykładzin tam obecnych, zasłon, kotar, kulawych krzeseł i płam od kawy na tapicerkach (choć – to szczegół, ale przecież ważny – prezes Kaczyński pije tylko herbatę). Takie to rzeczy wypisuje wielkonakładowa prasa z obcym kapitałem, czekająca na repolonizację.

Tak samo niepiękne są opinie o okolicy biura PiS-u, co jakoby wynika z silnego promieniowania odeń brzydoty. A więc powiada się, że okoliczne parkingi, podworce, bramy, krzywe bruki, komórki śmietnikowe, ba!, nawet świeżo wybudowane luksusowe wieżowce – że wszystko to jest ogromnie i ponadnormatywnie brzydkie, nawet jak na Warszawę. Że oto cała tamta okolica porasta szybko roślinnością ruderalną, charakterystyczną dla przydrożnych rowów, przychać i wysypisk, że także żerują na tym wszystkim osobiście organizmy i bynajmniej nie są to kotki, pieski, pandy bądź rozkoszne foczki, lecz reprezentacja bezkręgowców aż po paskudne kręgowce, a dzieje się tak dlatego, że jest omiatane reflektorem brzydoty świecącym z biura PiS-u przy ulicy Nowogrodzkiej. Faj, głosi taka i owaka gazeta, i każda z nich,

zanim zaczęła estetycznie mędrkować, winna się jednak była puknąć w główkę, jeśli nie chce, by na mocy przyszłej, planowanej ustawy repolonizacyjnej jej naczelnym redaktorem nie został człowiek od Czarnka, Gowina albo i pośła Suskiego.

No więc tym nieostrożnym, ale i przedziwnym opisom miejskiej przyrody warszawskiej towarzyszą nieuniknione, ale też – co uważamy za całkiem niepotrzebne – bezmyślne, sadystyczne i osobiste wycieczki do pocucia piękna, czy raczej jego braku, u prezesa PiS. Oto na naszych oczach na pochyłe drzewo każda koza skacze – chciałoby się rzec. I to prawda. Jarosław Kaczyński w sprawach estetycznych jest ogromnie pochyły, co widać i słyhać nie od dziś, ale od zawsze. Temat piękna, a zwłaszcza polskiego rozumienia estetyki, jest dla nas tematem niemal najważniejszym. Jest to zbiór zagadnień i problemów o ogromnej szerokości, ale i wysokości. Od dawien dawna najtęższe głowy naszej kultury oraz kulturystyki, gdy orientowały się, z jak rozległym problemem mają do czynienia, wycofywały się wstydliwie z zamiarów pożywnego syntetyzowania owego zagadnienia. Uświadamiały sobie nagle i boleśnie, że choćby zjadły tysiąc kotletów, to nie udźwigną, taki to ciężar. Naturalnie my, tak jak tu sobie ponuro siedzimy w kwarantannie, nie ulegamy łatwym zniechęceniom, a rączki nam nie opadają, jak państwu polskiemu w obliczu koronawirusa, upadku obyczajów czy kultury osobistej.

Po prostu znakomicie wiemy, że ogół, który nigdy, od stu pokoleń nie miał ani jednej lekcji, na której by go poinformowano, co jest ładne, a co brzydkie, nie może mieć nic w tej sprawie do powiedzenia i musi onże błąkać się po suburbiach estetyki. Nawiasem, są niszowi badacze uważający, że w Polsce nie tylko nie uczy się tego, co ładne, a co brzydkie, ale także nigdzie nie ma oferty lekcyjnej rozróżniania dobra od zła. To lekka może przesada, ale coś jest na rzeczy, każdy to powie. Wracając do spraw estetycznych – nie można winić Jarosława Kaczyńskiego za to, że nie był na żadnych zajęciach z piękna, skoro takich zajęć nikt nie oferował. Nie można bowiem mieć za złe bliźniemu, że czegoś się na ochotnika nie uczył, bądź czegoś nie zrobił, i że po prostu nie jest herosem.

© P

BARTOSZ MINKIEWICZ

RYSUNEK DO OBRÓCENIA ↗



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

MAGAZYN
CONRAD 03

„TP” 42/2020



widzialne
i niewidzialne

**19–25.10
2020**

międzynarodowy festiwal literacki
www.conradfestival.com
znajdź nas: #conradfestival

CHANTAL MOUFFE

SIGRID NUNEZ

MAŁGORZATA REJMER

MATEI VIȘNIEC

oraz

**ELSA VON FREYTAG-
-LORINGHOVEN**

Festiwal Conrada, 19 – 25 października 2020



GRZEGORZ JANKOWICZ

W ramach tegorocznej edycji Festiwalu Conrada zaprezentujemy dyskusje na temat literatury z udziałem pisarek i pisarzy z całego globu. Mam nadzieję, że ich refleksje pozwolą nam lepiej zrozumieć źródła problemów współczesnego świata. Właśnie taka literatura – w krytyczny i angażujący sposób komentująca rzeczywistość – interesuje nas najbardziej. Właśnie taką literaturę pragniemy Wam przybliżyć.

Opowieści prowadzą nas w strony, w które sami nigdy byśmy się nie zapuścili, czynią widzialnymi zjawiska, które na co dzień umykają naszej uwadze, uczą nas patrzeć inaczej – w przenikliwy i empatyczny sposób. Ale sama literatura również potrzebuje naszej uwagi. Powstaje bowiem w określonych warunkach i mają na nią wpływ przeróżne mechanizmy społeczne, polityczne i ekonomiczne. Ludzie, którzy ją współtworzą, borykają się z licznymi problemami, których rozwiązanie będzie możliwe wyłącznie wtedy, gdy wspólnie podejmiemy namysł nad ich przyczynami.

Literatura to książki oraz ich autorki i autorzy, ale pole literackie, w którym książki powstają, jest niezwykle złożoną strukturą społeczną. Składa się z wielu instytucji, których pracownicy odgrywają istotne role w procesie wydawniczym. Pisarkom pomagają redaktorzy, redaktorom – korektorzy. Potem tekst trafia do składacza i wreszcie do drukarzy. A są jeszcze ilustratorzy, projektanci okładek, tłumaczkę, promotorzy, księgarze, bibliotekarki, organizatorzy wydarzeń literackich, krytyczki i blogerzy... By uczynić tę potężną grupę widzialną, postanowiliśmy zorganizować Kongres Książki, który będzie towarzyszył tegorocznej edycji Festiwalu Conrada.

Podczas debat i branżowych warsztatów będziemy zajmować się problemami pojawiającymi się w polu literackim, dążąc przy tym do wypracowania narzędzi, które posłużą do ich rozwiązania. Kilka przykładów. Przedstawimy modelowe umowy dla pisarek i pisarzy, które będą zabezpieczały ich interesy. Zastanowimy się, w jaki sposób przygotować program wydawniczy i jak uwzględnić w nim oczekiwania nie tylko czytelników, ale także księgarzy, bibliotekarzy, nauczycieli i animatorów czytelnictwa. Wskażemy projekty literackie wspierane przez samorządy miejskie, a także określimy priorytety dla metropolii ubiegających się o tytuł Miasta Literatury UNESCO.

Kongres Książki ma na celu dialog między różnymi środowiskami, przede wszystkim między twórcami i wydawcami, a także wszystkimi, którzy są zaangażowani w tworzenie książki. Bez tego dialogu literatura nie może się rozwijać. Naturalną przestrzenią dla takiej rozmowy jest Festiwal Conrada. Bądźcie z nami już w przyszłym tygodniu.

GRZEGORZ JANKOWICZ

DYREKTOR PROGRAMOWY FESTIWALU CONRADA

W NUMERZE



91

MAGDALENA KICIŃSKA
Samotnica



95

MAŁGORZATA REJMER
Szukam opowiadaczy



100

Debiuty siłą kobiet



102

BOGDAN CRETU
Wolność jako niewola



106

PAWEŁ JASNOWSKI
Więcej demokracji



109

RENATA KOPYTO
Wojna o pisuar

REDAKCJA

Grzegorz Jankowicz
PROJEKT GRAFICZNY
Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA
Artur Strzelecki
FOTOEDYCJA
Edward Augustyn
Grażyna Makara
KOREKTA
Grzegorz Bogdał
Katarzyna Domin
Sylvia Frołow
Maciej Szklarczyk
OKŁADKA
Fajne Chłopak

Organizatorzy:



Kraków



kbf:



www.conradfestival.com

Zespół Festiwalu Conrada:

Dyrektor artystyczny
– Michał Paweł Markowski
Dyrektor programowy
– Grzegorz Jankowicz
Dyrektorka wykonawcza
– Urszula Chwałba

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Samotnica

MAGDALENA KICIŃSKA

**Cudem literatury – mówiła Sigrid Nunez
w jednym z wystąpień – jest to, że można być dzięki niej poza
i zarazem w samym centrum świata.**

Napisać o przedmiocie, określając uprzednio kategorię: to książka. Taka, która nie przestała być ważna. Wyjaśnić dlaczego. Zdania notować w języku ojczystym.

Gdybym poszła na kurs pisania, który prowadzi narratorka „Przyjaciela” Sigrid Nunez, ucieszyłabym się z podobnego zadania. Zakasałabym rękawy, przygotowała zestaw ulubionych papierniczych utensyliów, naparzyła herbaty (zielonej lub białej, ewentualnie jaśminowej), zapaliła świecę. Odprawiłabym rytuały podpatrzone w książkach i kolumnach spod znaku „Jak oni piszą?”. A potem rozejrzałabym się dookoła. I poczuła samotna jak może nigdy dotąd.

W takim miejscu zaczyna się ta niepozorna historia. Niepozorna, niewielka (cała powieść zamyka się w dwustu stronach) i kameralna. Opowiada o dojrzałej kobiecie (akademiczce, wykładowczyni, nowojorskiej pisarce) i psie należącym nigdy do jej przyjaciela, który popełnił samobójstwo. Zanim to zrobił, wytypował właśnie ją do opieki nad swoim ponadwymiarowym czworonogiem o imieniu Apollo. Osieroceni przez kogoś bliskiego – kobieta i pies – towarzyszą sobie w czasie żałoby, którą przeżywają na swój sposób – nie tylko emocjonalnie, ale też somatycznie, we wspólnym, choć różnym bólu fizycznym.

Odsamotnienie

Tyle. Właściwie nie ma tam żadnego innego „dziania się”. Są, owszem, byłe żony i kochanki zmarłego (i wspomnienie jego seksistowskich zachowań). Są kursanci i kursantki zajęć kreatywnego pisania, zadający beczelne i celne pytania, a także uczestniczki warsztatów organizowanych przez organizację pozarządowe, pomagające ofiarom handlu ludźmi, które narra-

torka-bohaterka namawia do prowadzenia pamiętników. Jest literacki światek, niewolny od etykiet, klisz i cierpkich komentarzy pod adresem samotnej kobiety mieszkającej z dużym, dominującym nad przestrzenią ich ciasnego mieszkanka dogiem arlekinem (który nie powinien tam w ogóle mieszkać, bo nie pozwala na to umowa najmu). Ale wszystko to znajduje się jak gdyby w tle. Na pierwszym planie jest relacja między kobietą a psem.

Jakie znaczenia nanizła autorka na subtelną nić tej opowieści, że zdobyła za nią przed dwoma laty nie tylko National Book Award for Fiction (NBA), ale i inne nagrody? Co sprawiło, że przełożono ją na

wiele języków? Czy zjednała sobie czytelników i czytelniczki, otrzymując jedną z najwyższych not w historii wybrednego klubu książki, do którego należy?

Po pierwsze: odsamotnienie. Nie, to nie literówka, lecz próba nazwania doświadczenia, które próbuje uchwycić Nunez, a które polega na tym, że w wybudowanym świadomie murze izolującym nas od świata otwiera się szczelina. Wkrada się przez nią towarzysz (w tym przypadku pies), pojawia się bliskość ze strony innego istnienia. Nie narusza to struktury komfortowego odcięcia. Przeciwnie, staje się jego elementem. Odsamotnienie polega na lekkim przeformułowaniu samotności. Jej delikatne przełamanie nie skutkuje przesunięciem granicy oddzielającej nas od zewnętrznego świata. Oto spotykają się dwie samotności i – nie wchodząc sobie w drogę – idą dalej, przed siebie, równolegle. Mają siebie w zasięgu wzroku, ale nie mierzą się nim.

W życiu bohaterki pies zdaje się możliwym do przyjęcia towarzyszem, który wymaga troski, uwagi, ale nie wprowadza do niego hałaśliwej krzątaniny, konwenansów i small talku. Zaserwowany przez Nunez opis osławiania się z nową obecnością, dla której trzeba zrobić miejsce w skrojonym na własne potrzeby świecie, należy do piękniejszych we współczesnej literaturze.

Kult opowieści

No właśnie: potrzeby. Byłby to drugi powód i źródło popularności tej powieści. Narratorce nie wystarczy „własny pokój”. Potrzebny jest jej cały świat, nawet jeśli miałby się zamykać w ciasnym, zagraco-nym mieszkaniu. Tylko wtedy może pisać, a to dla niej najważniejsze.

W tym miejscu możemy postawić znak równości między narratorką a autorką. Kiedy w 2018 r. Nunez odbierała

■ „Przyjaciel” to powieść
o dojrzałej kobiecie
(akademiczce,
wykładowczyni,
nowojorskiej pisarce)
i psie należącym nigdy
do jej przyjaciela, który
popełnił samobójstwo.
Osieroceni przez kogoś
bliskiego – kobieta
i pies – towarzyszą sobie
w czasie żałoby, którą
przeżywają na swój sposób:
nie tylko emocjonalnie,
ale też somatycznie, we
wspólnym, choć różnym
bólu fizycznym.

→ NBA, powiedziała: „Dziękuję matce i nauczycielom [jedną z jej mentorek była Susan Sontag, o której napisała książkę – MK], którzy powtarzali: jeśli spotka cię coś nawet bardzo, bardzo złego, zawsze znajdziesz schronienie w literaturze. Miałam ogromne szczęście, że nie przestawałam spotykać na swojej drodze ludzi, którzy wierzyli, że pisanie i czytanie to najlepsze, co można zrobić ze swoim życiem”.

I rzeczywiście: córka matki o niemieckich i ojca o chińskich korzeniach wychowywała się w kulcie opowieści. Studiowała literaturę w prestiżowym żeńskim Barnard College i na Columbii. Pracowała m.in. dla „New York Review of Books”. Nieraz przyznawała, że „miała szczęście, bo nigdy nie musiała dorastać. Wciąż funkcjonuje jak doktorantka”. Tyle że ta konkretna wieczna studentka stroniła i stroni od imprez w akademikach i intensywnego życia towarzyskiego. Odbierając wspomnianą nagrodę, powiedziała to wprost: „Zostałam pisarką nie dlatego, że poszukiwałam wspólnoty, ale dlatego, że można to robić w samotności, ukryciu, odosobnieniu”. Z owej samotni wyrwała się rzadko i niechętnie, głównie po to, by zarobić (ale „wystarczająco”, bo „szczególnych wygod nie potrzebuje”). Przyjmuje więc zaproszenia, by poza Uniwersytetem w Bostonie prowadzić warsztaty kreatywnego pisania. Przede wszystkim jednak: tworzy literaturę.

Po trzecie wreszcie, źródeł zachwytu nad „Przyjaciela” szukać można w sposobie, w jaki narratorka próbuje utrzymać balans między byciem w świecie a samowykluczeniem się z niego w celu tworzenia. Jak pustelnica, która potrzebuje czasem wyjść ze swego eremu, by nasycić się światem i... upewnić, że dobrze jest żyć poza nim. Bo, jak mówiła Nunez w jednym z wystąpień sprzed kilku lat: „Cudem literatury jest to, że można być dzięki niej poza i zarazem w samym centrum świata”.

Bohaterka „Przyjaciela” stopniowo rezygnuje z kolejnych aktywności społecznych. Zastanawia się przy tym, kim się stanie, gdy przestanie być nauczycielką, przyjaciółką, koleżanką czy przykłądną najemczynią. Ku własnemu zdziwieniu zauważa, że jest coraz bardziej przywiązana do psa, który wnosi do jej życia coś, co wcześniej wydawało się zbędne. Wyleniałe od powtórek pytanie „być czy nie być?” zastępuje kwestią „być czy

■ Nunez pisze o „odsamotnieniu”, które polega na lekkim przeformułowaniu samotności. Jej delikatne przełamanie nie skutkuje przesunięciem granicy oddzielającej nas od zewnętrznego świata. Oto spotykają się dwie samotności i – nie wchodząc sobie w drogę – idą dalej, przed siebie, równolegle.

SIGRID NUNEZ (ur. 1951) – amerykańska pisarka, laureatka prestiżowej National Book Award z 2018 r. za powieść „Przyjaciel”, która w 2019 r. trafiła do rąk polskich czytelników i szybko stała się bestsellerem. Wcześniej autorka napisała siedem powieści i słynne wspomnienia „Sempre Susan: A Memoir of Susan Sontag”. Jej inne teksty literackie ukazywały się m.in. w „The New York Times”, „Harper’s Magazine”, „The Paris Review” i „McSweeney’s”. Poza twórczością pisarską Nunez zajmuje się również pracą akademicką. Obecnie jest pisarką rezydentką na Uniwersytecie Bostońskim, gdzie prowadzi zajęcia z twórczego pisania.

być z?”. Rzecz jasna, nie daje ostatecznej odpowiedzi.

Opowiadanie sobie i opowiadanie siebie

Czytając „Przyjaciela”, zastanawiałam się, w jaki sposób Nunez udało się zuniwersalizować problem, który zazwyczaj interesuje wąskie grono piszących i literaturoznawców. Kogo, poza literatami, porusza opis frustracji, której źródłem jest udręka tworzenia? Po lekturze Nunez odpowiedź jest oczywista: wszystkich.

Powieść jest rejestrem różnych relacji. Mamy parę przyjaciół-przyjaciółką. Mamy pisarkę bez większego sukcesu i pisarza z dorobkiem, choć od lat niepublikującego. Nauczycielkę i zblazowanego literata śliniącego się na widok studentek. Kobietę i mężczyznę. Możemy przyjrzeć się ich losom. Nunez skłania nas do zadawania kolejnych pytań. Kto tak naprawdę ma talent? Kto – również dzięki patriachatowi – odniósł większy sukces? Kto kogo podziwiał? Kto do kogo żywił uczucia? Kto komu ofiarował przyjaźń? Żadna z tych kwestii nie jest oczywista. „Przyjaciel” jest również opowieścią o lojalności – wobec przyjaciela, a też wobec samej siebie. Na ile to, co robi ktoś nam bliski lub za takiego się podający, jest zgodne z tym, w co wierzymy? A jeśli nie jest, to czy fakt ten musi przekreślać szanse na przyjaźń?

Narratorka szczerze wyznaje, że nie nadąża za sloganami, które mówią jej, co – z racji wykształcenia, uprzywilejowanej pozycji, bycia częścią nowojorskiej elity intelektualnej – „powinna” przyjąć jako część własnej formy życia. Przyznaje się, że nie nadąża za zmianami obyczajowymi, tak naturalnymi dla kolejnych pokoleń studentek i studentów, z którymi jako nauczycielka ma kontakt. Najdobitniej i najciekawiej to jej nienadążanie manifestuje się w damsko-męskim wymiarze jej relacji z przyjacielem.

Autorka nie unowocześnia poglądów swojej bohaterki, dając ją nam taką, jaką stworzyła kultura, w której funkcjonowała, kultura, w ramach której jedną ze strategii przetrwania w męskim towarzystwie jest przyjęcie przez kobietę roli wyrozumiałej, pozwalającej na przesuwanie granic przyjaciółko-kochankomatki.

Niczego w tej opowieści nie możemy być pewni. Nie wiemy, ile w odmalowanym przez narratorkę obrazie przyjaźni jest prawdy, a ile zmyślenia, ile nadziei, a ile naiwności, ile oczekiwań, a ile projekcji przeniesionych na drugą istotę.

Na dwustu stronach Nunez udaje się zmieścić całą złożoność relacji między „opowiadaniem sobie” a „opowiadaniem siebie”. Również w aspekcie formalnym, bo przechodzenie od monologu wewnętrznego do notatek i wypisów z lektur, oddanie głosu zewnętrznemu, objętnemu wobec przywoływanych zdażeń narratorowi oraz niechronologiczny



MINEHAN / GETTY IMAGES

rozwój historii podkreślają chwiejność tej relacji.

Współbycie

I chwiejność, alinearność, abstrakcyjność samego procesu żałoby.

Bohaterka coraz mniej interesuje się światem poza mieszkaniem, które dzieli z psem, choć świat się o nią upomina. Znajomi interweniują, by powstrzymać eksmisję, której podstawą jest nieprzepisowa obecność zwierzęcia. Bohaterka

przyjmuje to obojętnie. Nie chce walczyć o mieszkanie. Nie chce też szukać innego. Poddaje się prądowi wypadków, bo wie, że nawet jeśli będą tragiczne w skutkach, to i tak przetrwa. Umożliwi jej to pies. Dysponuje też intuicją, którą mają tylko ci, którzy przeszli przez doświadczenie żałoby: czuje, że irracjonalne działania przyniosą jej spokój.

Trwanie w bezruchu, kurczowe trzymanie (się) za dużego psa w za małym mieszkaniu – dawno nie natknęłam się na rów-

nie mocną metaforę żałoby. W obrazie tym zawarta jest istota współodczuwania, które może połączyć na pozór obce, różniące się od siebie, ale zjednoczone doświadczeniem istoty. Ze współbycia rodzi się ulga. Właśnie tak ucisza się napięcie i strach.

© MAGDALENA KICIŃSKA

19 października na Festiwalu Conrada z **SIGRID NUNEZ** porozmawia Magda Heydel.

„Tygodnik Powszechny” – weź, prenumeruj z MOCĄ!

Dla miłośników i uczestników Festiwalu Conrada wyjątkowa promocja

Kup dowolną prenumeratę elektroniczną lub drukowaną,
a wydanie specjalne „Moc czytania” przygotowane
na 10-lecie festiwalu otrzymasz* do domu GRATIS!

O czytaniu i do czytania. Dla tych, którzy
czytają, bo lubią albo muszą. Wywiady,
wiersze, komiksy, opowiadania i eseje
oraz wyznania literackie.

„Moc czytania” to spotkanie
z takimi autorami jak: Pamuk, Janion,
Auster, Krall, Lem, Murek, Miłosz, Mrozek,
Masłowska, Stasiuk, Tischner, Szymborska,
Bargielska, Barańczak. Mało?

Jeszcze Gałczyński, Podgórniki, Lipska,
Hartwig, Zagajewski i Minkiewicz.
A także rozmowa z Anną i Jerzym Turowiczami
(on obiecuje jej, że w końcu posprząta
te książki w mieszkaniu, ona nie dowierza).

Sprawdź na powszech.net/odzawszerazem



* oferta ważna do 31.10.2020
lub do wyczerpania nakładu „Mocy czytania”

Szukam opowiadaczy

MAŁGORZATA REJMER:

Mój głos jest słyszalny, dlatego czuję podwójną odpowiedzialność, bo nie przedstawiam tylko faktów, ale też moje ich interpretacje.

ALEKSANDRA WOJTASZEK: Tuż przed naszą rozmową spotkałam w Chorwacji człowieka o skrajnie nacjonalistycznych poglądach.

Jak reporterka powinna rozmawiać z ludźmi, których przekonania uważa za szkodliwe i niebezpieczne?

MAŁGORZATA REJMER: Z założenia wolimy rozmawiać z ludźmi, z którymi dzielimy poglądy i wartości. Mieszkając w Gjirokastrze, przypadkowo usłyszałam płomienną przemowę sprzątaczką, która na różne sposoby wychwalała komunizm – a to, że kiedyś była nauczycielką, że chodziła do kina, że świat miał porządek i sens. Przeklinała przy tym marność obecnego życia. Znajdowałyśmy się nieopodal domu Musine Kokalari, pisarki, która za działalność polityczną została po wojnie strącona. Spędziła 16 lat w więzieniu, potem żyła w nędzy, bez prawa do pisania, inwigilowana i prześladowana, jej dwóch braci rozstrzelano. Wcześniej poświęciłam wiele miesięcy na dokumentację historii Kokalari. Teraz zaś patrzyłam na kobietę, która po krótkiej przemowie wróciła do sprzątania. Czułam coś w rodzaju bezradności.

Nie da się jednak zrozumieć współczesnej Albanii, ignorując głos tej połowy społeczeństwa, która twierdzi, że wówczas żyło się dobrze, nawet jeśli ich opinie to zlepek dysonansów czy wypaczeń. Budując książkę jako całość, dajemy czytelnikowi narzędzia, by mógł sam zinterpretować takie poglądy, dostrzec czające się w nich niebezpieczeństwo. Co więcej, trzeba uważnie śledzić, kiedy w danym społeczeństwie następuje proces przesuwania punktów ciężkości w narracji, kiedy dyskurs agresora staje się dominujący. To ważne, choćby w kontekście Jugosławii końca lat 80. i późniejszej wojny, ale nie tylko, bo wkraczamy w czasy permanentnego kryzysu, będzie nam coraz trud-

niej żyć, coraz bardziej będziemy manipulowani. Przemoc zaczyna się od języka, od cynicznego modelowania przeszłości.

Gdy w „Dużym Formacie” pojawił się reportaż o polskich nacjonalistkach, wielu uznało, że to ocieplanie ich wizerunku i osławianie z nacjonalistyczną retoryką.

Taki reportaż to trudne zadanie dla dziennikarza, szczególnie gdy zło nie wydaje się jednoznaczne, jest oszlifowane i pastelowe. Mimo wszystko musimy słuchać siebie nawzajem, bo gigantyczna polaryzacja społeczna rujnuje jakąkolwiek wspólnotowość. Kiedy zanika empatia i solidarność, znika człowiek.

Debata publiczna w Polsce jest schorowana, a my jako społeczeństwo zmęczeni i znękani, chorzy fizycznie i psychicznie, i nawet służba zdrowia nie może nam pomóc, bo sama jest chora. Wielu z nas jest wypalonych, cierpi na depresję i choroby autoimmunologiczne. Polskie dzieci jako drugie w Europie najczęściej popełniają samobójstwa. Są otyłe, nieszczęśliwe, pozostawione same sobie, a i tak na każdym kroku słyszymy, że winne całemu złu tego świata są bestie LGBT.

Wierzysz, że dobry reportaż może to zmienić, zasypać antagonizmy, wskazać rzeczywiste źródła problemów?

Mam takie poczucie, choć obawiam się, że publiczność, która czyta reportaże, to ludzie o określonej wrażliwości, posiadający narzędzia rozumienia i interpretacji rzeczywistości. Czytanie staje się coraz bardziej elitarne, więc nawet gdyby reporter zadał sobie taki szczytny cel, trudno sprawić, aby książka dotarła do szerokiej publiczności. Z drugiej strony naprawdę dobre książki reporterskie znajdują czytelników, których reportaż angażuje emo-

cjonalnie i intelektualnie. To często kwestia marketingu szeptanego, ludzie przekazują sobie emocje, które niesie reportaż.

W Polsce popularny jest reportaż literacki. Myślisz, że czytelnicy szukają w nim informacji o świecie, czy może emocji, które zwykle wywołuje fikcja?

W literaturze pięknej trudno przedstawić bieżącą rzeczywistość tak, by uniknąć doraźnej publicystyki. Duża liczba tytułów powstałych w ostatnich latach szybko się zestarzała, brakuje w nich uniwersalnych treści. Oczywiście dotyczy to także reportażu, trzeba go pisać bardzo ostrożnie, aby się błyskawicznie nie zdezaktualizował. Ale to możliwe – przecież nadal czytamy Kapuścińskiego.

Uchodzi on jednak za kontrowersyjnego reportera. Nie zawsze był wierny faktom, o czym pisał w jego biografii Artur Domosławski.

Jego książki są jednak brawurowe na poziomie języka. To wyrafinowany, gombrowiczowski eksperyment. Czytając „Busz po polsku” – reportaże z przełomu lat 50. i 60. – zastanawiam się, który ze współczesnych reporterów ma odwagę pisać w sposób tak wywrotowy, tak odważnie posługując się symbolami i metaforami. Te reportaże nie skupiają się na danych i faktach, ale zabierają czytelnika w fascynującą podróż intelektualną, dlatego można czytać je także dzisiaj i nadal się nimi zachwycać.

Dochodzimy zatem do klasycznego pytania: gdzie kończy się reportaż, a zaczyna literatura?

Być może Kapuściński to faktycznie przede wszystkim literatura piękna. Jednak reportaże będące jedynie kronikarskim opisem wycinka rzeczywistości, →

→ które dystansują się od języka literackiego, nie mają w sobie pierwiastka uniwersalności, szybko się zużywają. Uważam, że każdy dobry reportaż musi mieć jakiś naddatek – formy, języka, kompozycji, rozłożenia akcentów opowieści. Czytam ich wiele i natychmiast widzę różnicę między rzetelnymi opisami danego wycinka rzeczywistości a książkami wielkimi, które mają tę nadbudowę.

Pytam o to także w kontekście dyskusji sprzed kilku lat. Jej uczestników można pokrótce podzielić na zwolenników reportażu literackiego, w którym autor dość dowolnie przekształca rzeczywistość w imię ostatecznego efektu, i zwolenników skrupulatnego sprawdzania faktów.

W reportażach szukam przede wszystkim literatury, choć gdybym wiedziała, że reporter wymyślił daną postać, bo mu pasowała do tezy, miałabym mu to za złe. Kiedy pisałam „Błoto słodsze niż miód”, napotykałam inne trudności. Zastanawiałam się nieustannie, jak działa pamięć moich bohaterów i jak trauma zmienia postrzeganie rzeczywistości czy też interpretację faktów. Wielu wypowiedzi moich bohaterów nie byłam w stanie zweryfikować, choćby historii buntu w więzieniu w Spaçu. Każdy z rozmówców wspominał go inaczej. Jeden z nich opowiedział historię malarza, który namalował orla na prześcieradle, za co otrzymał kolejny wyrok. Dopiero niedawno, przy okazji weryfikowania czeskiego przekładu „Błota”, dotarłam do kolejnych materiałów i zdałam sobie sprawę, że w przytoczonych danych i faktach jest wiele błędów, bo pamięć mojego bohatera zastrajkowała.

Czytelnik wiedział jednak, że to opowiadana przez kogoś historia, a nie pozornie obiektywna prezentacja faktów.

To w dużej mierze problem zapośredniczenia. Przeżycia bohatera wpływają na jego interpretację przeszłości, ale jest też problem wynikający z naszej skłonności do wyłapywania informacji, które uznajemy za najbardziej interesujące. Oczekiwanie od reportażu literackiego, że będzie dokładnie przylegało do rzeczywistości, wydaje mi się chybione. To się nigdy nie udaje. Autorzy szukają narzędzi do opisu rzeczywistości, także językowych, co automatycznie przesuwają nas w stronę literatury. Nawet depesze PAP nie przedsta-

■ Tak naprawdę nie czuję się reporterką i bardzo mało dziennikarką. Jestem przede wszystkim pisarką, niesie mnie opowieść. Szukam opowiadaczy, jestem głodna ich historii. I natychmiast je sobie wyobrażam, tworzę w głowie filmy krótkometrażowe, zwracam uwagę choćby na montaż.

MAŁGORZATA REJMER (ur. 1985)

– pisarka i reportażystka. Debiutowała w 2009 r. powieścią „Toksymia”, za którą otrzymała nominację do Nagrody Literackiej Gdynia. Jej kolejna książka „Bukareszt. Kurz i krew” (2013) została nagrodzona m.in. Nagrodą „Newsweeka” im. Teresy Torańskiej. Za swoją trzecią książkę „Błoto słodsze niż miód. Głosy komunistycznej Albanii” (2018) otrzymała Paszport „Polityki” oraz Bursztynowego Motyla w Konkursie im. Arkadego Fiedlera. Publikowała m.in. w „Dużym Formacie”, „Polityce”, „Gazecie Wyborczej”, „Herito”. Stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz programu Młoda Polska Narodowego Centrum Kultury. Mieszka w Tiranie.

wiają rzeczywistości w sposób absolutnie obiektywny.

Jak zatem znajdujesz swoich bohaterów i jak nawiązujesz z nimi relacje?

Marzę o bohaterze, który jest wrażliwy, ale potrafi też myśleć obrazami i metaforami. Czasem spotykam się z kimś ważnym dla danej historii, ale z dwóch godzin rozmowy porusza mnie tylko jedno zdanie. Chcę, by język był plastyczny, działał na wyobraźnię. Zwykle już podczas rozmowy wiem, czy się uda.

Ostatnio rozmawiam głównie z młodymi kobietami. Interesuje mnie, jak funkcjonują ich pierwsze wspomnienia, które przypadają na lata 90. Albania była

wówczas miejscem bardzo traumatogennym. W instytucjach państwowych panował chaos, życie codzienne było pełne przemocy, aż w końcu wybuchła dziwna wojna domowa 1997 roku. Zbierając opowieści, dowiaduję się wiele nie tylko o albańskiej rzeczywistości, ale także o tym, w jaki sposób kodują się wspomnienia, jak są naznaczone traumą. Te pierwsze obrazy to często zastrzelony człowiek leżący na ulicy albo dźwięk karabinów maszynowych.

To ciekawe, bo moi chorwaccy znajomi, urodzeni na przełomie lat 80. i 90., choć oczywiście pamiętają wojnę toczącą się w ich





KATARZYNA LASOŃ / AGENCJA OPowieści

kraju, nie wydają mi się aż tak kolektywnie nią strauumatyzowani.

Zwróć uwagę, że w Albanii to była tzw. *quasi*-wojna domowa. Trwała tylko trzy miesiące. Zastanawiam się więc, na ile nieświadomie wybieram bardzo wrażliwe osoby, z większą reaktywnością emocjonalną. Ostatnio pytałam moich znajomych, jakie są ich ulubione bajki z dzieciństwa, ale byli moim pytaniem urażeni. Rodzice nie mieli czasu czytać im bajek. „Nie mamy żadnych wspomnień z dzieciństwa – odpowiadali wręcz agresywnie. – Nic nie wiesz o naszym dzieciństwie”. Mieszkam w Albanii kilka lat, a wciąż nakładam na tę rzeczywistość swoje wyobrażenia.

Wybierasz zatem bohaterów według pewnego schematu, co nie pozostaje bez wpływu na przedstawianą historię.

Tak naprawdę nie czuję się reporterką i bardzo mało dziennikarką. Jestem przede wszystkim pisarką, niesie mnie opowieść. Szukam opowiadaczy, jestem głodna ich historii. I natychmiast je sobie wyobrażam, tworzę w głowie filmy krótkometrażowe, zwracam uwagę choćby na montaż. Obraz komunizmu w „Błocie...” mógłby być zupełnie inny, gdybym zamiast ofiar systemu wybrała np. łagodnych oportunistów.

Można krytykować tę książkę za jej nazbyt jednostajny ton i koncentrację na

ofiarach. Ale rozmowy z osobami, które przeszły przez tamte czasy suchą stopą, były miłkie i jednolite, choćby dlatego, że rozmówcy stosowali różne mechanizmy obronne, dzięki którym nie zastanawiali się nadmiernie nad swoją rolą w tworzeniu systemu. Odpowiadali mi wyszlifowanymi anegdotami, dzięki którym ich sumienie pozostawało nietknięte.

Wydaje mi się to jednak głęboko reporterskie: dawać głos ofiarom i wysłuchiwać wykluczonych, stawać po stronie słabszych.

Tak po ludzku dużo łatwiej identyfikować się z osobami, które dotyczą ➔

→ naszych czułych punktów. Trudno byłoby mi rozmawiać z byłym funkcjonariuszem Sigurimi [albańska policja polityczna za czasów komunizmu – AW]. Nie wiem też, czy umiałabym pokazać czające się w nim zło. Istnieją reporterzy, którzy świetnie sobie z tym radzą, np. Jean Hatzfeld, który w „Sezonie maczet” spisał wspomnienia katów z Rwandy.

Podobnie Slavenka Drakulić w książce „Oni nie skrzywdziliby nawet muchy”, w której prezentuje portrety bałkańskich oprawców.

Takie książki wywołują często więcej pytań i refleksji niż opowieści ofiar. Książka Drakulić jest dla mnie bardzo ważna, gdyż odsłania mechanizmy wojny. Pokazuje, jak łatwo przesunąć pewne granice, uzasadnić przemoc. Wystarczy, że władza narzuci odpowiednią narrację, np. przy okazji zbrodniarzy wojennych pojawia się argument, że zabijali dla dobra ojczyzny.

Czy traumatyczne historie, których wysłuchujesz, mają na Ciebie wpływ?

Tak. Trzeba bardzo uważać, by potem w codziennym życiu nie skupiać się wyłącznie na negatywnych scenariuszach, a w pracy nie szukać tylko strasznych opowieści. Trzeba pokazywać rzeczywistość we wszystkich jej aspektach. Autor jest narażony na to, że zacznie się identyfikować z bohaterami i z ich traumą. Czytam wiele o zawodach obciążających psychicznie i staram się świadomie myśleć o swojej pracy. Jest jeszcze wiele tematów, które są dla mnie ważne – muszę mieć dość sił, aby je opisać. Pisarz czy reporter pragnie napisać wstrząsającą, mocną książkę, ale wszystko ma swoją cenę.

Nawet tę bardzo wymierną, związaną z brakiem wystarczających gratyfikacji finansowych.

W ostatnich 20 latach sytuacja dziennikarzy znacząco się pogorszyła. Kapuściński był w komfortowej sytuacji, dziś brakuje etatów, redakcje nie finansują wyjazdów. Ciężar stworzenia książki został przesunięty w całości na autora, który często musi wyjechać do jakiegoś kraju, pomieszkować tam przez pewien czas, a potem zaczynać wszystko od nowa wraz z kolejnym projektem. Bez poczucia bezpieczeństwa łatwo zwątpić w sens tego, co się robi.

Pisanie jest rodzajem biernego interpretowania historii, a wpływanie na losy bohatera jest równoznaczne z zaangażowaniem emocjonalnym, oznacza wzięcie za kogoś odpowiedzialności. Ostatecznie nikt nie jest tylko reporterem, ale przede wszystkim człowiekiem.

Gdy pisze się o krajach, o których dotąd polski czytelnik nie miał okazji zbyt wiele przeczytać, ta odpowiedzialność staje się jeszcze większa.

Mam wgląd w wiele mrocznych aspektów życia w Albanii i często jestem krytykowana za to, że mój obraz tego kraju jest zbyt pesymistyczny. Być może gdyby więcej osób opowiadało o tym kraju, wypadkową wielu narracji byłby obraz najbardziej rzetelny. Mój głos jest słyszalny, dlatego czuję podwójną odpowiedzialność, bo nie przedstawiam tylko faktów, ale i moje ich interpretacje.

Zaangażowałaś się też w działalność społeczną: po trzęsieniu ziemi w Albanii zorganizowałaś zbiórkę pieniędzy. Czy aktywizm daje inny rodzaj satysfakcji niż praca reporterska?

Często towarzyszy mi poczucie winy, że jestem tylko biernym obserwatorem, że nie mam wpływu na rzeczywistość. Zorganizowanie pomocy dla poszkodowanych było próbą uzyskania sprawczości. Wreszcie mogłam pomóc konkretnym ludziom, choć potem przyszły wątpliwości. Co zmienia jedna duża paczka żywnościowa w życiu danej rodziny, może lepiej było kupić więcej wózków inwalidzkich? Ostatecznie i tak więcej myślę o tych, którym nie udało mi się pomóc.

Reporter, którego obie cenimy, Martín Caparrós, ma zasadę, że nie wynagradza swoich rozmówców, choć te kilka dolarów mogłoby zmienić ich życie.

Jak nie dać kilku dolarów, jeśli wiesz, że możesz kogoś w ten sposób uratować? Pisanie jest rodzajem biernego interpretowania historii, a wpływanie na losy bohatera jest równoznaczne z zaangażowaniem emocjonalnym, oznacza wzięcie za kogoś odpowiedzialności. Ostatecznie, nikt nie jest tylko reporterem, lecz przede wszystkim człowiekiem. Ale Caparrós tyle razy rozmawiał z ludźmi dosłownie umierającymi z głodu... To jest niewyobrażalne obciążenie, zwłaszcza gdy ma się świadomość zajmowania uprzywilejowanej pozycji. „Głód” jest biblią reportażu, książką żarliwą i zaangażowaną, która może zmienić życie czytelnika. To wystarczy.

© Rozmawiała
ALEKSANDRA WOJTASZEK

W przedmowie do „Murzyna z załogi Narcyza” Joseph Conrad w następujący sposób określił cel swojego pisarstwa: „Albowiem takie zadanie przed sobą postawiłem: słowem pisanym sprawić, byś USŁYSZAŁ, byś POCZUŁ, a nade wszystko ZOBACZYŁ”. Nie wszyscy piszą właśnie po to, ale wszyscy coś nam za pomocą zapisanych słów pokazują. Z ich opowieści wyłania się obraz jakiegoś świata – raz wymodelowanego na podobieństwo rzeczywistości, w której żyjemy, innym razem całkowicie fikcyjnego. Czytając książki, wyobrażamy sobie ten świat. Czasem marzymy nawet, by się w nim naprawdę znaleźć. Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada postanowiliśmy to marzenie przynajmniej częściowo spełnić. Siedem osób oprowadzi nas po światach literackich polskich pisarek i pisarzy: Marka Bieńczyka, Mikołaja Łozińskiego, Agnieszki Pajaczkowskiej, Małgorzaty Rejmer, Joanny Rudniańskiej, Zyty Rudzkiej i Magdaleny Tulli. Film o świecie, który wyłania się z książek **MAŁGORZATY REJMER**, zaprezentujemy 21 października. Przygotowała go Zofia Karaszewska.

310 756,83 zł

to kwota, jaką do końca września otrzymaliśmy z przekazanego nam przez Państwa 1% podatku w jubileuszowym roku 75-lecia „Tygodnika Powszechnego”.

Dziękujemy –

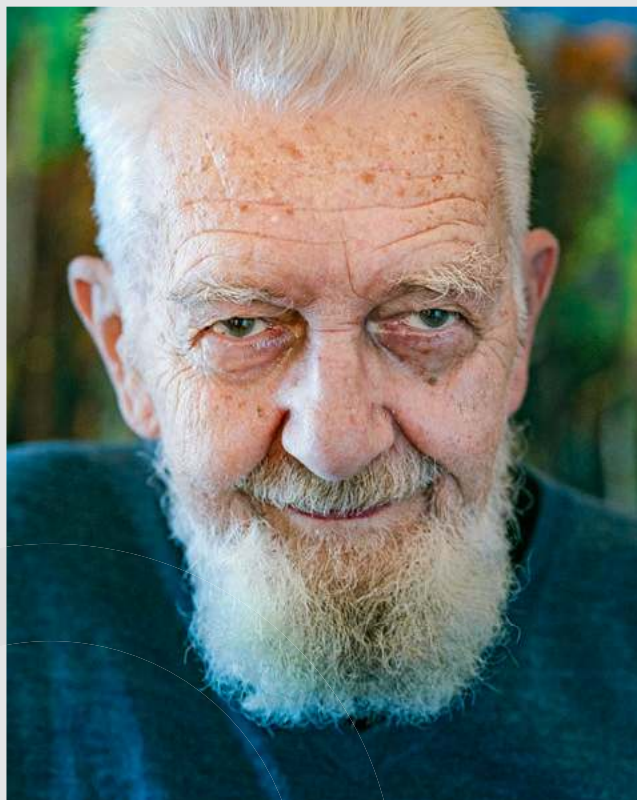
to bardzo ważne wsparcie, które pozwala nam realizować misję naszej Fundacji. Jej filarami są m.in. budowa społeczeństwa obywatelskiego i ochrona wolności słowa oraz wolnych mediów.

Niezależność

jest kluczowym pojęciem towarzyszącym nam w codziennej pracy. Dzięki otrzymanym od Państwa środkom mamy możliwość rozwijania współpracy z instytucjami i ubiegania się o darowizny, dotacje i granty na tworzenie pisma ciekawego, nieoczywistego, suwerennego, wzbogaconego o wydania specjalne, o dodatki naukowe (jak cykl „Wielkie Pytania”), kulturalne, historyczne i poświęcone demokracji czy solidarności.

Copernicus, Conrad

to festiwale – perły w koronie fundacyjnych przedsięwzięć. Razem z Lekcjami Czytania budują kulturę odbioru literatury czy nauki, edukują kolejne pokolenia świadomych odbiorców – obywateli.



FOT. GRAŻYNA MAKARA

Wdzięczność

wyrażamy za zaufanie, za Państwa ofiarność, a także za to bardzo wymierne potwierdzenie, że „Tygodnik” jako pismo co tydzień goszczące w Państwa domach i jako instytucja kultury zapraszająca Państwa do udziału w wydarzeniach kulturalnych jest Wam potrzebny, bliski, ważny i że spełnia Państwa oczekiwania.



ks. Adam Boniecki

i zespół Fundacji Tygodnika Powszechnego

Debiuty siłą kobiet



Dorota Brauntsch, Joanna Gierak-Onoszko, Barbara Klicka, Dorota Kotas, Urszula Zajączkowska – to debiutantki w dziedzinie prozy literackiej z 2019 roku, które zostały nominowane do tegorocznej Nagrody Conrada. O tym, która z nich zwycięży, zdecydują czytelnicy i czytelniczki wspólnie z kapitułą nagrody. Gala wręczenia statuetki odbędzie się 25 października podczas Festiwalu Conrada, natomiast do 24 października głosy mogą oddawać internauci za pośrednictwem strony internetowej www.conradfestival.pl.

– W tym roku kapituła Nagrody Conrada miała łatwiejsze zadanie niż w latach ubiegłych, gdyż pojawiło się dużo świetnych debiutów w różnych rejestrach prozy, którą nagradzamy. Z tego też względu miała zarazem zadanie trudniejsze, gdyż poziom tych pierwszych książek autorskich był bardzo wysoki i wyrównany. Każda z wybranych przez nas autorek ma coś ważnego do powiedzenia i bardzo nas to cieszy. Młoda polska literatura ma się całkiem nieźle! – uzasadnia wybór Michał Paweł Markowski, dyrektor artystyczny festiwalu i przewodniczący kapituły Nagrody Conrada.

W tym roku w gronie nominowanych do Nagrody Conrada znalazły się Dorota Brauntsch i jej „Domy bezdomne” (Dowody na Istnienie), Joanna Gierak-Onoszko i jej „27 śmierci Toby’ego Obeda” (Dowody na Istnienie) Barbara Klicka z powieścią „Zdrój” (W.A.B.), Dorota Kotas

z powieścią „Pustostany” (Niebieska Studnia) oraz Urszula Zajączkowska z książką „Patyki, badyle” (Marginesy).

Nominowane autorki wskazała kapituła w składzie: Michał Paweł Markowski (przewodniczący), Urszula Chwalba, Inga Iwaśiów, Grzegorz Jankowicz, Krzysztof Koehler, Zofia Król, Michał Nogaś oraz Joanna Szulborska-Lukasiewicz (sekretarz). Zdobyczyni wyróżnienia otrzyma 30 tys. złotych, zostanie też nagrodzona miesięcznym pobytem rezydencjalnym w Krakowie oraz kampanią promocyjną zwycięskiej książki na łamach „Tygodnika Powszechnego”.

– Przyznawana od 2015 roku Nagroda Conrada wyróżnia się wśród polskich laureatów literackich tym, że skierowana jest wyłącznie do debiutantów. Kreując nowe głosy w polskiej literaturze, zachęca wydawców do podejmowania ryzyka wydawniczego – mówi Izabela Błaszczak, dyrektor KBF.

– Czytelnikom zaś zwraca uwagę na twórczość debiutantów, zachęcając do sięgnięcia po książki autorów o jeszcze nieugruntowanej pozycji na rynku wydawniczym. W tym roku dostaliśmy ponad 70 zgłoszeń! To tylko udowadnia, że z roku na rok debiutów jest coraz więcej – dodaje Urszula Chwalba, dyrektor wykonawcza Festiwalu Conrada.

Dotychczasowe laureatki Nagrody Conrada to: Liliana Hermetz za książkę „Alicyjka” (Nisza 2015), Żanna Słoniowska za książkę „Dom z witrażem” (Znak Literanova 2016), Anna Cieplak za książkę „Ma być czysto” (Krytyka Polityczna 2017), Weronika Gogola za książkę „Po trochu” (Książkowe Klimaty 2018) i Olga Hund za książkę „Psy ras drobnych” (Korporacja Ha!art 2019).

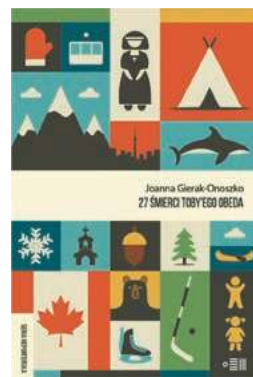
Nagroda Conrada jest częścią miejskiego programu wsparcia debiutów Krakowa Miasta Literatury UNESCO i stanowi wspólne przedsięwzięcie Miasta Krakowa, KBF, Instytutu Książki oraz Fundacji Tygodnika Powszechnego.



FOT. EDYTA WOJCIECHOWSKA

Joanna Gierak-Onoszko

Do 2018 roku dziennikarka związana z tygodnikiem „Polityka”. Publikowała też m.in. w „Dużym Formacie”, „Piśmie. Magazynie opinii” i w „Non/fiction – nieregularniku reporterskim”. Laureatka nagrody za najlepszy reportaż prasowy na Festiwalu Wrażliwym za tekst o międzynarodowej akcji ewakuowania psa z Aleppo (2017). Nominowana do Polsko-Niemieckiej Nagrody Dziennikarskiej im. Tadeusza Mazowieckiego za reportaż o lekarzach i wolontariuszach pomagających uchodźcom w Berlinie (2015). Absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego i Polskiej Szkoły Reportażu. Zajmuje się bohaterami drugiego planu. „27 śmierci Toby’ego Obeda” to jej debiut książkowy, owoc dwóch lat spędzonych w Kanadzie. Książka została nominowana do wielu nagród, m.in. znalazła się w finale Nagrody NIKE oraz Nagrody im. R. Kapuścińskiego.



organizatorzy

 **Kraków**





FOT. RADOSŁAW KAŻMIERCZAK



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



FOT. DOMINIKA DZIKOWSKA



FOT. TOMASZ GOGOLEWSKI

Dorota Brauntsch

Absolwentka dziennikarstwa Uniwersytetu Wrocławskiego i Duńskiej Szkoły Dziennikarstwa w Aarhus. Swoje reportaże i fotoreportaże publikowała na łamach magazynu „DesignAlive” i kwartalnika „Fabryka Silesia”. W 2017 roku otrzymała stypendium w dziedzinie kultury Marszałka Województwa Śląskiego na napisanie książki o murowanych domach pszczyńskich. O jej fotograficzno-reporterskim projekcie Ceglane Domy pisały m.in. „Polityka”, „Gazeta Wyborcza”, Silesion.pl. Jej debiutancka książka „D o m y b e z d o m n e” została nominowana w konkursie na najlepszą książkę reporterską roku V Festiwalu Reportażu w Lublinie.



Dorota Kotas

Studiowała socjologię stosowaną i antropologię społeczną w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych na Uniwersytecie Warszawskim. Obecnie robi specjalizację z animacji kultury w Instytucie Kultury Polskiej UW. Jej debiutancka książka zatytułowana „P u s t o s t a n y” ukazała się nakładem wydawnictwa Niebieska Studnia w grudniu 2019 roku. Autorka jest laureatką wielu konkursów, m.in. na reportaż o sytuacji osób LGBT+ w małych miastach w Polsce czy na tekst dotyczący różnorodności „Palma warszawska. Drzewo poznania swojego i obcego”, realizowanego przez Stowarzyszenie Filmowe Dżiki Bez. Zajęła 1. miejsce w konkursie dla młodych dziennikarzy im. Z. Moszkowicza. Brała też udział w licznych projektach teatralnych i artystycznych. Lubi siedzieć na dachu i jeść czereśnie. Chciałaby, żeby tak wyglądała jej przyszłość.



Barbara Klicka

Poetka, dramaturżka, scenarzystka, animatorka kultury i redaktorka. Przez lata związana z Teatrem Żydowskim, była współproducentką Festiwalu Warszawa Singera. W latach 2010–2014 pracowała jako redaktorka kwartalnika „Cwiszn”, poświęconego literaturze i sztuce żydowskiej. W 2012 roku wydała tomik „same same”, nominowany do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius. W 2016 r. za „Nice” została uhonorowana Nagrodą Literacką Gdynia i Silesiusem. Razem z Jackiem Dehnelem współtworzyła interdyscyplinarny projekt „Nowy Tajny Detektyw”. Jest autorką scenariusza sztuki „Elementarz”, wystawianej w reżyserii Piotra Cieplaka w Teatrze Narodowym w Warszawie. W 2019 roku nakładem W.A.B. ukazała się jej debiutancka powieść „Z d r ó j”.



Urszula Zajączkowska

Poetka, botaniczka, artystka wizualna i muzyczka, adiunktka w Samodzielnym Zakładzie Botaniki Leśnej SGGW w Warszawie. Studiuje wzrost, anatomię i ruchy roślin. Bada ich aerodynamikę oraz biomechanikę. Jej debiutancki tomik poezji „Atomy” (2014) był nominowany do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius w 2015 roku. Na początku 2017 roku ukazał się tom „minimum”, nagrodzony Nagrodą Kościelskich, za który została również nominowana do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius w kategorii „książka roku” oraz do Orfeusza – Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego. W 2019 roku nakładem wydawnictwa Marginesy ukazała się książka „P a t y k i , b a d y l e”, nominowana do Paszportu „Polityki” i wyróżniona Nagrodą Gdynia w kategorii „esej”.



dofinansowano

Wolność jako niewola

BOGDAN CREȚU

**Matei Vișniec
opowiada o braku
ciągłości,
o braku organiczności
naszej postludzkiej,
posthistorycznej,
postironicznej
i postjakiejkolwiek epoki.**

Jest jednym z najlepszych i najbardziej płodnych współczesnych pisarzy rumuńskich. Tworzy w dwóch językach – rumuńskim i francuskim. Jest dramaturgiem, którego sztuki grywane są na scenach całego świata. Należy do pokolenia literackiego, które objawiło się w ostatniej dekadzie komunizmu, kiedy kult Ceaușescu osiągnął wymiary faraonские. Dał się poznać najpierw jako poeta o uderzającej oryginalności, w desancie młodych autorów, którzy – aby uchronić swoją twórczość i wolność myślenia od presji ideologii – wybrali postmodernizm i zaczęli uprawiać literaturę książkową, intensywnie intertekstualną, parodystyczną, dbającą o własny status, którego nie można było już zinstrumentalizować propagandystycznie.

Statek tonie powoli

Trzy tomy poezji opublikowane w latach 1980-84: „La noapte va ninge” („Nocą spadnie śnieg”), „Orașul cu un singur locuitor”, („Miasto z jednym mieszkańcem”) i „Înțeleptul la ora de ceai” („Mędrzec w godzinie herbaty”) – zawierają przypowieści i sytuacje poetyckie o wywrotowym potencjale. Mają nieprzypadkowo wyraźnie dramaturgiczny charak-

ter i na ich podstawie rozwinęły się niektóre z pierwszych sztuk teatralnych autora.

Jego głównym celem jest reagowanie na największe napięcia, dylematy i problemy epoki. A Vișniec to pisarz, który musiał żyć i tworzyć literaturę w różnych reżimach politycznych i kontekstach ideologicznych: od komunizmu zorientowanego na groteskowy nacjonalizm po zatomizowane społeczeństwo doświadczane przez kryzysy, czy to polityczne, tożsamościowe, ekonomiczne, ideologiczne, czy też epidemiologiczne.

W latach 80. niektóre wiersze Vișnieca miały formę parabol, które wyrażały tematy tabu, np. bierność jako formę kompromisu. Jeden z tych utworów, zatytuło-

wany „Statek”, pozostał, jak każda udana przypowieść, aktualny do dziś: „Statek tonie powoli, mówiliśmy / i co z tego, że statek tonie i jeszcze / mówiliśmy, że każdy statek tonie / pewnego dnia ściskaliśmy sobie dłonie / żegnaliśmy się // ale statek tonął tak wolno / że po dziesięciu dniach my, którzy / uściskaliśmy sobie dłonie, wciąż na siebie patrzyliśmy / zawstydzeni i mówiliśmy, że to nic takiego / ten statek tonie wolniej / ale przecież tonie, sami widzicie // ale statek tonął tak wolno / że po roku jeszcze było nam wstyd / tym, którzy uściskali sobie dłonie i / co rano wychodziliśmy jeden po drugim / mierzyliśmy wodę, już niewiele brakuje / tonie powoli, ale pewnie // a statek tonął tak wolno / że po ludzkim życiu nadal / wy-





VICTOR LEMINI

chodziliśmy jeden po drugim i patrzyliśmy w / niebo i mierzyliśmy wodę i zgrzytaliśmy zębami / i mówiliśmy, że to nie jest statek / to jest... / to jest...”.

Ten krótki utwór opowiada o usługach, o bierności, pasywnej akceptacji zła, konformizmie. Uległość była rozpowszechniona w komunistycznej Rumunii, o czym może świadczyć fakt, że kraj ten zrodził mniej dysydentów niż Polska czy Czechosłowacja. Teksty Vișniec z tamtego czasu nie mają dat. Opowiadają o świecie, w którym żył, ale pozostają niezależne względem komunistycznej rzeczywistości.

Pierwsze sztuki, które krążyły po Rumunii w formie samizdatu, ale których nie można było opublikować przed

1990 r. (co wpłynęło na decyzję Vișniec o emigracji w 1987 r., gdy nie widać było końca komunistycznego tunelu i kiedy stało się dla niego oczywiste, że jako pisarz nie ma już przyszłości w zamkniętym kraju), były przypowieściami o tyranii, zdegradowanym, mechanicznym języku zawieszonym w politycznej próżni. Pojawiały się w nich dystopijne opowieści, które zachodniemu czytelnikowi mogły wydawać się dziwaczne, ale dla czytelnika zza żelaznej kurtyny były czytelne, ukazywały doskonale znaną rzeczywistość, fatalność historii. Przy swoim wzorze był teatr absurdu, nierzadkie odniesienia do Becketta, Ionesco czy Mrożka. Ale absurd to w komunistycznej Rumunii nie tylko kate-

MATEI VIȘNIEC (ur. 1956) – rumuńsko-francuski dramaturg, poeta i dziennikarz żyjący w Paryżu. Ukończył filozofię i historię na Uniwersytecie Bukareszteńskim. Sztuki teatralne zaczął pisać w latach 70. i 80. ubiegłego wieku, lecz były systematycznie odrzucane przez cenzurę rumuńską. W 1987 r. podczas pobytu w Paryżu wystąpił o azyl polityczny. W latach 1988-89 pracował w rumuńskim oddziale BBC. Międzynarodową sławę przyniosła mu sztuka „Zatrudnimy starego kłowna” oraz szereg dramatów, które pisał w latach 90., już po uzyskaniu obywatelstwa francuskiego. W rozmowach przyznaje, że wielki wpływ na jego pisarstwo miała twórczość Kafki i Dostojewskiego, ale także prace surrealistów i dadaistów.

goria estetyczna, lecz rzeczywistość polityczna i społeczna.

Tym ponurym wizjom patronował oczywiście Kafka. Dzisiejszym czytelnikom trudno sobie wyobrazić, jak wielki wpływ mogła mieć lektura dzieł praskiego autora w czasach reżimu totalitarnego. Pierwszy kompletny przekład „Procesu”, zrobiony przez wielkiego surrealistycznego poetę Gellu Nauma, ukazał się w 1965 r., w kluczowym momencie zerwania ze Związkiem Radzieckim. W 1968 r. opublikowano pierwsze studium o autorze „Przemiany”, napisane przez Radu Enescu, członka zdziśiatkowanego pokolenia komunizmu. Od tego czasu kafkowskość stała się punktem odniesienia zwłaszcza politycznym i społecznym, mniej estetycznym.

Szok wolności

Powieść „Pan K. na wolności” powstała zaraz po ucieczce Vișniec z Rumunii, gdy znalazł się w wolnym społeczeństwie, którego kodów nie mógł od razu przyswoić. Znajdował się w sytuacji uciekiniera ze świata absurdu: „Wychodziłem z więzienia i nie wiedziałem, co począć ze swoją wolnością”. W ciągu tylu lat odosobnienia więzień systemu kafkowskiego tak bardzo przystosował się do absurdu, że zaczął mu się on jawić →

→ jako normalny. To sytuacja całego bloku wschodnioeuropejskiego, który z chwilą upadku komunizmu nie był przygotowany na inny świat, o którym marzył, ale którego nie znał. Powieść Wiśniewicza opowiada o „szoku wolności”. Jest lustrzanym odbiciem „Procesu” Kafki, przypomina o wolności.

Co się dzieje z Kosefem J., jej głównym bohaterem? Po wyjściu na wolność znajduje się w sytuacji dramatycznej: wieloletnie marzenie stało się realne. Ale niewystarczająco. Na pozór jest wolny. Co jednak ma zrobić z tą wolnością? Mury stanowią przez wiele lat cały jego wszechświat. Przyzwyczaił się do wielu ograniczeń, które dręczyły go, a zarazem zdejmowały z jego barków ciężar odpowiedzialności.

Dlatego pierwszą reakcją, gdy dowiaduje się, że może wyjść na „wolność”, jest strach. Nie radość, jak by oczekiwano, lecz strach. Ostrzejszy niż ten z czasów aresztu, który stał się jego drugą naturą. Od czego zacząć? Nowa sytuacja intryguje go i paraliżuje. Wszystkie jego odruchy są sprzeczne. Poprzedni stan rzeczy dawał mu, w pewnym sensie, poczucie „bezpieczeństwa”. Czuje się bardziej zagrożony na zewnątrz niż w środku. Odkrywa, że jest niewiarygodnie samotny: „Nigdy nie czuł się tak opuszczony, a jego istota nigdy nie doświadczyła stanu większego zmieszania”. Dlatego po kilku chwilach spędzonych za murami wraca do więzienia. Widok murów przynosi mu ulgę: za nimi jest jedyne schronienie, za którym tęskni. „Bezpieczne miejsce we wszechświecie”.

Kiedy zostaje ponownie przyjęty do więzienia, staje się strażnikiem. Czyż nie jest „wolnym” człowiekiem? Ale jego wolność jest znacznie mniejsza niż jej brak sprzed uwolnienia. Kiedy był więźniem, miał marzenie, miał ideał: być wolnym. Teraz, gdy pozornie osiągnął swój cel, marzenie się rozpadło. Kosef J. nie tęskni już za niczym. Stopniowo przekształca się w oprawcę. (Jedno z najbardziej brutalnych zjawisk komunistycznego horroru miało miejsce w Rumunii, w więzieniu Pitești, gdzie pod pretekstem reedukacji uwięzieni studenci byli poddawani nieustannym torturom, a następnie sami stawali się oprawcami). Na początku, by sprawdzić, czy jest „wolny”, zaczyna bić innych więźniów. Bez powodu, przypadkowo. Tak, jest „wolny”. Możliwość zadawania bólu budzi w nim po-

■ Wiśniewiec to pisarz, który musiał żyć i tworzyć literaturę w różnych reżimach politycznych i kontekstach ideologicznych: od komunizmu zorientowanego na groteskowy nacjonalizm po zatamizowane społeczeństwo doświadczane przez kryzysy, czy to polityczne, tożsamościowe, ekonomiczne, ideologiczne, czy też epidemiologiczne.

■ Z powodu nadmiaru informacji, które opanowują nasze życie i przytępią naszą wrażliwość, z powodu zalewu historii, które przechodzą przez nas, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, których nie mamy nawet czasu przetrawić, nasze życie zmienia się w repozytorium niedokończonych scenariuszy.

czucie władzy. „Mógłbym to zrobić każdemu” – mówi były więzień Kosef J. po tym, jak zadał ciężki cios jednemu z więźniów.

Powieść Wiśniewicza opowiada o dehumanizacji, o tym, jak człowiek staje się przeciwnikiem tego, kim był. Dookoły świat podlega zmianie, ale więzienie po-

zostaje wyspą grozy. Strażnicy i więźniowie są w rzeczywistości częścią tego samego systemu koncentracyjnego. Wierzą nawet, że zbudowali świat dobra, dlatego legitymizują go dyskursywnie i ideologicznie. Kosef J. wydaje się mieć jeszcze ludzkie zasoby, bo płacze, gdy mężczyzna popełnia samobójstwo. W następstwie ponownie staje się więźniem, co sprawia mu ogromną radość. Odzyskuje nadzieję. Dopóki ma nadzieję, dopóty jest człowiekiem.

Same początki

Wiśniewicza interesuje sposób, w jaki zmienia się świat. Przygląda się, jak reagujemy na zmiany paradygmatu, jak długo pozostajemy ludźmi, przechodząc przez erę terroru, następnie konsumpcjonizmu i mieszaniny ideologii, które już nie zagrażają, ale próbują uwięzić. Jak wygląda nasze doświadczenie czasu, gdy wyobrażenia jest uwarunkowana pikselami, zduszona przez obrazy sprzedające nam złudzenia?

„Sprzedawca początków powieści” to powieść eksperymentalna, która podejmuje te trudne tematy. Jej struktura jest celowo fragmentaryczna, ponieważ nasze życie jest coraz szybsze. Z powodu nadmiaru informacji, które przytępią naszą wrażliwość, z powodu zalewu historii, które przechodzą przez nas, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, których nie mamy nawet czasu przetrawić, nasze życie zmienia się w repozytorium niedokończonych scenariuszy. Media społecznościowe przyciągają naszą uwagę, oferując okruchy historii. Literatura straciła moc rażenia. A jednak w kalejdoskopowej strukturze powieści Wiśniewicza odnajdujemy kalejdoskopowy rytm życia.

„Sprzedawca...” jest również przypomnieniem o braku ciągłości, o braku organiczności naszej postludzkiej, posthistorycznej, postironicznej i postjakiejkolwiek epoki. Dlatego fascynują nas szybkie obietnice. Nie mamy już cierpliwości do głębokich, skończonych narracji. Powieść Wiśniewicza daje nam wiele początków, odmienne sekwencje, które nie składają się na losy, lecz na zatamizowane egzystencje.

Książka ta – pomimo ludyczności, komicznych czy absurdalnych sytuacji – jest przede wszystkim poważną refleksją nad kondycją literatury. Żyjemy w epoce postliterackiej. Literatura nie do-

starcza nam już „wielkich narracji”, nie karmi naszej wyobraźni mitami. Pozwalamy, jak pisze młody rumuński poeta Claudiu Komartin, by maszyny płakały za nas. Coraz częściej mówimy o oprogramowaniu lub aplikacjach, które dokonują za nas wyborów lub wpływają na nasze decyzje, gadżetach, które przechowują i porządkują naszą pamięć, nasze życie. W powieści Vişnieca kilka wątków narracyjnych splata się i rozdziela, wytwarzając schizoidalny, mechaniczny świat, w którym uczucia są zakłócone lub zastępowane technologią.

Pewien poeta z Rumunii, niejaki Pan M., przeżywa kryzys natchnienia i otrzymuje kuszącą ofertę: tajemniczy dżentelmen Guy Courtois kusi go dostarczeniem początku powieści. Melville, Kafka, Camus, Mann, Sabato, Hemingway, Céline i wielu innych stworzyło arcydzieła, idąc za pierwszym impulsem. Pewien księgarz pisze do sprzedawcy początków o dziwnym zachowaniu pisarza. Młoda Panna Ri otrzymuje wiersze, sama z kolei pisze książkę. Do powieści

■ Dzisiejszym czytelnikom trudno sobie wyobrazić, jak wielki wpływ mogła mieć lektura dzieł Franza Kafki w czasach reżimu totalitarnego.

wplecione zostały fragmenty z innych dzieł pisarza. Wychodzi z tego pozornie chaotyczny dyskurs, powstaje wir narracji i metafor, z których żadna nie została w pełni rozwinięta.

Istnieje program do pisania powieści, który działa na podstawie kwestionariusza. Czy sztuczna inteligencja może tworzyć sztukę? Nie jest to nowe pytanie, ale wciąż wywołuje dreszcz. Cóż pozostanie z człowieka, gdy zepchnął na margines to, co go definiowało przez tyle stuleci, gdy zerwał z tradycją osadzoną w wielkiej kulturze? Jaka przyszłość nas czeka,

jeśli nie będziemy już w stanie rozpoznać naszej przeszłości? „Sprzedawca początków powieści” to książka poświęcona najbardziej palącym dylematom naszego świata. I ten świat, pozornie najlepszy ze wszystkich możliwych, jest nie mniej kafkowski niż świat totalitarny, z którego ruin powstał.

Twórczość Vişnieca cechuje spójność: od wierszy lat 80., od statku, który nie chce zatonać, po rozpacz biernych, którzy już nie znajdują wymówek dla swojego tchórzostwa, przechodząc przez jego oniryczny, poetycki, absurdałny, eksperymentalny teatr, aż po te epickie fikcje – wszystko to jest refleksją na temat utraty, której doświadczamy w chwili, w której zyskujemy coś nowego.

© BOGDAN CREȚU

Tłumaczenie

JOANNA KORNAŚ-WARWAS

20 października na Festiwalu Conrada z **MATEIEM VIŞNIEKIEM** porozmawia Joanna Kornaś-Warwas.

REKLAMA



SERIA
SKANDYNAWSKA
MORZE LITERATURY



ZAMÓW KSIĄŻKI NA wydajenamsie.pl

Wydaje
nam się

Więcej demokracji

PAWEŁ JASNOWSKI

Chantal Mouffe powtarza, że fantazje o jednomyslności są niebezpieczne. Negatywność i antagonizm to fundamenty każdej wspólnoty. Istnieją konflikty, dla których nie ma racjonalnych rozwiązań.

W czasie ostatnich wyborów prezydenckich lider głównej partii opozycyjnej, dziękując wyborcom, wypowiedział następujące słowa: „To właśnie Polki i Polacy (...) stworzyli nadzieję na Polskę otwartą, uśmiechniętą, tolerancyjną, europejską, Polskę, gdzie najważniejsza jest równowaga i gdzie najważniejszy jest zdrowy rozsądek”.

Ci, którzy głosowali na jego przeciwnika, znaleźli się w grupie osób pozbawionych rozsądku, zacofanych i oddanych archaicznym siłom zła. Polityk powtórzył sprawdzony gest irracjonalizacji rywala (i jego elektoratu). Ujawnił przy tym, że opozycja (nadal) nie jest w stanie myśleć o porażce inaczej niż za pomocą kategorii moralnych. Język konsensu i racjonalności uznał za najlepsze narzędzie komunikacji ze społeczeństwem. Niesłusznie.

Fałszywe diagnozy

Prawicowy zwrot populistyczny ma być polską (lokalną) specyfiką. Dominująca diagnoza brzmi następująco: uparcie wybieramy PiS z powodu wrodzonej ksenofobii i nietolerancji. Sukces tej formacji to efekt nieprzechwycenia atawizmów przeszłości.

Belgijska filozofka Chantal Mouffe, która populizmowi poświęciła ostatnią książkę, przekonuje, że takie interpretacje są uproszczone i nieadekwatne. Uwodzicielska moc prawicowego populizmu ma źródła gdzie indziej. Polskie doświadczenie nie jest osobliwe, a odsądzany od czci i wiary polski wyborca – wyjątkowy. W „Polityczności” Mouffe dowodzi, że fali populizmu nie da się przypisać

„śladowi przeszłości” (w Austrii np. czyniono to w odniesieniu do sukcesu Jörga Haidera; w Polsce robił to m.in. Jan Tomasz Gross, sugerując, że wygrać z PiS można tylko poprzez przewalczenie antysemityzmu).

Nie znaczy to, rzecz jasna, że uprzedzenia rasowe nie są problemem współczesnych społeczeństw. Należy z nimi walczyć, ale by poradzić sobie z populizmem, potrzebna jest inna diagnoza. Mouffe uparcie apeluje, by zamiast sięgać po moralne potępienie i ustanawianie „kordonu sanitarnego”, przyjąć do wiadomości, że populistyczny dyskurs wyraża – problematycznie, ale jednak – demokratyczne roszczenia części społeczeństwa, ignorowane dziś przez partie konsensualnego środka. Formacje, które opierają się konsensusowi, są oznaczane jako nieracjonalne, co – dowodzi Mouffe – jest wygodnym sposobem na unikanie odpowiedzialności za to, że w ogóle się pojawiły.

Sukces populistów, wyjaśnia filozofka, bierze się stąd, że jako jedyni artykułują postulaty warstw ludowych. Mamią również nadzieją. Przekonują, że możliwy jest inny kształt społecznej rzeczywistości.

Między Coca-Colą a Pepsy

By zrozumieć istotę konsensualnego impasu, w którym ugrzęzła dziś polityka, trzeba przypomnieć głośny esej Francis Fukuyamy. Ogłosił on, że staliśmy się świadkami „końca historii jako takiej, to jest końcowego punktu ideologicznej ewolucji ludzkości i uniwersalizacji załagodniejszej liberalnej demokracji jako ostatecznej formy rządu”. Sprzęgając wprost tę ostatnią formę z kapitalizmem, Fukuyama





CHANTAL MOUFFE (ur. 1943) – belgijska filozofka specjalizująca się w zagadnieniach związanych z feminizmem i polityką. W języku polskim dostępna jest m.in. jej napisana wspólnie z Ernestem Laclauem praca „Hegemonia i socjalistyczna strategia” (2007), w której szuka dróg dla tworzenia demokracji uczestniczącej i społeczeństwa egalitarnego w ramach istniejącego systemu politycznego. W książce „Agonistyka” (2015) czy w wydanej niedawno „W obronie lewicowego populizmu” (2020) rozprawia się z mitem politycznego konsensusu, proponując ramy dla merytorycznego sporu, który przekracza kategorie moralnościowe.

radycznie zredukował demokrację do liberalizmu.

W koniec historii uwierzyła także lewica. Ulegając neoliberalnej metamorfozie, usunęła ze słownika pojęcie klasy (biorąc w nawias historyczne i społeczne determinizmy) i przechwyciła kluczowe figury dyskursu thatcherowskiego. Nic dziwnego, że Margaret Thatcher, zapytana po latach o swój największy sukces, odpowiedziała: „Tony Blair i nowa Partia Pracy”. Ten rodzaj polityki określono mianem „trzeciej drogi”, polityki „poza prawicą i lewicą”, afirmującej „konsensus w centrum” (między centroprawicą i centrolewicą). Rzekome przewyżczenie antagonizmów stało się od tej pory znakiem dojrzałej demokracji.

Co to oznaczało w praktyce? Według Mouffe różnica między centrolewicą a centroprawicą była „jak różnica między Coca-Colą a Pepsi”. Zwrot ku centrum Blaira, Schrödera, a w Polsce Leszka Millera (torującego drogę umowom śmieciowym i powtarzającego, że „podatek liniowy to jedna z najważniejszych doktryn”) oznaczał porzucenie lewicowej tożsamości wywodzącej się z klasy pracującej. Postpolityczna wizja sprawiła, że wyborcy zostali pozbawieni faktycznego wyboru, gdyż wszystkie programy zaczęły być do siebie podobne.

Okrzyk hiszpańskich *indignados* „Mamy prawo głosu, ale nie mamy głosu”, ujawnia sedno postdemokracji (demokracji bez demosu). To system pozornej władzy ludu, który „co prawda może wybierać, ale nie ma prawdziwego wyboru”, bo jest – jak powiada ➔

→ z kolei Michał Herer – zawężany przez władzę kapitału uwolnionego przez gospodarczy neoliberalizm. Według Mouffe, by zażegnać obecny kryzys, trzeba zwrócić się w stronę tego, co wykluczone z pola widzenia. Trzeba zacząć od tych, których konsensus nie obejmuje, którzy są poza granicami neoliberalnego świata.

Powinniśmy pytać o emocje i potrzeby ofiar urynkowania życia i polityki. Upowszechnienie retoryki odpowiedzialności, która jest narzędziem hiperkapitalizmu, doprowadziło do sytuacji, w której bieda jawi się jako skutek indywidualnych zaniedbań i nie dość ciężkiej pracy. To nie struktura społeczna jest winna, lecz niezdatny człowiek. W tej sytuacji energia niezadowolenia zamiast na zewnątrz kieruje się ku wewnątrz. Linia antagonizmu nie przebiega w sferze publicznej, lecz wewnątrz – we wnętrzu jednostki. To koniec walki o lepszy kształt świata, a zarazem początek walki z samym sobą (narcyzm i depresja).

Wspomniana energia może jednak znaleźć inne ujście. Mouffe pokazuje, że antagonizm wyparty przez teoretyków liberalizmu powraca dziś w uporczywej i radykalnej formie pod postacią pravicowego populizmu i terroryzmu. Oznacza to, że konsensualne podejście jest przeciwnie skuteczne: „zamiast – jak pisze filozofka – tworzyć warunki dla pojednania społeczeństwa, prowadzi do pojawiania się antagonizmów, których mogłaby uniknąć agoniczna perspektywa, dostarczająca prawomocnych form ekspresji tych antagonizmów”.

Konfliktowy konsensus

Mouffe powtarza, że fantazje o jedności są niebezpieczne. Negatywność i antagonizm to fundamenty każdej wspólnoty. Istnieją konflikty, dla których nie ma racjonalnych rozwiązań. Należy je zrozumieć i uznać. Na tym właśnie polega specyfika nowoczesnej demokracji. Ale na antagonizmie nie możemy poprzestać. Musimy go przekształcić w agonizm. Co to oznacza? Że spór winien przyjmować formę walki, w której uznaje się prawa oponenta. Ten ostatni zaś to już nie wróg (jak u Carla Schmitta, od którego Mouffe przejęła koncepcję antagonizmu), lecz przeciwnik. Ktoś, z kim dzieli się przywiązanie do demokratycznych zasad.

W używanym przez filozofkę słowniku pojawia się jeszcze jeden termin, który znalazł się już w tytule jej pierw-

■ Nie możemy poprzestać na antagonizmie. Musimy go przekształcić w agonizm. Co to oznacza? Że spór winien przyjmować formę walki, w której uznaje się prawa oponenta. Ten ostatni zaś to już nie wróg, lecz przeciwnik. Ktoś, z kim dzieli się przywiązanie do demokratycznych zasad.

szej książki napisanej wspólnie z Ernestem Laclauem – hegemonia. Hegemoniczne ujęcie każe uznać, że każdy porządek społeczny przenika przygodność, „wymiar nierozstrzygalności”. Każdy ład jest zawsze wyrazem określonej konfiguracji stosunków władzy. Oznacza to, że „rzeczy zawsze mogły mieć się inaczej” i że każdy porządek opiera się na wykluczeniu innych możliwości. To, co uważa się za „naturalny” porządek świata, z towarzyszącym mu „zdrowym rozsądkiem”, jest zawsze wynikiem narzuconych praktyk społecznych, nie zaś wyrazem zewnętrznej i powołującej je do życia głębszej obiektywności.

Według Mouffe neoliberalizm jawi nam się jako uniwersalny, ponieważ brakuje kontrhegemonicznych propozycji po lewej stronie. Inaczej niż np. Slavoj Žižek, nie uważa ona, że obecne *status quo* można podważyć tylko za sprawą aktu radykalnego zerwania. Mouffe opowiada się za „pracą wewnątrz”, krytyczną pracą w ramach istniejących instytucji, za transformacją, a nie rewolucyjnym zerwaniem.

Moment populistyczny

Choć zasadniczy zrąb koncepcji belgijskiej filozofki jest niezmienny, to w ostatniej pracy pt. „W obronie lewicowego populizmu” Mouffe naniosła parę korekt. Przede wszystkim uznała, że odnowienie podziału na lewicę i prawicę jest dziś niewystarczające, gdyż nie wyraża odpowiednio zbiorowej woli. Stoimy przed wyzwaniem, jakim jest „moment populistyczny”. Koniec polityki, oligarchiza-

cja Zachodu i kryzys 2008 r. wywołały różne formy oporu wobec polityczno-ekonomicznego otoczenia. Elity establishmentu oskarżono (najpierw z prawej, potem z lewej strony) o to, że „narzuciły bez zgody ludu politykę służącą ich własnym interesom”.

Wybuch populizmu – utrzymuje Mouffe – nie jest, jak chcą liberalne elity, perwersją demokracji. To raczej znak „odzyskania suwerenności przez lud”, co wskazuje na powrót polityczności po okresie postpolitycznym. Choć Belgijka jest przeciwniczką obecnej manifestacji populizmu, on sam nie jest dla niej niebezpiecznym ekscysem, lecz koniecznym wymiarem demokracji.

Autorka „Agonistyki” ma świadomość, że populizm może ostatecznie osłabić demokrację. Jednak uważa za błąd myślenie, że wszystkie populizmy są niezgodne z istnieniem instytucji liberalno-demokratycznych.

Nie może tak być, skoro populizm odwołuje się do konstytutywnego dla demokracji tworzenia demosu. Może on też doprowadzić do wzmocnienia i rozszerzenia wartości demokratycznych. Zdaniem Mouffe w ciągu najbliższych kilku lat główna oś konfliktu politycznego przebiegać będzie między populizmem pravicowym a lewicowym. Wszystko ostatecznie „będzie zależeć od tego, którym siłom politycznym uda się ustanowić hegemonię aktualnych żądań demokratycznych i którego rodzaju populizm wyjdzie zwycięsko z walki z postpolityką”.

Dlatego lewica musi dziś pilnie poddać swoją tożsamość i strategię głębokiej refleksji. Zrozumieć, że to z jej winy demokratyczne żądania nie znalazły kanału ekspresji i w końcu zostały wyartykułowane za pomocą ksenofobicznego języka. Kiedyś niezdolna włączyć do swej agendy postulatów nowych ruchów, dziś lewica usunęła z niej inność ekonomiczną. Kultura stała się dla niej ważniejsza niż materialne, społeczne warunki istnienia.

Mouffe twierdzi, że konieczny jest dziś projekt lewicowego populizmu, który przywróciłby wagę „kwestii socjalnej”, nie uprzywilejowując przy tym klasy pracującej. Chodzi o populizm, który żądania demokratyczne wyartykułuje za pomocą języka progresywnego i zamiast wychodzić poza demokrację, zradykalizuje ją, czyli sprawi, że w rosnącej liczbie relacji społecznych zaczęną działać zasady wolności i równości.

Poprzeczne ścieżki

„Ekonomia jest środkiem – prawdziwym celem jest zmiana duszy”, powiedziała dziennikarzowi Margaret Thatcher w 1981 r., nim neoliberalizm stał się globalną wulgatą, a jego mity zdroworozsądkową prawdą. Zdaniem Mouffe nasz cel powinien być podobny. Chodzi o to, by zmusić „zdrowy rozsądek” do wejścia na ścieżkę zmiany, by ustanowić go na nowo. Jak to zrobić? Należy dostrzec kluczową rolę afektów w polityce i nauczyć się je mobilizować. Skuteczna lewicowa strategia populistyczna powinna przemówić do ludzi w taki sposób, by dotknąć ich emocji.

Ponieważ sztuka także działa w porządku afektywnym, filozofka uważa, że odgrywa ona decydującą rolę w (de)formacji i zakłócaniu „zdrowego rozsądku”. Tylko sztuka może w nas godzić z siłą pocisku, rozsądzać naszą teraźniejszość, pchnąć nas do przodu. Sztuka i polityka są ze sobą ściśle powiązane. Ta pierwsza zawsze odgrywa rolę w reprodukcji lub rozbiórce społecznego ładu, jest więc polityczna. Jej wymiar krytyczny „polega na uwidacznianiu tego, co dominujący konsensus próbuje zaciemnić i zamazać”, a także na „oddawaniu głosu tym wszystkim, którym w ramach istniejącej hegemonii zamyka się usta”.

Siła sztuki tkwi „w jej zdolności sprawienia, byśmy spojrzeli na rzeczy w inny sposób, byśmy dostrzegli nowe możliwości”. Działanie nie może ograniczyć się do tego, co negatywne. W sztuce chodzi nie tylko o przenicowanie „naturalnego” porządku świata, ale o produkcję „nowych obiektywności i wypracowanie nowych światów”, a także form podmiotowości.

Mouffe chętnie powtarza za Spinozą, że dany afekt można zastąpić tylko afektem przeciwnym, silniejszym niż ten, który ma zostać wyparty. Poprzez te słowa filozofka odnosi się nie tylko do przewalczenia (poprzez podbicie stawki) prawicowego populizmu, ale także nowego kapitalizmu, w którym reklama wzbudza pozytywne afekty. Sztuka może pobudzić uczucia, które wywołają pragnienie zmiany, może rozniecić w nas tęsknotę za czymś więcej.

© PAWEŁ JASNOWSKI

21 października na Festiwalu Conrada z **CHANTAL MOUFFE** będzie rozmawiał Piotr Laskowski.



Alfred Stieglitz (1864-1946), „Fontanna”, fotografia rzeźby Marcela Duchampa, 1917 r.

Wojna o pisuar

RENATA KOPYTO

A co, jeśli najsłynniejsze dzieło XX wieku zostało stworzone przez kogoś innego, niż nam się przez kilkadziesiąt lat wydawało?

1 „Fontanna Marcela Duchampa: hold” – wystawę pod takim tytułem otwarto 10 kwietnia 2017 r. w nowojorskiej galerii Francisa M. Naumanna z okazji 100. rocznicy ekspozycji zorganizowanej przez amerykańskie Towarzystwo Niezależnych Artystów. Celem tej ostatniej organizacji (założonej w grudniu 1916 r. i wzorowanej na francuskim Salonie Niezależnych) było umożliwienie progresywnym twórcom prezentacji ich prac.

Założycielami Towarzystwa byli m.in. kolekcjoner Walter Arensberg oraz artyści: Marcel Duchamp, Katherine Dreier, Man Ray czy Joseph Stella. Pierwsza wystawa TNA odbyła się w kwietniu 1917 r., w Grand Central Palace. Tak dużej prezentacji sztuki w Stanach Zjednoczonych jeszcze nie było. Regulamin dopuszczał każdą pracę. Nie było jury i nie przyznawano nagród. Jedynym warunkiem wzięcia udziału w wystawie było wniesienie opłaty w wysokości 6 dolarów.

Dzieła były eksponowane alfabetycznie, poczynając od litery „R”, która została wylosowana jako otwierająca rejestr. Za aranżację odpowiadał Marcel Duchamp. 1200 artystów przysłało ponad 2500 prac i tylko jedna z nich – wbrew obowiązującym zasadom – nie została dopuszczona do udziału. Był to biały porcelanowy pisuar opatrzony tytułem „Fontanna” i podpisem „R. Mutt, 1917”.

2 Francis M. Naumann, krytyk sztuki, kurator i właściciel prestiżowej galerii w Nowym Jorku, posiadającej w swoich zbiorach prace m.in. Duchampa, Man Raya i Beatrice Wood, zaprosił do udziału we wspomnianym jubileuszowym projekcie 31 artystów, którzy stworzyli prace inspirowane słynną „Fontanną”. Ci, którzy zdecydowali się na ponowne wykorzystanie pisuaru, wprowadzili istotne modyfikacje. Sherrie Levine wykonała brązowy odlew rzeźby, Pablo Echaurren pokrył jego powierzchnię dekoracyjnymi, południowoamerykańskimi ornamentami, Richard Pettibone zreprodukował fotografię Alfreda Stieglitz, zamieszczoną w czasopiśmie „The Blind Man”, by zwrócić w ten sposób uwagę na trapiące go problemy ze wzrokiem. Z kolei francuski artysta koncepcyjny Saâdane Afif, który posiada imponujące archiwum poświęcone „Fontannie” i kolekcjonuje jej



Elsa von Freytag-Loringhoven (1874–1927)

reprodukcje z książek i czasopism, pokazał cztery egzemplarze z tego liczącego ponad 1000 eksponatów zbioru.

Ray Beldner wyprodukował dolary w kształcie pisuaru. Ai Weiwei zrobił zdjęcie klocków Lego splukiwanych w toalecie, ponieważ produkującą je firmą odrzuciła jego hurtowe zamówienie (chciał zrobić z nich instalację), podejrzewając, że ich produkt zostanie wykorzystany w celach politycznych, co artysta porównał do cenzury z 1917 r. Tom Shannon uszył biały jedwabny krawat z czarnymi krop-

kami symbolizującymi otwory spustowe w pisuarze. Peter Saul, nawiązując do słynnego obrazu Duchampa, namalował pięć pisuarów schodzących po schodach, a Larry Kagan wykonał instalację rzucającą cień w kształcie pisuaru, który był widoczny tylko przy włączonym świetle.

Ekspozycja Naumanna była hołdem złożonym jednemu z najsłynniejszych i uznawanych za przełomowe w sztuce XX wieku dzieł. Kontrowersje budzi zarówno historia jego powstania, autorstwo, jak i późniejsze losy.

3 Na prezentację porcelanowego pisuaru rzekomo wyprodukowanego w firmie J.L. Mott Iron Works nie zgodzili się, w obawie przed skandalem, konserwatywni członkowie Towarzystwa Niezależnych Artystów. Najgłośniejszy protestował George Bellows, jeden z dziesięciu jego decyzyjnych dyrektorów. Na znak sprzeciwu Duchamp wycofał swoją pracę – obraz zatytułowany „Tulip Hysteria Co-ordinating”. „Fontanna” z hali wystawienniczej trafiła do prowadzonej przez Alfreda Stieglitza galerii 291.

Fotograf, już wtedy cieszący się sławą, ustawił ją na postumencie i sfotografował. Umieścił obiekt na tle pracy Marsdena Hartleya „Wojownicy”, której opis przytacza Anna Markowska w książce „Dlaczego Duchamp nie cesał się z przedziałkiem”: „Obraz przedstawia widzianych od tyłu i z boku wojowników na koniach. Kompozycja obrazu zawierała dwa pionowe owale – jakby góry, po których stąpają konie – w które idealnie wpisywały się krągłości »Fontanny«. Miękkie linie zdekontekstualizowanego, odwróconego pisuaru wpisywały się więc nie tylko w narrację obrazu, ale też w jego działające pięknem formy”.

Zdjęcie Stieglitza zostało opublikowane w wydawanym przez Marcela Duchampa, Henri-Pierre’a Roché i Beatrice Wood czasopiśmie „The Blind Man”. Był to jeden z ówczesnych artystów, który miał wprowadzać czytelników w awangardowe ruchy w sztuce i literaturze. Do jego autorów zaliczali się m.in. Mina Loy, Louise Norton, Erik Satie, Walter Arensberg, Francis Picabia czy Alfred Stieglitz. Obok fotografii „Fontanny” ukazał się tekst opatrzone nagłówkiem „Sprawa Richarda Mutt’a” oraz artykuł podpisany przez Louise Norton pt. „Budda łazienki”. Tekst wyjaśniał, dlaczego odrzucenie pisuaru przysłanego na wystawę Towarzystwa Niezależnych Artystów było błędem. To tam pojawiło się sformułowanie, że nie jest ważne, kto wykonał eksponat, tylko jaka idea stoi za jego prezentacją i w jakim kontekście został on umieszczony w przestrzeni wystawienniczej.

4 Na tym sprawę niefortunnej próby debiutu Richarda Mutt’a można by uznać za zakończoną. Nikt z ówczesnych „prowokatorów”

nie interesował się losami rzeźby, która w drugiej połowie XX w. zrobiła tak zawrotną karierę. Nikt nie wie też, co stało się z oryginalnym pisuarem. Jedynym śladem jego istnienia jest fotografia Stieglitza.

Do galerii „Fontanna” powróciła w 1950 r., kiedy to, na prośbę Duchampa, Sidney Janis wykonał jej kopię na wystawę w Nowym Jorku. Kolejna replika powstała w roku 1953 w Paryżu z przeznaczeniem na aukcję. 10 lat później w sztokholmskim Moderna Museet zorganizowano retrospektywę francuskiego artysty, na której pojawia się egzemplarz „Fontanny” przygotowany przez Ulfa Lindego, a rok później w mediolańskiej galerii Arturo Schwarz’a znalazło się kolejnych osiem egzemplarzy dzieła. Chociaż wszystkie powstały pod nadzorem Duchampa, nie są do siebie podobne. Na każdym z nich widnieje natomiast umieszczony na lewym brzegu ten sam podpis: „R. Mutt, 1917”.

5 W 1994 r. w nowojorskim Whitney Museum of American Art zaprezentowano wystawę zatytułowaną „Making Mischief: Dada Invades New York”, której kuratorami byli Francis M. Naumann i Beth Venn. Zebrano na niej ponad dwieście obrazów, rzeźb, fotografii, czasopism, książek i listów około dwudziestu artystów europejskich i amerykańskich z lat 1913–23. Pojawiły się, obok znanych dzieł Duchampa, prace niemieckiej dadaistki Elsy von Freytag-Loringhoven. Kolejnym krokiem przybliżającym publiczności twórczość tej artystki była jej wystawa retrospektywna zorganizowana w 2002 r. w galerii Naumanna. W tym samym roku w wydawnictwie MIT Press ukazała się biografia von Freytag-Loringhoven autorstwa kanadyjskiej badaczki Irene Gammel „Baroness Elsa: Gender, Dada, and Everyday Modernity. A Cultural Biography”.

Artystka urodziła się w Świnoujściu w 1874 r. jako Elsa Hildegard Plötz. W wieku 16 lat opuściła dom rodzinny i przenieśli się do Berlina, a później do Monachium, gdzie poznała swojego pierwszego męża, architekta Augusta Endella. Do Stanów Zjednoczonych pojechała w ślad za drugim małżonkiem, pisarzem i tłumaczem Felixem Grevem, a nazwisko, pod którym przeszła do historii, zyskała wychodząc w 1913 r. za mąż za

barona Leopolda von Freytag-Loringhova.

W ówczesnym świecie artystycznym znana była jako Dada-Baronessa, autorka awangardowej poezji i prekursorka sztuki performansu. Jej odważne erotyczne wiersze publikowane w amerykańskim czasopiśmie literackim „The Little Review” budziły większe zainteresowanie niż ukazująca się tam również proza Jamesa Joyce’a. Przyjaźniła się z pisarką Djuną Barnes, fotografką Berenice Abbott i kolekcjonerką Peggy Guggenheim, a admiratorami jej twórczości byli William Carlos Williams, Ernest Hemingway czy Ezra Pound.

6 W biografii Gammel po raz pierwszy pojawia się sugestia, że to nie Marcel Duchamp, lecz ekscentryczna baronessa mogła ukrywać się pod pseudonimem Richard Mutt. Autorka książki cytuje list, który Duchamp napisał do siostry Susanne 11 kwietnia 1917 r., donosząc jej, że „przyjaciółka przysłała na wystawę porcelanowy pisuar pod męskim pseudonimem. Wcale nie był nieprzyzwoity; nie było podstaw, żeby go odrzucić”. Ten „materiał wybuchowy” – jak nazywany jest ów list – wszedł do domeny publicznej dopiero w 1983 r., po publikacji w Archives of American Art Journal. Kim była zagadkowa przyjaciółka Duchampa i co oznacza sygnatura „Fontanny” – R. Mutt?

Wielu krytyków przekonuje, że podpis to gra językowa. Duchamp uwielbiał takie działania; wiele tytułów jego prac ma zakodowane dodatkowe sensory. Autor „Wielkiej szyby” wykorzystywał jednak w swoich zabawach francuski. Kombinacja „R. Mutt” kojarzy się bardziej z niemieckim, którym władała Elsa von Freytag-Loringhoven. „R. Mutt” może znaczyć „Armut” (bieda) lub „Urmutter” (pramatka). Baronessa również stosowała kalambury.

7 Elsa i Marcel poznali się w Nowym Jorku przez dziennikarkę Bessie Breuer i jej siostrę Sarah McPherson. Mieszkali w tym samym budynku przy Lincoln Square i – jak pisze Irene Gammel – często umawiali się na nocne rozmowy. Duchamp był wśród wielu artystów-uciekierów, którzy po wybuchu I wojny światowej szukali w USA →

→ schronienia. Wraz z nim przyjechali m.in. Francis Picabia i jego żona Gabrielle Buffet, Henri-Pierre Roché, Jean Crotti, Mina Loy i Arthur Cravan. To oni wraz z amerykańskimi twórcami Man Rayem, Charlesem Demuthem, Alfredem Stieglitzem czy Josephem Stellą stworzyli grupę artystyczną znaną później jako New York Dada. Elsa von Freytag-Loringhoven była jej niekwestionowaną królową.

Duchamp, doceniając awangardową twórczość baronessy, powiedział: „*She is not a futurist. She is the future*” (Ona nie jest futurystką. Ona jest przyszłością). Z kolei Elsa używała wobec niego określeń innego rodzaju: Marcel Dushit czy M’ars, co bynajmniej nie było imieniem boga wojny, tylko wymyślonym przez Elsię skrótem z niemieckiego wyrażenia „*mein Arsch*” (mój tyłek).

8 Duchamp pytany o pseudonim widniejący na „Fontannie” udzielał niestety bardzo pokrętnych odpowiedzi. Utrzymywał, że kupił pisuar w firmie J.L. Mott Iron Works w Nowym Jorku, a wymyślone nazwisko miało nawiązywać do jej nazwy. Badacze udowodnili jednak, że modelu, jaki został dostarczony na kwietniową wystawę Niezależnych, nie było w ofercie tej firmy. Otto Hahn zanotował wypowiedź Duchampa, zgodnie z którą Mutt to postać stworzona przez rysownika Buda Fishera. Niski otępy mężczyzna, którego postura – według Marcela – pasowała do formy pisuaru.

9 Zawarta w biografii Irene Gammel sugestia, że to Elsa von Freytag-Loringhoven mogła być autorką najważniejszego dzieła sztuki XX w., została podchwycona przez wiele osób: badaczy, historyków sztuki, artystki i pisarki, m.in. przez Siri Hustvedt, która wykorzystała ją w powieści „*Memories of the Future*” z 2019 r.

W listopadzie 2014 r. w czasopiśmie „*The Art Newspaper*” ukazał się artykuł Juliana Spaldinga i Glyn Thompsona „Czy Marcel Duchamp ukradł pisuar Elsy?”. Autorzy przytaczają w nim argumenty Gammel. Analizują też twórczość Elsy von Freytag-Loringhoven: jej asamblaże, obiekty ready-made i niezwykle kostiumy, do stworzenia których wykorzystywała przedmioty znalezione na ulicy,

w składach materiałów lub w sklepach. Jedną z jej prac, pt. „*God*”, wykonana z elementu instalacji hydraulicznej (ołowianej rury przymocowanej do drewnianego podłoża), świetnie pasuje do „Łazienkowej madonny”, jak alternatywnie nazywano pracę podpisaną pseudonimem „*R. Mutt*”. Najważniejszą przesłanką przemawiającą za autorstwem Elsy był cytowany już list Duchampa do siostry.

W odpowiedzi na ten artykuł głos zabrano wielu krytyków, broniąc Marcela jako autora „Fontanny”. Josephine Dawn Adès, brytyjska historyczka sztuki, emerytowana profesorka historii i teorii sztuki na Uniwersytecie w Essex, przytoczyła najnowsze badania i odkrycie Bradleya Baileya, profesora historii sztuki na Wydziale Sztuk Pięknych i Sztuk Performatywnych Uniwersytetu w Saint Louis. Dowodzi on, że przyjaciółką, o której wspomina Duchamp, była pi-

sarka i tłumaczka Louise Norton, bo to ona mieszkała pod adresem 110 West 88th Street w Nowym Jorku, a adres ten jest częściowo widoczny na papierowej etykietce dołączonej do pisuaru na zdjęciu Stieglitz. Norton była także autorką tekstu o „Fontannie” zamieszczonego w „*The Blind Man*”.

Hipoteza, że baronessa, która na początku 1917 r. przebywała w Filadelfii, mogła wysłać pisuar na adres Louise Norton, aby ta zgłosiła go na wystawę, wydaje się Dawn Adès mało prawdopodobna. Ale żeby sprawę skomplikować jeszcze bardziej, trzeba dodać, że pismo, którym wypełniono zgłoszenie dołączone do pisuaru, nie przypomina zupełnie autografu Norton, a pod odcyfrowanym ze zdjęcia adresem mieszkały także Juliet Roché i Gabrielle Buffet-Picabia, żony artystów należących do nowojorskiej, dadaistycznej bohemy.

10 Pod koniec ubiegłego roku w wydawnictwach Verlag für moderne Kunst z Wiednia i Les presses du réel z Dijon ukazała się książka szwajcarskiego kuratora i artysty Stefana Banza zatytułowana „*Marcel Duchamp: Richard Mutt’s Fountain*”. We wstępie do niej autor pisze: „Elsa von Freytag-Loringhoven definitywnie nie miała nic wspólnego ze stworzeniem »Fontanny«”. Publikacja zbiera wiele zdjęć, dokumentów, wypowiedzi artystów i kuratorów, cytatów, faktów i hipotez, jednak mimo twardej deklaracji Banza nie potwierdza ostatecznie autorstwa Duchampa.

Spśród przytaczanych przez autora informacji, o których nie było mowy wcześniej, wymienić należy zdjęcie wykonane w nowojorskiej pracowni Duchampa przy 33 West 67th Street, przypuszczalnie między grudniem 1916 a sierpniem 1918 r. Na fotografii widoczny jest zawieszony na drzwiach pisuar, ale inny niż ten, który wysłano na wystawę do Grand Central Palace (przede wszystkim nie ma na nim podpisu). Skoro w tamtym czasie Duchamp posiadał taki obiekt, to trudno dalej wątpić. Banz nie publikuje jednak w swojej książce obrazu namalowanego przez Elsię von Freytag-Loringhoven pt. „*Forgotten – Like This Parapluie*” z 1923 r., na którym, obok tytułowego zapomnianego parasola, znajduje się także (zapomniany?) pisuar.

W ramach Festiwalu Conrada 20 października odbędzie się dyskusja online o autorstwie przypisywanej Marcelowi Duchampowi „Fontanny”, w której udział wezmą: **IRENE GAMMEL**, autorka biografii Elsy von Freytag-Loringhoven i wydawczyni jej tekstów, dyrektorka Centrum Literatury Współczesnej i Badań Kulturowych na Uniwersytecie Ryerson w Toronto, Kanada; **ZUZANNA JANIN**, artystka, fundatorka nagrody Marii Anto i Elsy von Freytag-Loringhoven; **ANNA MARKOWSKA**, historyczka i krytyczka sztuki, profesorka Uniwersytetu Wrocławskiego, autorka książki „Dlaczego Duchamp nie chesał się z przedziatkami”. Rozmowę poprowadzi Grzegorz Jankowicz. Dyskusja będzie częścią projektu Domu Norymberskiego w Krakowie pt. „*Lady Dada. Elsa von Freytag-Loringhoven*”, który obejmie wystawę prac współczesnych artystów inspirowanych życiem i twórczością baronessy oraz spektakl teatralny w reżyserii Igi Gańczarczyk, oparty na wierszach i tekstach Elsy, którego tematem będą relacje artystki z Marcellem Duchampem i Djuną Barnes.



Elsa von Freytag-Loringhoven i Claude McRay (przed 1928 r.)



Elsa von Freytag-Loringhoven (między 1920 a 1925 r.)

LIBRARY OF CONGRESS X2

11 Wydaje się, że spór o najbardziej wpływową pracę we współczesnej sztuce zatacza coraz szersze kręgi i mocno dzieli zajmujące się tym zagadnieniem środowisko. Wszystkie powyższe rozważania podsumowuje Franz Kaiser, niemiecki historyk sztuki z Hochschule für Bildende Künste w Hamburgu, pisząc, że ktokolwiek zgłosił porcelanowy pisuar na wystawę w 1917 r., nie był to Duchamp. Na temat jego zaangażowania w powstanie „Fontanny” możemy jedynie spekulować.

Być może dzieło jest efektem wspólnego żartu nowojorskich dadaistów, z udziałem Duchampa oraz jego koleżanek i kolegów. Celem była najprawdopodobniej prowokacja wymierzona w konserwatystów zasiadających w dyrekcji Towarzystwa Niezależnych Artystów. Nikt nie traktował pisuaru poważnie, skoro praca zaginęła. Anna Markowska pisze, że „»Fontanna« została zidentyfikowana z Duchampem znacznie później (...), a je-

śli wierzyć Williamowi J. Camfieldowi, zanim pojawiła się w »Pudle w walizce« w połowie lat 40., była niezwykle rzadko wzmiankowana, wręcz nieobecna”. „Pudło w walizce” to praca Duchampa, w której artysta gromadził repliki swoich najciekawszych artystycznych dokonań. Stefan Banz z kolei zamieszcza w swej książce zdjęcia dwóch miniatur pisuaru z 1938 r., które artysta miał wykonać do swojej walizki. Stało się to więc dopiero po 20 latach od pamiętnej nowojorskiej wystawy.

12 Zażarte polemiki, jakie toczą się o autorstwo „Fontanny”, są też dyskusją o podstawy sztuki współczesnej, definicję obiektów *ready-made* i status Duchampa jako ich wynalazcy. Kaiser podkreśla, że pochodzące od surrealistów, André Bretona i Paula Éluarda, określenie *ready-made* nie jest precyzyjne. Jego definicja

– *ready-mades* to przedmioty podniesione do rangi sztuki poprzez ich wybór dokonany przez artystę – sprzyja zawłaszczaniu sztuki przez tzw. przemysł kulturowy, o którym w „Dialektyce oświecenia” pisali Max Horkheimer i Theodor W. Adorno. Esej powstał na początku lat 40. zeszłego wieku i był wyrazem sprzeciwu wobec szybko rozwijającego się przemysłu rozrywkowego oraz traktowania przez niego sztuki jako towaru. Aby więc jakiś przedmiot codziennego użytku stał się sztuką, konieczna jest zmiana jego funkcji z praktycznej na symboliczną.

Taka zmiana w podejściu do *ready-made* wymagałaby ponownego rozważenia teoretycznych podstaw znacznej części sztuki współczesnej powstałej w drugiej połowie XX w. i miałaby z pewnością konsekwencje dla muzeów, właścicieli galerii, artystów czy kolekcjonerów. W wykreowanym przez nich świecie sztuki nic bowiem nie jest tak ważne, jak kwestia autorstwa.

© RENATA KOPYTO

wylicytuj portret Conrada i wesprzyj Festiwal Conrada



Licytacja portretu na aukcji charytatywnej na platformie Allegro,

Partnera Strategicznego tegorocznej edycji Festiwalu Conrada, rozpocznie się 15 października o godz. 21.00. Finał podczas uroczystej Gali Nagrody Conrada. Zwycięzca aukcji nie tylko stanie się właścicielem cennego dzieła sztuki – portretu najchętniej czytanego na świecie polskiego pisarza, autorstwa znakomitego krakowskiego artysty – ale wesprze także największy festiwal literacki w Polsce. Wylicytowana kwota zostanie w całości przeznaczona na rozwój Festiwalu Conrada, którego idea zrodziła się w roku 2008 w redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Jego współorganizatorem, wspólnie z Miastem Kraków i KBF, jest nasza Fundacja.

Na tej samej aukcji znajdą się także conradowskie pamiątki: plakaty, przypinki, magnesy i koszulki z reprodukcją portretu Conrada. Będą one także pełnić funkcję „biletów dobrej woli” na festiwalowe wydarzenia online. Choć nazwane biletami, nie będą one warunkiem uczestnictwa w tych wydarzeniach, ale kupując je, będą Państwo mogli dobrowolnie wesprzeć Festiwal i wyrazić uznanie dla jego gości, dla prowadzących spotkania i dla wszystkich, którzy go od 12 lat tworzą.

Aukcję, wraz ze zdjęciami obrazu oraz filmem o procesie jego powstawania, znajdą Państwo na stronie

allegro.pl/zobacz/conradfestival

oraz w naszych mediach społecznościowych.

 /TYGODNIKPOWSZECHNY ■  /TYGODNIK ■  /TYGODNIK ■  YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

weź, licytuj!

Fundacja Tygodnika Powszechnego





Oto portret Josepha Conrada w całej okazałości. Oryginał ma wymiary (wraz z ramą) 82 x 102 cm.

ALBIN TALIK: Moja twórczość to montaż obrazów z tysięcy fragmentów papieru. Tym razem posłużyłem się „Tygodnikiem Powszechnym” – w dziele znajdują się fragmenty zdjęć ks. Bonieckiego oraz innych bohaterów okładek pisma. Hasło tegorocznego Festiwalu Conrada „Widzialne i niewidzialne” podsunęło mi myśl o umieszczeniu w portrecie pisarza symboli związanych z jego życiem i twórczością.

Rozpoznają je Państwo?

allegro Lektury 2.0



Allegro Lektury 2.0 to podcasty reinterpretujące arcydzieła polskiej literatury. Projekt ma na celu ukazanie nowego i bezpretensjonalnego podejścia do literackiego kanonu i odkrycie na nowo klasycznych historii opowiadanych językiem ludzi żyjących w erze social mediów.

Podcasty współtworzy 12 polskich gwiazd reprezentujących różne style muzyczne: Krzysztof Zalewski, Monika Brodka, Rosalie, Mery Spolsky, Ajgor Ignacy, Natalia Długosz, Saful, Smolasty, Natalia Szroeder, Mioush, Julia Wieniawa, Natasza Urbańska.

Artyści nie tylko przenieśli historie literackie w XXI wiek, ale również zaprezentowali je w zupełnie nowy sposób, łącząc elementy podcastu, utworu muzycznego i słuchowiska w intrygującą formułę.

Podcasty z cyklu "Allegro Lektury 2.0" odtworzono już ponad 2 miliony razy.

Szukaj na platformie Youtube i Spotify.